J. I. Kraszewski

POWIEŚCI HISTORYCZNE

Wydawnictwo
M. ARCTA w Warszawie

KRÓL PIAST

DRUKARNIA M. ARCTA W WARSZAWIE, ORDYNACKA 3.

KRÓL PIAST

(MICHAŁ KSIĄŻE WIŚNIOWIECKI).

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego

TOM II.

WARSZAWA
NAKŁADEM I DRUKIEM M. ARCTA
—
1903

Дозволено Цензурою
Варшава, 18 Ноября 1902 года.

I.

Częstochowa, której wizerunek cudowny od wieków ściągał tysiące pielgrzymów—w tych latach była okryta jeszcze nowym, świeżym blaskiem wspomnień obrony od Szwedów.

Wszystko tu jeszcze przypominało te chwile walki nierównej, gdzie po jednej stronie stała ziemska pięści potęga, szwedzki żołnierz liczny, zbrojny, wprawny, uzuchwalony zwycięstwami — z drugiej garstka mnichów, gromadka ludzi losem pościąganych pod chorągiew Matki Boskiej. Zwycięzcy wszędzie Szwedzi, wysiliwszy się na zdobywanie małej twierdzy, siłą niewidzialną bronionej, w końcu z niczem odejść musieli.

Rozgłos tej obrony, imię Kordeckiego, nadawały miejscu temu nowy blask, aureolę szeroko roztaczającą się nad błogosławioną świątynią na niewzruszonej opoce. Świeże jeszcze pamiątki tych dni heroicznej walki, — cierpień, niedostatku, trwogi naprzemian i nadziei spotkać można było wszędzie. Tam tylko, gdzie tego wymagało bezpieczeństwo, pozalepiano wyłomy, pozapełniano szczerby, zakryto blizny chlubne; gdzieindziej sterczały w murach kule bezsilne, widać było drogi i ślady pocisków,

które się rozbiły o słabe ściany kościoła i klasztoru.

Żyli jeszcze ludzie, którzy tu walczyli, co byli świadkami tych dni, już jako starożytne jakieś dzieje ozłoconych blaskiem legendy, opromienionych cudami.

Nie było w podwórzach, przy narożnych basztach, w krużgankach miejsca, z któremby się jakieś nie łączyło wspomnienie. Starzy dziadkowie kościelni drżącemi rękami pokazywali, gdzie stał Kordecki, którędy dobijali się Szwedzi. Nieme teraz też same działka niewielkie odpoczywały na murach, które ich zwycięsko obroniły.

Historya była tak cudowną, tak dziwną, iż słuchając jej, pielgrzymi płakali, klękali i całowali ziemię, uświęconą tą łaską Niebios.

Wszystko znowu powróciło na swe miejsca, co w obawie nieprzyjaciela naówczas skrywać musiano, owe skarby, które nęciły żołdaków, dobyto; mnogie vota okrywały wspaniały, hebanowy ołtarz Ossolińskich, a lud podwojonemi prądami płynął z całej Polski, z sąsiedniego Szląska, z Rusi, do łaskami słynącego obrazu.

Szczególniej we dnie czci Maryi poświęcone, mała twierdza, przedmieścia i wioseczki poblizkie nie mogły pomieścić pątników.

W końcu lutego następującego roku, chociaż żadna z tych uroczystości nie przypadała, Częstochowa, twierdza, miasteczko, okolice były przepełnione przyjezdnymi. Do klasztoru ani się docisnąć było można, liczne straże wojskowe ustawione były wszędzie i tłumowi napływać nie dawały. Nie był on też podobnym do tych gromad pobożnych wędrowców, które tu pieszo przyciągały z kijmi w rękach i węzełkami na ramionach. Ogromne wozów tabory rozciągały się pod murami, namioty i chałupy,

mimo pory zimowej, osłaniały ludzi i konie, nie mogące się w murach pomieścić.

Nadzwyczajne przygotowania kazały się domyślać jakiegoś obchodu wspaniałego. We wrotach głównych widać było rusztowania świeżo pobudowane, a obok nich stosy zielonej jedliny i jałowców. Około kościoła na drabinach ludzie rozwieszali długie sploty gałęzi, mające przyozdabiać ściany. Wszędzie ruch i krzątanie się, były nadzwyczajne, — kominy buchały słupami gęstego dymu, a naprędce z kamieni i cegieł powznoszone kuchnie żarzyły się niezmiernemi ogniskami, przy których całe sztuki zwierzyny i różnego mięsiwa się piekły. Strażom zbrojnym, chodzącym z halabardami, rozpędzającym tłumy, ciężko było je w granicach naznaczonych utrzymać. Krzyki dawały się słyszeć tu i owdzie.

Tymczasem dzwony zwykłym porządkiem wołały na modlitwę—a z kościoła słychać było brzmienie organów i dobywające się pieśni.

Niedaleko od wnijścia bocznego do kościoła, obok szeregu ławek, straganików i budek, w których sprzedawano obrazki, szkaplerze, medaliki, świece i vota różne, w gwarze ciągle płynącego dwoma prądami ludu, stało dwóch szlachty, ludzi średniego wieku; jeden chudy z szyją długą, którą kołnierz kożucha lisiego po trosze osłaniał od zimna, drugi okrągławy, z twarzą mocno zaczerwienioną, z uśmiechem na ustach, w wilczurze podpalanej i ciepłych butach.

— A co? a co? —mówił żywo baryłkowaty szlachcic, spluwając ciągle — nasz król Michał, albo się to gorzej prezentuje, niż ci, którzy go poprzedzali? Ot, jak wystąpił! — a nie powiedzą też, aby się małżeństwem upośledził, boć bierze arcyksiężniczkę austryacką, cesarską córkę, którą sama cesarzowa aż tu do Częstochowy

ma przeprowadzić! *Sub intelligitur*, że i posag musi być cesarski i splendor niemały spływa na naszego elekta!

Szlachcic z szyją długą słuchał obojętnie, oczyma biegając dokoła.

— No — no, panie Grzegorzu — odparł po namyśle — tak ono to się wszystko wydaje w łaskawych oczach waszych—ale... ba! ba! ba!

I ręką począł w powietrzu dziwnie kręcić, głową też potrząsać, a po ustach uśmiech mu szyderski latał.

— Na oko, w istocie — mówił dalej — *splendidissime* wszystko to wygląda. Możnaby sądzić, że pan nasz szczęśliwy, potężny, bogaty i że mu ptasiego mleka tylko braknie; — a no w rzeczy samej wcale jest inaczej.

Grzegórz zdumiony, wydobył z za pasa ręce, okryte futrzanemi rękawicami.

— Co asindziej mówisz? — zakrzyknął — możesz to być?

Szlachcic o długiej szyi strząsnął się, bo mu zimno być musiało, i rzekł:

— Ja tu, mosanie, na mrozie i wietrze długo w konwersacyi nie dotrzymam, chcesz pogawędzić, idźmy gdzie pod dach, bo wiatr smaga i mróz się wzmaga.

— A gdzież tu pod dach? — westchnął Grzegórz—wszędzie jak nabito. Za husarzami, za hajdukami, za czeladzią królewską nigdzie się nie docisnąć.

— Ja tu mam braciszka znajomego, a po trosze i krewnego — przerwał tamten z otuchą. Mała figurka, bo nawet nie mszalny, tylko — braciszek, ale wiele dziś znaczy, bo mu, słyszę, dozór nad śpiżarniami i piwnicą powierzono.

— A jakże wy się chcecie do niego dostać? — zawołał Grzegórz, — toż to właśnie jak na lep wszyscy muszą do niego się ściągać — i oblegać.

Chudy głową potrząsnął.

— On nikogo nie wpuszcza do siebie — rzekł—a choć w sukni zakonnej chodzi, ale to taki zawadyjaka, że sobie nikomu nie da imponować, a siłę ma po temu, bo z jego garści trudno całym wyjść. Dla tego pewnie go na straży tych skarbów postawiono. Chodźcie za mną— spróbujemy.

Próbować w istocie trzeba było, to też nie bardzo szczęśliwie przecisnęli się do klasztoru, bo im bliżej murów i wnijść, tem tłum stał gęstszy, a gdzieniegdzie tak zbity, że na wpół zduszone niewiasty w niebogłosy krzyczały.

Nie byłoby się im może udało wnijść do środka, bo tu straż wojskowa nie dopuszczała lada kogo, gdyby u drzwi bocznych klasztoru nie wybiegł w habicie paulinów, w czarnej z futerkiem czapeczce na głowie, mężczyzna olbrzymiej statury, z twarzą rumianą, z oczyma na wierzch wysadzonemi, z wargami na wpół otwartemi jakby niedokończonem wołaniem.

— Ojcze Czesławie!—zawołał, rękę ku niemu wyciągając w lisiurkę odziany,—na miłość Bożą, pozwól nam we dwu przysiąść i spocząć u siebie!

Usłyszawszy ten głos błagający, niezmiernie zajęty i śpieszący zakonnik skrzywił się, ale poznawszy mówiącego, twarz mu się rozjaśniła.

— A, Ireneusz... jak Bóg miły! a ty tu skąd! — zawołał.

— Nie pytaj, a ratuj—odparł chudy—boki mam poobijane, a uszy bodaj poodmrażane. Zlituj się!

— Wielu was jest? — zapytał Czesław.

— Dwu tylko, dwu! daję słowo...

— Czekajcież tu na mnie, gdy powracać będę — rzekł zakonnik, głos zniżając — zabiorę was z sobą.

Dokończywszy tych słów, a odpowiedzi nie czekając, puścił się O. Czesław pośrodkiem największego ścisku i ciżby i tak sobie umiał przejście zdobywać potężnemi rozmachami, że ludzie aż się sklaniali. Wkrótce znikł gdzieś w stronie kuchni, a oczekującym nic pozostawało nic, tylko rękami bić po plecach dla rozgrzania się i tupać nogami.

Chwila oczekiwania wydała się dosyć długą, ale tłum znowu falować i przeć się zaczął, a czarna czapeczka z uszami O. Czesława wypłynęła po nad głowy, i mnich dał im znak, aby w ślad za nim postępowali.

Nie było to łatwem, bo miejsce sobie musieli przebojem zdobywać, a.e z pomocą zakonnika zsunąwszy się w progu po dwu stopniach w dół, znaleźli się w korytarzu, gdzie już nie było takiego natłoku; nareszcie mogli odetchnąć, chociaż i tu pusto nie było.

Ruch panował wszędzie ogromny.

Szli w milczeniu dalej i coraz dalej krużgankami aż do drzwi, które kluczem z kieszeni wydobytym otworzył O. Czesław i wpuściwszy ich do wnętrza za sobą zatrzasnął.

Nie była to cela zakonna, jak się spodziewali, ale rodzaj składu czy śpiżarni, na ten czas w wielkim nieładzie.

O. Czesław witał ich uśmiechem.

Dwa stołki może sobie gdzie znajdziecie, albo zydel, albo pustą faseczkę, odpocznijcie, ja czasu nie mam. Patrzcie co tu się koło mnie dzieje.

W istocie nie jedne ale dwie izby dosyć obszerne, polepione, które para okien po nad samą ziemią umieszczonych, oświecała skąpo, bo w dziedzińcu ludzie stojący całkiem je prawie zasłaniali, wyglądała na śpiżarnię na wpół zrabowaną.

Nie było czasu porządku utrzymać żadnego. Tuż przy drzwiach stała ogromna baryłka; czuć ją było octem, którego pełną być musiała... dalej parę beczek z liwarem i z balijkami, — ogromna fasa z nadwerężonemi obręczami, na podłodze konewki, wiadra — necki. Na ścianach pułki zastawione były garnkami przeróżnej wielkości: czarnemi, czerwonemi, białemi, butlami i słojami. W drugiej izbie był wprawdzie stół jako tako z desek zbity i zydelek przy nim, ale jedno i drugie zarzucone naczyniami i szmatkami, tak, że miejsca tu sobie znaleźć nie było łatwo.

— Gospodarujcie, siadajcie, a mnie nie pytajcie — zawołał O. Czesław... nie mam na nic czasu. Zdano na mnie śpiżarnię królewską, w części i klasztorną, głowę tracę... Gdzie tu temu wydołać!... A co nakradną przy tej sposobności—strach pomyśleć. Cynamon, goździki, pieprze najprzedniejsze, centnarami im trzeba wydawać!

Chwycił się za głowę, ale nie tracąc czasu, mówiąc, ze stołu wziął gąsiorek próżny, powąchał go, przystawił z lejką do beczki, natoczył płynu bursztynowego koloru i postawił przed gośćmi, którzy na zydlu przysiedli. Oczyma poszukał kubków, prędko je zdjął gdzieś z półek i rzekł:

— Ogrzejcie się!... ale nie przebierajcie miary.

Okrągłemu szlachcicowi cała twarz drgać i śmiać się zaczęła, aż do najmniejszej zmarszki. Zdawało się, że nawet włosy trochę po zdjęciu czapki rozrzucone, wesołość tę oblicza dzielą.

— Dobroczyńcą naszym jesteście!—zawołał,—bo to mróz, wiatr, że człowiek do szpiku kości przemarzł.

— To ostatki już zimy — przerwał zakonnik, dziś a jutro nastąpi odwilż i wiosna.

— Ej?. ej? podchwycił p. Ireneusz — a wy to skąd wiecie?

— Pijawki mi to powiadają, a to nigdy nie chybia — odpowiedział O. Czesław, który nie przerywając rozmowy, ciągle się krzątał, chodził, coś dobywał, zawijał, mruczał, ważył na szalkach... a na chwilę nie spoczął.

— Panu Bogu podziękuję, gdy się to wszystko skończy, mówił — a Najjaśniejsi Państwo do Warszawy odjadą. Szczęść im Boże!! Ale, dziś dopiero wieczorem sam król przybywa, jutro ślub: uczta potem, a wesele, tak, że ledwie na Św. Kaźmirz stąd wyruszą. Przez wszystek ten czas, ani się pomodlić, ani zdrzemnąć. Modliwy odmawiam chodząc, a często jednę pięć razy poczynam nie mogąc dokończyć. Pan Bóg mi to przebaczy, bo pierwsze posłuszeństwo, niż nabożeństwo, wedle reguły zakonnej.

— Ale to na was zbyt wielkie włożono brzemię, kochany wujaszku — odezwał się chudy p. Ireneusz, żeby wam choć do pomocy kogo dali.

— Miałem ich dwu! — zawołał O. Czesław — cóż myślicie? tylko mi przeszkadzali, a bałamucili — wolę sam... Otarł pot z czoła, bo mimo chłodu, pocił się i cały był zdyszany...

Ireneusz spoglądał na niego z czułością wielką...

Jak mi żal was! — wyjąknął, ale dla króla to naszego czynicie, a to jest nasz król, nasz!!

Jakto nasz? — zapytał zakonnik...

— Bo myśmy go, a nie panowie i senatorowie królem okrzyknęli — rzekł Piotrowski, gdyż on to był...

— No — to ja wam powiem — rozśmiał się O. Czesław — że choć się jutro z cesarzówną żeni, choć go splendory królewskie otaczają, ale nie musi wam być wdzięcznym!

— Jakto? dlaczego?—krzyknął Piotrowski.

Zakonnik się rozmyślił, potarł ręką po twarzy, odetchnął i nie odpowiadając, zapytał:

— Możebyście co przekąsili!...

— A! co tam, przekąsili—podchwycił Piotrowski — nie o przekąskę idzie, ale coście powiedzieli? Dla czego wdzięcznym być niema?

Ojciec Czesław, który towarzystwa swojego siostrzeńca nie znał, zamruczał tylko:

— Ciężka to rzecz korona królewska; ta którą nam na głowie balwierz wygoli, daleko lżejsza i łatwiej ją nosić...

To mówiąc, obrócił się do swych faseczek i począł gospodarować.

Orzeźwiająca woń korzennych przypraw rozeszła się po izbie... krągły p. Grzegorz nosem ją wciągał z przyjemnością.

— Toć to będą łakocie — szepnął — a na te tłumy gości, jak nastarczycie... — dalipan ani wiem!...

— Nastarczym — rzekł śmiejąc się ojciec Czesław — bo nas uprowidowano i my się sami też zmogli na zapas taki, aby lepiej co pozostało, niż odrobiny zabraknąć nam mogło...

— Co wy sobie myślicie? hę? zjedzą nam husarze i wojsko z senatorami razem czterysta wołów? cztery tysiące baranów, drugie tyle z czubem jagniąt, sto jeleni, pięciu łosiów, parę tysięcy zajęcy, kilkadziesiąt dzików, pięć tysięcy par kuropatw, sześć tysięcy indyków, trzysta bażantów—i cieląt już nie wiem wiele...

Szlachcice za głowy się chwycili...

— Tak, tak — śmiał się z ich podziwienia ojciec Czesław — ale pamiętajcie, że król prowadzi z sobą pułki całe, a to naród żar-

łoczny... czeladź i ciury też powietrzem nie żyją.

— A cóż oni wypiją! — zawołał okrągły szlachcic.

O! tego ani wymierzyć, ani obliczyć — mówił ciągle zajęty O. Czesław samego przedniejszego wina hiszpańskiego i węgierskiego beczek dosyć naściągano.

I co to kosztować będzie! — zamruczał Piotrowski...

Zakonnik się rozśmiał.

— Króla imci dosyć, a i klasztor nie mało, bo my choć ubodzy zakonnicy, nie możemy dopuścić, abyśmy też panu coś naszemu nie przynieśli. Gdyby mu to przynajmniej na szczęście było! — westchnął mnich — ale...

Ręką zamachnął i umilkł.

— A dla czegóż nie miałby być szczęśliwym? — odparł Piotrowski.

Ojciec Czesław długo nań patrzył.

— Bo te królewskie i cesarskie małżeństwa — rzekł — kojarzą się na los szczęścia... Nie znają się z sobą przyszli małżonkowie, a często jedno z nich kogo innego ma w sercu, a innemu rękę oddać musi... Na dwoje babka wróżyła!

— Nasz król — począł Piotrowski — nie mu ująć; młody, przystojny, wedle ich obyczaju ubrany i ufryzowany, grzeczny i układny, czemuby się podobać nie miał?

— Nie zapominajcie o tem, że z cesarskiego domu arcyksiężniczka — która może pamięta, jak u dworu nasz król naonczas podkomorzując, chodził za stołem... nosem będzie pokręcać...

Zamilkł chwilę ojciec Czesław.

— Jako powiadam wam, po co mu było koniecznie cesarzówny albo królewny szukać — dodał — wybraliście Piasta, trzeba mu było

Rzepichy poszukać, a byłaby się znalazła — z rakuskiego zaś domu...

Ksiądz się zamyślił i urwał nagle... bo do drzwi stukać zaczęto. Wybiegł, za głowę się porwawszy. W pierwszej chwili słychać było głosy pomieszane... Ojciec Czesław spierał się i fukał...

Kuchmistrze nalegali i naostatek poczęto coś wydawać, a szlachcice zdala świadkami byli, jak zabierano oberemkami najkosztowniejsze przyprawy.

— Nam w domu, czasem chrzanem, koprem i kminem obchodzić się trzeba — rzekł — Grzegórz — i jakoś się z tem żyje, ale tu... korzenno być musi, a dostatnio... my też ogórkami się obchodzim, gdy im limonii i pomarańcz mało.

Odprawiwszy kucharzy, O. Czesław powrócił.

— Nie powstydzimy się choćby i cesarskiego dworu i cesarzowej matki, która córkę odprowadza — rzekł. — Kuchmistrzów mamy, z których jeden pryncypalny u Jerzego Ossolińskiego się aplikował, a potem kuchnię prowadził, inni też i za granicą u książąt różnych uczyli się swej sztuki... Obiecują też cuda! Sami cukiernicy co budują do postawienia na stołach, to tylko iść patrzeć, a zdumiewać się, z taką oni sztuką piramidy całe wznoszą... jakby z marmurów, alabastrów i kryształów...

Piotrowski się uśmiechał, po troszeczku wino cmoktając...

— A gdybyście byli króla tego naszego widzieli — począł z pod wąsa, — gdy w dzień elekcyi stał pod chorągwią, niepoczesny, skromny, zbiedzony...—na pole przybył, bodaj samotrzeć, konie pożal się Boże, barwa wyczesana... i to, cośmy dokazali, dziś on cesarzównę zaślubia—i tysiącami zamierza gości nakarmić.

— Ja zaś powiadam wam — przerwał zakonnik, aby tylko wdzięczen był... Nasza głowa kościoła — prymas cierpieć go nie może, choć musi, hetman także nieprzyjaciel, między senatorami dobrze połowa wrogi... gdyby mogli, w łyżce wody by go utopili.

— Ale królem jest! — podchwycił Piotrowski gwałtownie. — Na jego miejscu wszystkich tych wrogów króla, a *per consequens* i ojczyzny — nauczyłbym rozumu.

— Gdyby było komu pomódz — rzekł cisz ej zakonnik — ale on bez mała — sam stoi jak palec...

Zamilkli wszyscy.

— Teraz już mu szlachcic pomódz będzie trudno — odezwał się, pomyślawszy Piotrowski — ale, jednak, gdyby bardzo prymas ze swemi bruździł — kto to wie? możemy stanąć przy nim i obronić.

Ojciec Czesław zamilkł.

— Biedny to człowiek — rzekł po chwili — wiem od tych, co go otaczają. Męczennikiem jest, a siły mu Pan Bóg nie dał do takiej walki nieustannej, gdzie na każdym kroku trzeba patrzeć sidła i zasadzki. Powiadają, że czasem wszedłszy do gabinetu swego, modli się, a płacze; czasem wybucha, ale to ogień słomiany, podrażni tylko nim nieprzyjaciół, a nazajutrz zmięknie... A przytem — dodał cisz ej zakonnik — szczęścia niema! Nie mu się nie wiedzie. Bóg go kocha, bo mu krzyże zsyła. Dla tego ja i tego małżeństwa więcej się obawiam, niż się niem cieszę.

— Hm! — mruknął Piotrowski.

Zakonnik sparł się na stole i pochylił ku niemu.

— Ks. biskup chełmiński — ciągnął dalej — panu i królowi jak najlepiej życzył, swatając arcyksiężniczkę Eleonorę, ale czy o tem wiedział,

co ludzie powiadają, że była przeznaczoną księciu Lotaryńskiemu, z którym była od dzieciństwa w wielkiej i serdecznej poufałości? Jedzie pewnie ze łzami do nas, a ze wstrętem do narzeczonego, jej męża... a że krew w sobie czuje cesarską... ten zaś potulny i łagodny jest— czego się tu spodziewać?

— Ale bo — gwałtownie podchwycił Piotrowski — wy, mój ojcze, widzicie wszystko tak czarno, że aż mnie się zrobiło straszno w duszy... niech Bóg chowa!! Król mężczyzna!! powinien się postawić tak, aby mu nikt nie śmiał...

Dobrodusznie ojciec Czesław począł się śmiać.

— Ireneuszu mój — zawołał — widziałeś ty kiedy mężczyznę, aby nad niewiastą górę wziął?—nigdy w świecie! Dlatego ojcowie kościoła zowią ją kusicielką, istotą nieczystą, niebezpieczną. Grzech i kara na ziemię przez nią przyszły...

— Ale też i odkupienie — przerwał Grzegórz...

Zakonnik zamilkł chwilę...

— Tak, ale na to było potrzeba istoty bez zmazy poczętej i nad wszystkie niewiasty wyniesionej — odezwał się poważnie. A no dosyć tej teologii! — dosyć. Oto macie po kawałku piernika — dodał — pijcie wino, zakąście i wynoście się, bo ja muszę do ojca przeora, a potem do innych śpiżarni... Wszystko na mojej głowie.

Odprawieni w ten sposób goście, dopili kubki i podziękowawszy za przyjęcie, wyszli nazad w podwórce, gdzie ścisk się jeszcze powiększył, bo ciągle nadjeżdżały wozy królewskie i sługi. A około murów, bram, pełno było drabin i ludzi na nich, kończących przyozdobienia...

Kolebki na saniach właśnie zatrzymały się były za służbą, i jezdny, który im towarzyszył, wołał niecierpliwie, dopominając się stanowniczego... A nie łatwo go było odszukać.

W tłumie szeptano, że z Warszawy przybyły panie dworskie z ochmistrzynią, które przyszłej królowej fraucymer składać miały, i w istocie, z za firanek widać było wyglądające i kryjące się zaraz od ciekawych oczu twarzyczki kobiece.

Nim stanowniczy jeszcze się zjawił, młody dworzanin królewski pędem przybiegł do kolebek i począł do nich zaglądać, szukając kogoś znajomego.

Był to Kiełpsz, a domyśleć się łatwo, że kogo innego tak chciwie szukać nie mógł tylko panny Heleny Zebrzydowskiej, o której wiedzieć musiał, że się tu znajdowała. Jakoż wykrzyk wesoły oznajmił, że ją znalazł, ale twarz, która się ukazała, witając go, tak była blada i smutna, że nawet Kiełpsza wnet ostudziła.

— Czekamy, nie wiedząc, gdzie wysiąść i pomieścić się—odezwała się Hela obojętnie...— Nigdy tu nie byłam... a moją pielgrzymkę radabym rozpocząć od ołtarza Matki Boskiej, bo ona tu panią i gospodynią... Ale same z panną Popielówną i towarzyszką moją nie trafimy...

Ścisk okrutny, ale wziąwszy jednego z czeladzi — odezwał się Kiełpsz — podejmuję się panie do kaplicy wprost poprowadzić.

Kobiety już wysiadać miały, gdy Sobolewski stanowniczy przypadł zdyszany i nie dopuścił, mówiąc, że wyznaczone komnaty mają na dole, a z nich daleko łatwiej korytarzami dostać się do kościoła, nie potrzebując przez tłum się przebijać.

Tak się też i stało, on i Kiełpsz wysadzili wszystkie panie przed samemi drzwiami, u których straż stała i towarzyszyli im do sklepionych pokojów dla nich przeznaczonych, w których ciepło było i mniej więcej na przyjęcie gotowo. Rozumie się tylko, że przy takim natłoku, panie się musiały obozowem na ziemi posłaniem zaspokoić. Młode i wesołe, prawie wszystkie gościnę tę klasztorną przyjęły śmiejąc się ochoczo.

Kiełpsz, który Helę wprowadził, nie miał siły się od niej oddalić, chociaż ona wydawała się tak zmęczoną, była tak milczącą, jakby jej wszelkie towarzystwo ciężyło.

— Każesz mi pani sobie pokazać drogę do kościoła? jestem na usługi — odezwał się. — Gdyby nie to, nie byłbym natrętnym.

Kilka towarzyszek Zebrzydowskiej oświadczyło też chęć pomodlenia się naprzód przed cudownym obrazem, i Kiełpsz, teraz tytułujący się krajczym przyszłej królowej, poprowadził je znanemi już sobie przejściami do kościoła i kaplicy.

Tu jednak, mimo godziny, w której się już żadne nie odbywa nabożeństwo, ścisk pobożnych był tak wielki, iż fraucymer królowej z największą trudnością mógł się dostać do kaplicy... przepełnionej pobożnymi, z których wiele krzyżem leżało, płakało i modliło się głośno...

Cisza panowała tam i tylko przejmującemi niekiedy przerywana westchnieniami pobożnych, a z podwórców głuchy zaledwie szmer dochodził...

Helena upadła na kolana i cała pogrążona w jakiemś uczuciu głębokiem, zdała się zapominać, co się dokoła niej działo. Z oczyma wlepionemi w obraz ciemny modliła się gorąco.

Kiełpsz, stojący niedaleko, dojrzeć mógł płynące po jej twarzy łzy...

Długa chwila upłynęła tak, nim nareszcie zmęczone podróżą powstawać zaczęły, a jedna z nich szepnęła Heli, iż także powinna była iść, a spocząć.

Wstała więc i ona, powolnym krokiem z Kiełpszem idąc za swemi towarzyszkami.

— Króla się dziś spodziewamy — rzekł Kiełpsz—i radzibyśmy doczekać...

— Jedzie — krótko odparła Hela.

— Pani go pewnie widziała? — mówił dalej Kiełpsz — mnie się wydał, gdym go opuszczał, tak smutnym, że mi się serce ścisnęło. Ktoby się domyślił, że na wesele jedzie?

Hela westchnęła.

— Pan wiesz, że go zmusili do tego — odparła smutnie—ksiądz Olszowski głównie, który koniecznie chciał z domem cesarskim związku, bo się obawiał, aby francuskie intrygi nie uwikłały króla. Ale tak jedno jak i drugie ożenienie — biednemu panu...

Nie dokończyła i zamilkła.

— O, już to że biedny, to biedny, — szepnął nowomianowany krajczy, — my, co się ciągle o niego ocieramy, wiemy to najlepiej. Prymas i hetman w czem mogą i jak mogą szkodzą, nękają, sprzeciwiają się, prześladują, a on— jest zbyt dobry.

— A i to prawda—przerwała Hela żywo— nadto powolny i łagodny—ale natury jego nic zmienić nie potrafi... Co to małżeństwo mu gotuje—dodała—jeden Bóg wie... Miał dotąd przynajmniej czasem chwilę wytchnienia—teraz i tę mu ono odbierze.

— No — rzekł Kiełpsz — ja się tem pocieszam, że arcyksiężniczka młoda, król miły i umiejący serca pozyskiwać, nie może to być, aby ona się do niego, a on do niej nie przywiązał.

Na twarzyczce bladej panny Zebrzydowskiej nagle zjawił się rumieniec, oczy jej błysnęły ogniem jakimś dziwnym, wargi zadrgały, lecz nic nie odpowiedziała — a potem cicho szepnęła:

— Daj Boże! daj Boże!

— Pani widziała jej konterfekt? — zapytał Kiełpsz.

— Tak — król mi go pokazywał — odparła krótko.

— Dosyć przystojna — odparł krajczy.

— Ja tego nie znajduję — rzekła Hela — twarzyczka pospolita, a wyraz jej dumny... Zresztą malarze nie zawsze trafiają.

— I to też pani słyszeć musiała — szepnął Kiełpsz — bo to wszyscy powtarzają, że była słyszę przeznaczona, innemu... Lotaryńskiemu podobno, z którym się znała od dzieciństwa.

— Żal mi jej — odpowiedziała Zebrzydowska — bo jeszcze za swój los na naszym panu mścić się gotowa.

— Ja nie wiem — począł młody krajczy — ale mnie się zdaje, że naszego króla choćby kto miał nawet ochotę nienawidzieć, on go swą dobrocią i łagodnością rozbroi. Prawda, że tego starego nieznośnego klechę nie potrafił skruszyć, ale — to człowiek nie... dobry... niech mu Bóg nie pamięta.

Szli tak powoli, po cichu rozmawiając, aż ku drzwiom pokojów, przeznaczonych dla fraucymeru. Kiełpsz westchnął.

— Panno Heleno — rzekł pocichuteńku — kiedyż ja się doczekam tego, co dla mnie jest życiem, lub śmiercią? Mam przyrzeczenie, że...

Hela podniosła oczy ku niemu.

— Panie Zygmuncie — odezwała się — cierpliwości! — Myślmy teraz o królu, nie o sobie.

— Ale ja już czekam tak długo?

— Chcesz więc, abym prędzej mu podziękowała? i powiedziała — nie mogę?

— A! Boże uchowaj!—krzyknął aż nazbyt głośno, zapominając się Kiełpsz.—Gotowem czekać, byle nie dostać grochowego wianka. Ja wiem, iż jej wart nie jestem, panno Heleno — ale kocham tak.

Nastąpiło milczenie. Szli już do drzwi, Kiełpsz schylił się do jej ręki, pocałował ją i musiał odejść, a fraucymer wesoło wbiegł do przeznaczonego mu mieszkania.

Zadumany krajczy wolnym krokiem udał się ku wyjściu. Co chwila króla się spodziewano, a choć przyjęcie tego dnia nie miało być uroczyste — duchowieństwo, senatorowie i wojsko wyglądało przybycia.

Późno już kolebka otoczona znacznym oddziałem jazdy, a za nią, dwie inne, wszystkie na saniach, ukazały się we wrotach i król wprost udał się do kaplicy, na której progu biskupi, przeor i mnogi kler oczekiwał na niego. Lubomirski i jeden z młodych Paców mu towarzyszyli.

Przed ołtarzem padł na kolana i modlił się. W godzinę potem już — sam jeden — siedział z Lubomirskim · zamknięty, wyprosiwszy sobie spoczynek. Marszałek dworu przyjmował gości w refektarzu... Wieczerzę królowi podano osobno... — ale tego dnia — ów, co jeść zwykle lubił i był smakoszem, nic prawie nie tknął.

Lubomirski patrzył i ramionami poruszał.

— Zmęczony jesteś — rzekł z dumną poufałością do niego.

— Nie — odparł Michał — jestem jakiemś przeczuciem, trwogą, niewypowiedzianą tęsknicą przygnębiony.

Załamał ręce.

— Ja jej, ona mnie nigdy kochać nie będzie — począł chmurno. Obojętną może pozostać—serca zmusić niepodobna, wiem, że kocha innego, ale mścić się może zechce na mnie za to, że los mnie jej narzucił.

— To są urojenia—rzekł Lubomirski, tak jak ów projekt wydania jej za Lotaryńskiego, jest plotką. Tworzysz sobie troski przedwczesne...

Król westchnął i ręce na piersiach złożywszy, chodzić począł.

— Wszystko to być może — rzekł, nazwij urojeniem, jak chcesz — czuję nadciągającą burzę nową. Powiedz mi, com ja zawinił, że tak pokutować muszę. Wiesz, co cierpię.

— Zawiniłeś, bracie mój, a najjaśniejszy panie — odezwał się Lubomirski, usiłując rozmowę czynić weselszą — tem, że wszystkich chcesz rozbrajać dobrocią, ujmować łagodnością.

— Próbowałem iść za radą waszą — przerwał król — sam wiesz, żem kilka razy otwarcie i groźno wystąpił, cóż to pomogło? podrażniło ich tylko.

— Bo wiedzieli dobrze, iż to nie wyszło z ciebie, ale z nas, że trwać nie mogło. Bądź nieubłaganie surowym.

— Cóż to pomoże? uśmiechając się smutnie — odparł król. — Prymasa złożyć nie mogę, skarżyć się na niego do Rzymu, — nie pomoże nic. Hetmanowi władzy nie mam odebrać prawa. Ufają w to — i póki ja i óni żyją — wojna trwać będzie.

Lubomirski zamilkł.

Zapukano do drzwi, wszedł dworzanin służbowy.

— Co przynosisz?—spytał król.

— Cesarzowa stanęła na noclegu szczęśliwie i nasz posłaniec przybył oznajmić o tem.

Zdaje się, że do jutra też i śnieg tajać zacznie, bo się na odwilż zbiera, kolebki więc nasze pójdą łatwo, a gościniec, już ludzie spędzeni z okolicy znacznie oczyścili.

Król dał tylko znak głową, dworzanin wyszedł. Stał długo w miejscu zadumany.

— Gdy mnie okrzyknięto — odezwał się do Lubomirskiego chmurno — mimowolnie mi się wyrwało z ust *Transeat a me celix iste;* dziś też same wyrazy powtarzam w duszy — ale kielich żywota mego pełen goryczy spełnić potrzeba do dna! Bądź wola Twoja!...

II.

Nazajutrz dnia 27-go lutego, ironią losu wypogodziło się niebo, ociepliło powietrze, zaświeciło słońce, jak gdyby dniem tym przepowiadało długi szereg szczęśliwych! wszyscy to sobie tłómaczyli gwiazdą pomyślną nowożeńców — błogosławieństwem Bożem. Król nawet, choć blady i zmęczony, wstał uspokojony nieco, usiłując się z przeczuciem swojem pogodzić.

Od rana wszystko było w ruchu w klasztorze i na mieście, i co miało towarzyszyć królowi, gotowało się wystąpić świetnie.

Już na granicy cesarzowę matkę, odwożącą córkę mężowi przyszłemu, — półtrzecia tysiąca szlachty zbrojnej i strojnej z przepychem, na jaki się tylko zdobyć mogła, oraz swą królowę przywitało.

Jechała ona nietylko w towarzystwie swej matki, ale razem ciotki swej, Maryi Anny mantuańskiej i młodszej siostry... Rodzina ta zda-

wała się rozstawać z obawą z przyszłą królową i dodawać jej męstwa do spełnienia ofiary, której cesarz Ferdynand III, wymagał po córce. Nie było tajemnicą, że Eleonora jechała, zalewając się łzami, narzekając na losy, oburzając przeciwko temu gwałtowi, jaki jej polityka ojca zadawała. Musiano przez całą drogę łzy jej osuszać, pocieszać, utulać rozżaloną, ale razem oburzoną i gniewną przeciwko swemu przyszłemu małżonkowi.

Szeptano o tem i w otoczeniu króla po cichu, pocieszając się, iż czas złagodzi tęsknotę, zbliży i przejedna. Senatorowie królowi oddani i wszyscy, co o cześć jego i narodu dbali, wysilali się teraz, aby przyjęcie cesarzowej i dostojnych jej towarzyszek—uczynić prawdziwie królewskiem i wspaniałem. Wysilano się na wystawność, na okazanie bogactwa Rzeczypospolitej. Ze skarbca, wszystko, co mogło uświetnić przyjęcie, pomnożyć jego wspaniałość, przywieziono z Krakowa... Kościół i sale, w których gości miano przyjmować, zawieszone całe przepysznemi kobiercami, temi, wedle rysunków Rafaela i Gulio Romano, które stanowiły jedną z najkosztowniejszych spuścizn po Jagiellonach, — jaką się żaden naówczas królewski skarbiec poszczycić nie mógł. Wszystkie srebra i klejnoty koronne, najpiękniejsze naczynia, najrzadsze i misterne rzeźby z kruszców drogich zdobiły kredensy częstochowskie.

Zarówno ten orszak, towarzyszyć mający królowi, jak konie i kolebki dobrane były najtroskliwiej. Ubogi ów królik szlachecki widział się otoczonym bogactwy i wytwornością wyszukaną, którą lubił i cenił wysoko...

Sama liczba pocztów, jakie z nim przybyły do Częstochowy, mogła dać wysokie pojęcie o zasobach Rzeczypospolitej... a dobór młodzieży

rycerskiej, starszyzny poważnej, składał się na obraz niezrównanie uroczysty i świetny. Od lam złocistych, klejnotów, któremi okryte były uzbrojenia, rzędy na koniach, dyndyki, sahajdaki i tarcze, jakby deszcz ognisty sypał się i oślepiał. Oprócz owych pół trzecia tysiąca szlachty, która od granicy towarzyszyła cesarzowej Eleonorze do noclegu i z niego wróciła do króla, aby się połączyć z jego orszakiem, miał Michał przy sobie pięciuset halebardników w barwie królewskiej, kosztownie przybranych i jeszcze około dwóch tysięcy szlachty z całym przepychem, na jaki się zdobyć mogła, ciągnącej na straży osoby króla... Niemniej nad osiemdziesiąt kolebek złocistych i srebrzystych, obitych aksamitami, wyścielanych lamami i adamaszkami wiozło urzędników i senatorów i dwór pański. Kolebka przepyszna, w której jechał król aż do miejsca, wyznaczonego na spotkanie z cesarzową, zaprzężona była ośmią końmi białemi, a trzy jej podobne szły przeznaczone dla przyszłej królowej i jej orszaku... Za powozem króla masztalerze i koniuszy prowadzili cudnej urody wierzchowca, którego król miał dosiąść dla spotkania cesarzowej.

Niemy, zamyślony, blady, jechał król. Na samem wsiadaniem w Częstochowie, traf chciał, że spotkał u drzwi nadchodzącą z innemi paniami Helę Zebrzydowską, oczy ich zeszły się we wejrzeniu smutnem, łzami osłoniętem. Michał chciał się zatrzymać, aby przemówić do niej słowo, zawahał się, lecz nieubłagana konieczność etykiety dworskiej zbliżyć mu się do niej nie dozwoliła.

Król sam jechał w swej złocistej kolebce, strojny z wykwintnością największą, okryty sobolową delią... której spięcie samo karbunkułami ogromne, jak słońce grzało.

Niedojeżdżając do Chlęchowa dano znać,

że powozy cesarzowej widać było na gościńcu... Zatrzymały się orszaki, stanęła kolebka i królowi podano konia, którego dosiadłszy, otoczony wyborem młodzieży z senatorów, wyprzedził pochód, aby powitać swą przyszłą... W chwili, gdy mu podawano złote strzemię... koń, którego miał dosiąść, pośliznął się na topniejącym śniegu i upadł na przednie nogi. Nie trwało to jednak nad jedno oka mgnienie i pochwycił się natychmiast pełen ognia, tak, że zaledwie bliżej stojący, ten *omen* fatalny dostrzegli...

Stosunkowo do wytworności pocztów i powozów królewskich, nadciągające cesarzowej nie wydawały się bardzo świetne, ale w tem ich zaniedbaniu i braku ozdób i świecideł była powaga jakaś i majestat, na których orszakowi króla zbywało...

W wielkiej kolebce siedziały cesarzowa matka, której rysy nosiły na sobie ślady piękności przekwitłej, narzeczona króla, Eleonora, a naprzeciw nich księżna mantuańska i młoda księżniczka, siostra Eleonory...

Powozy zatrzymały się u namiotów rozbitych, do których droga suknem była wysłana i tu pierwsze uroczyste, z mowami i podziękowaniami nastąpiło powitanie... Przyszli małżonkowie spojrzeli na siebie—w wejrzeniu tem cała przyszłość się zawierała... Wzruszenie nawet nie przeszkodziło arcyksiężniczce Eleonorze we wzroku, jakim zmierzyła męża, zawrzeć groźby i niechęci... Szyderski uśmiech zadrgał na jej ustach, a jasne źrenice, od płaczu zarumienione, jakby strzałą przeszyły Michała, który zdawał się błagać litości.

Postawa jego skromna, wyraz twarzy łagodny nie rozbroiły narzeczonej, wzrok jej nie stał się słodszym, ani mniej groźnym. Mówiła, że pozostanie nieprzebłaganą.

Cesarzowa matka za siebie i za córkę mu-

siała okazywać uprzejmość i wesele — twarzą już nawykłą do tego przymusu dworskiego, który uczy śmiać się i smucić na rozkaz dany... choćby serce płakało i krwią zabiegało...

Takiemi wyuczonemi uśmiechy witały króla dwie księżne pokrewne... Michał, chociaż powagę swą królewską dobrze utrzymać umiał, nie potrafił jednak ukryć całkiem wrażenia, jakie na nim uczyniło wejrzenie przyszłej żony, które ile razy spotykał, powtarzało mu tę samą groźbę przyszłości...

Królowa nie wydała mu się piękną, chociaż świeża jej twarzyczka, płeć delikatna, rysy dosyć szlachetne, nadawały jej fizyognomię wyrazistą; ale nie było w niej nic sympatycznego, pociągającego, niewieściego, a duma rodu cechę na niej piętnowała odstręczającą. Dziecię Cezarów zdawało się mówić całem obliczem, iż nikomu z sobą na równi stanąć nie dozwoli.

Powitanie też było, pomimo uprzejmości cesarzowej matki, zimne i suche... a narzeczona widocznie unikała potem, aby się jej oczy nie spotykały ze wzrokiem przyszłego męża...

Wysłuchano mów i powinszowań, w czasie których przyszła królowa dawała znaki zniecierpliwienia i orszak znowu złożył się jak wprzódy, z tą różnicą, iż król konno jechał u kolebki, po stronie, z której siedziała Eleonora.

Przez cały ciąg drogi do Częstochowy, w czasie którego muzyki przygrywały, a potem bicie we dzwony i wystrzały z dział rozmowę i wymianę choćby kilku słów, czyniły niepodobną, król jechał milczący, oczyma sięgając napróżno w głąb kolebki, w której siedząca pani zdawała się rozmyślnie spojrzenia jego unikać.

Wszystko zresztą ściśle podług programu dopełnionem zostało, w kaplicy przed obrazem cudownym, młoda królowa zdawała się nabierać męstwa... i łzy już nie uroniła... Uklękła na modlitwę, w dłoniach zanurzyła twarz i pozostała tak chwilę długą, dopóki matka nie przyszła ją wyrwać z tej zadumy pobożnej...

. . . . . .

Młoda para sama jedna w obszernej komnacie sypialnej, której środek zajmowało szkarłatnym pawilonem na złoconych kolumnach, okryte szerokie łoże—stała niema przeciwko sobie.

Zmuszona spocząć na chwilę, obok małżonka, zaledwie drzwi się zamknęły za odchodzącą cesarzową matką, zerwała się szybko Eleonora i osłaniając płaszczem białym ze złotem szyciem, który miała przygotowany, drżąca, poruszona, wybiegła oddalając się w głąb komnaty. Z trwogą i groźbą razem w oczach, spoglądała w stronę, gdzie mąż pozostał.

Michał podniósł się też żywo i z początku stał niepewny, potem krokiem powolnym zbliżać się począł do żony. Ale w miarę, jak do niej podchodził, Eleonora usuwała się przed nim, a doszedłszy do stołu, na którym przybory toaletowe rozłożono, podniosła głowę i wzrokiem odpychającym, rzuciła na męża.

Michał zatrzymał się i jak winowajca, czekał—wyroku, czując, że ów mu zagraża...

Nierychło z ust królowej dobył się głos łkaniem tłumiony.

— Najjaśniejszy panie — rzekła, wysilając się, aby spokój i powagę odzyskać — proszę mnie posłuchać...

Król głową skinął.

— Zostałam zmuszoną oddać wam rękę— ciągnęła dalej—nie pytano mnie o serce... Ono

oddawna do kogo innego należało... Jestem otwartą i szczerą, oznajmuję mu to. Połączono nas przed ołtarzem, winnam mu posłuszeństwo, ale nie dam sobie zadać gwałtu, a spodziewam się, że nie zechcesz z praw swych korzystać...

Poruszyła się żywo i chwyciwszy ze stołu flaszeczkę lavendryny przyłożyła ją do twarzy, aby orzeźwiającym jej zapachem odetchnąć. Oczy nabrały blasku rozpaczliwego, cała drżąca, oczyma trzymała osłupiałego Michała w oddali od siebie...

Król długo nie mógł odpowiedzieć...

— Bolesny to wyrok dla mnie — rzekł nareszcie — ale potrafię mu się poddać, dopóki okoliczności go nie zmienią. Pani może poznasz mnie lepiej...

— Ale postanowienia mojego nie zmienię nigdy! nigdy! — powtórzyła z naciskiem Eleonora. — Dla oczów ludzkich muszę być żoną jego, ale żadna siła zmusić mnie nie może, poddać się narzuconemu mi jarzmu nienawistnemu...

Wasza królewska mość wiedziałeś o tem, bom mu znać dała przez osobę zaufaną, że mężem moim być nie możesz... Należało zerwać układy.

— Nie zależało to odemnie — słabym głosem odparł Michał. Nawet najjaśniejszy ojciec was nie byłby zezwolił na to...

Eleonora potrząsała głową i jakby sama do siebie pomrukiwała ciągle.

— Nigdy! nigdy!

Wtem uczuła, że osłabła od wzruszenia, nogi drżały pod nią i padła na stojące blizko krzesło. Głowę sparła na ręku, nie patrzyła już na męża, po twarzy widać było kroplami spadające łzy, których nie ocierała...

Michał stał jak wryty.

— Co mi pan rozkażesz?—zapytał chłodno.

— Abyś się wasza królewska mość oddalił — rzekła żywo. — Zmęczenie podróżą, wzruszenie, będzie tłómaczyć potrzebę spoczynku...

Król słuchał, lecz nie ruszył się z miejsca.

— Zbyt to byłoby upokarzającem dla mnie — odezwał się. — Oczy wszystkich są na nas zwrócone, na cóż mamy złośliwym dostarczać karmi.

— Mnie to bynajmniej nie obchodzi — żywo przerwała, poruszając się królowa. — Dziś lub jutro wielka tajemnica ta, że ani ja, ani serce moje nie należą do waszej królewskiej mości, zostanie odkrytą i powszechnie wiadomą. Potrzeba przygotować się do tego...

— Może to być pani obojętnem — odparł król powoli — ale ja, jako panujący, mając dosyć nieprzyjaciół, nie chcę się im dawać na pośmiewisko. Nie dopominam się praw moich, lecz zachowanie form pewnych warować sobie muszę.

— Prawa! warować! — pogardliwie i gwałtownie podchwyciła Eleonora. — Ja żadnych praw nie uznaję, ani ich sobie dyktować pozwolę...

I dumnie spojrzawszy z góry na nieszczęśliwą swą ofiarę, odwróciła się ze wstrętem. Powolnym krokiem Michał przeszedł się po komnacie zamyślony.

— Pozostanę tu parę godzin—odezwał się, zabierając miejsce zdala na sofie, na sposób turecki wysłanej.—Wasza królewska mość możesz iść na spoczynek i namiot nad łożem zapuścić.

Obojętność, z jaką te wyrazy Michał wymówił, zdawała się uderzać królowę, spojrzała z ukosa na niego, jakby chciała wziąć miarę siły jego i charakteru. Na pytanie odpowiedzi nie dając, pozostała w krześle, rzeźwiąc się

ciągle oddychaniem woni, którą przy ustach trzymała.

Nastąpiło długie, głuche milczenie. Nieporuszony, z oczyma wlepionemi w posadzkę — król Michał siedział. Eleonora niespokojna, rzucała się na siedzeniu.

Z dala zegar wieżowy bił powolnie godzinę.

Rozmowa zerwana nie zawiązała się już więcej, aż w chwili, gdy po godzinie upłynionej, król powstał z siedzenia. Eleonora poruszyła się, mierząc go wzrokiem.

— Wasza królewska mość — odezwał się zimno małżonek, zabierając się odchodzić—pozwolisz mi, abym z najjaśniejszą cesarzową matką otwarcie pomówił jutro. Nie godzi się i sumienie nie pozwala kłamać przed nią—milczeniem nawet. Powinna wiedzieć, w jakiem położeniu zostawia mnie i panią.

Eleonora krótko się namyśliła, brwi ściągnęła.

— Nie rozumiem — rzekła — na co się to przydać może, gdy ani rozkaz matki, ani żadna przemoc nie zmusi mnie zmienić mego postanowienia. Będę dla waszej królewskiej mości i dla świata—królową, ale żoną jego nigdy! Pytać mnie o to, co masz uczynić, nie potrzebujesz wasza królewska mość. Oskarżanie mnie przed matką nie polepszy stosunków naszych, zwiększy tylko tę niechęć, ten wstręt, który miałam i mam do niego, i taić go nie będę. Zresztą czyń wasza królewska mość, jak mu się podoba.

Milcząc Michał ukłonił się i wyszedł.

Nazajutrz w przepysznie przystrojonym refektarzu zastawione stoły czekały na młodą parę, która wraz z cesarzoną matką pod baldachimem na podwyższeniu zasiadła, mając przy sobie dwie księżniczki.

Dwór przepełniał salę, w której dostojniejsza część towarzystwa przy osobnych stołach się mieściła, a reszta w kurytarzach i dolnych izbach klasztornych rozdzieloną była. Małżonkowie dotąd nie zamienili słowa nawet, a cesarzowa matka sama tylko niekiedy przerywała uprzykrzone milczenie. Usprawiedliwiała je po części szumnie huczna muzyka.

Król jednak co chwila obracał się do żony, na ustach drgały mu pytania, ale ostre wejrzenie oniemiało. Parę razy Kiełpsz zdala dostrzegł, iż Michał zwrócony do żony mówił coś do niej, i widział też, jak krótko, niechętnie, zbywając go, Eleonora odpowiadała.

Po twarzy cesarzowej matki, która przy królu siedziała, przebiegały widoczne oznaki niepokoju i frasunku, po kilkakroć przechylała się do córki, starała wzrok jej spotkać i oczyma jej coś powiedzieć, lecz nie odniosło to żadnego skutku; królowa Eleonora pozostała jakby sztywną lalką, wyuczoną pewnych ruchów, które z lodowatą obojętnością spełniała.

Michał wysilał się na wesołość pozorną, na ożywienie, które udawać musiał.

Uczta w tych warunkach przeciągająca się długo dla form, które jej towarzyszyły, stokroć jeszcze nieznośniej dłuższą wydać się musiała obojgu królestwu. Przed oczyma ich obraz ten przesuwał się zamglony, niewyraźny, a odgłosy wesołe, okrzyki — brzmiały jak urągowisko.

Naostatek owoce, cukry i olbrzymie piramidy ozdobne z napisami i godłami oznajmiły koniec tej męczeńskiej biesiady.

Kiełpsz, który jako nowomianowany krajczy, posługiwał ciągle swej pani, miał jednak dosyć czasu, aby drugiej, tej, która go stokroć więcej pociągała ku sobie, pozostać wiernym i dać dowód, że nie zapomniał o niej.

Dwór niemiecko-włoski i polski młodej królowej siedział u drugiego stołu, a jedno z przedniejszych miejsc przy nim zajmowała, jako powinowata królowi, Helena Zebrzydowska. Wśród mnóstwa ładnych twarzyczek, które jak grzędy kwiatków, całą stronę osobnego stołu zajmowały, Hela odznaczała się tak klasyczną regularnością rysów i wyrazem ich niemal surowym, a tragicznym, iż wszystkich oczy ściągała na siebie. Ubrana wykwintnie, ale z prostotą, o ile ona przy uroczystem wystąpieniu zachowaną być mogła, Zebrzydowska miała w sobie coś zagadkowo pociągającego.

Mimowolnie pytał się każdy, patrząc na nią — kto być może ta młoda istota, piękna, poważna, a tak smętna, jakby od kolebki chodziła w żałobie. Miejsce jej u stołu tak szczęśliwie wyznaczonem zostało, że miała naprzeciwko siebie króla i królowę, a oczy jej nie schodziły z obojga, szczególniej z Eleonory.

Badała ją wzrokiem, starała się odgadnąć i sięgnąć do głębi duszy, a doznane wrażenie ściągało jej brwi, chmurzyło twarz i czyniło coraz posępniejszą. Kielpsz coraz to podbiegał nieznacznie.

— A cóż, królowa? — szeptał.

Hela nic nie odpowiadała.

Za drugim czy trzecim razem szepnęła do niego:

— Słyszałeś ją pan mówiącą?

— Dotąd nie; ani mówi, ani jeść raczy, talerze odbieramy nietknięte. Napiła się wody z winem.

— A król?— cicho dodała Zebrzydowska.

Król próbował parę razy pytać o coś, ale nie ręczę, czy odpowiedź otrzymał.

Po uczcie tańce się rozpocząć miały, do których przystępowano z taką ochotą, jak do stołu.

Cesarzowa zajęła miejsce pod baldachimem, wymawiając się od tańca.

Król z sześciu senatorami za sobą, przeprowadził kilka razy panie najdostojniejsze po sali. Tym samym powolnym krokiem przy dźwiękach muzyki, Michał przeszedł się z arcyksiężniczką, królowa podała rękę Pacowi, pary zmieniły się.

Eleonora posłuszna wskazówkom, podawała rękę, szła wyprostowana, z oczyma wlepionemi gdzieś w obicia ścienne, powracała, siadała, wstawała, podobniejsza do automatu, niż do żywej istoty.

Król też w końcu, pomimo wysiłku, aby się okazać szczęśliwym i ożywionym, zesztywniał, ostygł i z tą samą obojętnością znudzoną, spełniał, co mu z kolei wskazano.

Muzyka tylko szydersko urągała weselem, które nie odbrzmiewało wśród ścian głuchych...

Programatowi dnia nie było jeszcze końca. Naprzeciw krużganków na piętrze, na których siedzenia kobiercami i futrami pookrywane, przysposobione były, mistrz ogniów sztucznych i kierownicy uroczystości przygotowali widowisko, dla oglądania którego całe towarzystwo wyjść musiało... Król podał żonie rękę, którą zlekka odtrąciwszy, przeszła do matki, musiał więc zbliżyć się do Maryi Anny mantuańskiej i z tą razem stanął patrzeć na zapalone i oświecone łuki tryumfalne, w powietrze wystrzelające cyfry połączone, deszcze iskier rożnobarwnych, kaskady ognia, kule gorejące... cały szereg pupilów fajerwerkera cechhauzu warszawskiego, który usiłował pokazać wiedeńskim gościom, że cesarskim nie ustąpi...

Tłum stojący w podwórcach, ciżba ludu za murami twierdzy na polu, głośnemi okrzykami radości witały każde nowe zjawisko, które

na ciemnem niebie pisało wróżby szczęścia i wiwaty...

Dwory króla i królowej, cesarzowej matki, panowie senatorowie, panie z Warszawy przybyłe, pomiędzy któremi jedno z pierwszych miejsc zajmowała kanclerzyna Pacowa—towarzyszyły królestwu...

Eleonora zawczasu wymówiła to sobie, na co się zgodzić musiano, że oprócz polskiego swego fraucymeru i urzędników, trzymać będzie mogła sługi, do których była nawykłą. Zgodzono się na to tem łatwiej, iż wszystkie królowe rakuskiego domu zawsze z sobą przynosiły to niemiłe wyposażenie, które się do tego przyczyniało, aby żadna prawie z królowych nigdy do polskiego języka i obyczaju nie nawykła...

Kiełpsz, który z wielką ciekawością obliczał już tych, co pozostać mieli przy królowej, dnia tego dopiero dostrzegł postać, która mocno zwróciła jego uwagę. Był to niemłody już, z twarzą dziwnie pomarszczoną, w peruce wielkiej, ale dosyć zaniedbanej, charakterystycznej i nie miłej powierzchowności mężczyzna, którego mu wskazano, jako sekretarza królowej. Jedni go mianowali Włochem, Niemcem — drudzy, a twarz tylko cechowała zgryźliwą, nieprzystępną, zamkniętą w sobie osobistość, która nie okazywała najmniejszej ochoty, ani obeznać się, ani zbliżyć do tych, z któremi żyć jej było przeznaczonem. Z rękami w kieszeniach, przygarbiony, drżąc od zimna, sekretarz ów wpatrywał się na pozór w ognie sztuczne, lecz daleko pilniej badał oczyma niespokojnemi każdy ruch królowej i tych, co ją otaczali...

Wyraz tego zmęczonego już życiem oblicza, nie był wcale pociągający, ale w oczach błyskała inteligencya i wielka wiara w siebie... Dwór polski, wcale się nie zdawał czynić na

nim wrażenia. Obejście się jego z ludźmi do służby i dworu królowej Eleonory należącemi, wskazywało, że zajmował stanowisko wysokie i miał prawo rozkazywania. Zostawiony sam sobie sekretarz, miał bardzo nieprzyjemny pozór człowieka, który czuje się nie na swem miejscu... Brwi siwe nawisały mu aż na powieki, usta się zamykały silnie, fałdy i marszczki występowały na długiej, żółtawej twarzy wyraziście, lecz gdy się kto zbliżał i zwracał jego uwagę, lice wygładzało się, łagodniało — i starało przypodobać wyrazem uprzejmości. Szło mu widocznie o to, aby robić znajomości i zasięgać informacye, bo zaczepiał z kolei po niemiecku, po włosku i po francusku, wszystkich, co mu się nastręczali. Kiełpsz wcale dobrze mógł mówić po niemiecku. Pan sekretarz widział go usługującego królowej, jako krajczego i teraz, gdy przypadkiem czy przez ciekawość — młody krajczy podsunął się i zbliżył ku niemu, nadzwyczaj nadskakująco spróbował z nim zawiązać rozmowę.

Natrafiwszy na język niemiecki, niezmiernie się ucieszył. On sam mówił nim wprawnie bardzo, ale zaraz na wstępie prezentując się p. krajczemu, oznajmił, że był Włochem, że się zwał Toltini, a od dziecka będąc przy dworze, języka niemieckiego nauczyć się miał sposobność.

Rozmowa rozpoczęła się od wielkich pochwał, jakie sekretarz oddawał wspaniałości przyjęcia, wytworności stołu, wybornym winom, a naostatek nawet świetnemu fajerwerkowi...

— Wszystko to dla naszej królowej pani — odparł Kiełpsz — zdaje się straconem, tak dziś uderza i nas i każdego smutek jej twarzy...

Toltini żywo bardzo zwrócił się do krajczego.

— A jakże się temu możecie dziwować — przerwał...—To było dziecię ukochane, pieszczone, które nigdy na chwilę nie opuszczało matki. Sama ta myśl, że się z nią rozstać musi... napełnia ją boleścią. Sama jedna zostanie wpośród obcych...

— My też — rzekł Kiełpsz z podejrzanym uśmieszkiem dwuznacznym — nie dziwimy się uczuciu bardzo naturalnemu, ale ubolewamy nad tem — i radzibyśmy tylko wiedzieć, czemby ta tęsknota i smutek rozproszyć się dały.

Toltini obejrzał się z jakąś obawą do koła... i rzekł z pewnem wahaniem.

— Na to jedno jest lekarstwo—czas!!

I wnet zwracając rozmowę, Włoch począł badać krajczego o króla, o jego charakter, upodobania, usposobienie i t. p.

Krajczy rad był może tym pytaniom.

— Nie tylko ja — rzekł — ale wszyscy to panu zgodnie powiedzą o królu jedno, że nad niego lepszego człowieka i serca nie znaleźć; ale w tem właśnie i największa przywara, bo zbyt jest łagodnym i dobrym.

Toltini podniósł brwi ruchem, który mu był właściwy i opuścił je. Cała skóra na czole poruszała mu się tak, że peruka z nią nawet to niżej opadała, to się po nad czoło dźwigała...

— A! a! — rzekł — jak na króla, rycerza kraju w ciągłych wojnach, zmuszonego się bronić, gdzie wiele energii potrzeba, w istocie zbytnia dobroć może się stać szkodliwą, ale w domowem pożyciu.

Zdanie to dokończył takiem samem poruszeniem skóry na głowie i czole.

Pomyślał chwilę.

— Królowa też, którą my wam przywieźli — odezwał się — perła naszego dworu, odznacza się wielką serca dobrocią, ale — pie-

szczona... kobieta... nawykła mieć swoją wolę, musi zwolna nawykać do zastosowania się z wolą cudzą...

Wyszeptał to poufnie, chcąc Kiełpszowi tonem i miną okazać całą wartość tego poufnego zwierzenia się.

— A — odparł krajczy — spodziewam się, że na despotyzm naszego pana uskarżać się nie będzie...

Toltini przyjął to wdzięcznie.

— Ja pozostaję tu przy królowej pani — rzekł. — Nawykłem do Wiednia, trudno mi bardzo się z nim rozstać było, ale nasza pani potrzebowała zaufanego do korespondencyi człowieka. Cesarz ojciec życzył sobie tego... musiałem się poświęcić — uczyniłem to chętnie.

— Zostawiłeś pan rodzinę w Wiedniu? — zapytał Kiełpsz.

Włoch na parę kroków się cofnął.

— Ja! rodzinę?.. — począł śmiać się — nie miałem jej nigdy... Rodzice dawno mnie odumarli, a nigdy nie byłem żonaty. Poświęciłem się cały usługom najjaśniejszego pana... duszą i ciałem do niego należę...

I Toltini zawiązawszy kilka węzełków na nitce słów, które mu bardzo łatwo z ust płynęły, dosyć zręcznie o króla rozpytywać począł...

Delikatnie, ostrożnie, ale zawcześnie przy nowej znajomości, dotknął stosunków króla z płcią piękną.

Kiełpsz ramionami zżymnął...

— Nasz król—zawołał—wychowany przez bogobojną matkę, nieśmiały z natury, nigdy nie okazywał najmniejszej skłonności do zbliżania się ku płci niewieściej...

— A!—podchwycił Toltini—ale dwór polski za Władysława i Kaźmirza słynął z bardzo swawolnych miłostek!

Nie wiem — rzekł Kiełpsz — bom nie był wówczas na dworze, co się tyczy króla, ten wychował się jak panienka...

Toltini słuchał z niedowierzaniem.

Przecież jakieś upodobania mieć musi, coś w życiu musi go nęcić odezwał się. — Nie ma człowieka, któryby skłonności jakichś nie okazywał. Myśliwstwo? Konie?

— Bardzo pomiernie się niemi zajmuje — mówił Kiełpsz. — Jeżeli znowu przyjdzie do wojny, zapewne zajmie się wojskiem i stanie na czele jego. U nas król hetmanem być musi.

Włoch zamilkł, a po chwili wychwalać znowu zaczął elegancyę i przepych, z jakim wystąpił dwór i król.

— Otóż pan trafiłeś — przerwał Kiełpsz — na istotną słabość pana naszego. Lubi on wytworność i wykwintne stroje, wszystko, co uszlachetnia człowieka i czyni go przyjemniejszym nawet powierzchownością.

— Jest to gust wielkim rodom właściwy — rzekł Toltini.

— Nasz też król z panującego domu pochodzi — zamknął Kiełpsz.

Gdy tak rozmawiali, w krużgankach ruch powstał, bo ognie ostatnie się spaliły, a marszałek szepnął królowi, iż czas było powracać do sal, w których jeszcze jedna dnia tego ceremonia odbyć się miała.

Nigdzie wspaniałej jak w Polsce nie występowano z weselnemi podarkami.

Obejść się bez nich nie mogło, tem bardziej, że oprócz królowej, której należały się ze zwyczaju, Michał musiał jakąś ofiarą upamiętnić ten dzień cesarzowej, jej siostrze i młodej siostrze żony...

Ceremonia oddawania darów zwykle następującego dnia po weselu się odbywała, lecz

cesarzowa nagliła z powrotem do Wiednia, potrzeba więc było przyśpieszyć...

Król podarki swe żonie złożył już był rano, teraz przyniósł je matce i dwom księżniczkom, a senatorowie po nim poczęli z kolei przynosić i składać u stóp królowej Eleonory — podarki najrozmaitsze...

Nie grzeszono nigdy skąpstwem w takich razach, cóż dopiero, gdy trzeba było iść w zawody z drugimi?

Wysadzali się panowie dygnitarze, wojewodowie, kasztelani, a nawet niektórzy biskupi na te dary, przy tej zręczności popisując z łaciną i włoszczyzną...

Poczynając od klejnotów, łańcuchów, naszyjników, pasów, do sreber, roztruchanów, miednic, nalewek, kubków, kosztowne futra, wschodnie kobierce, wzorzyste makaty i obicia lamowe, stosami legły u nóg młodej królowej.

Cesarzowa, siostra jej i młoda arcyksiężniczka zachwycone były i ubawione widokiem tych skarbów, na które królowa tylko patrzyła z tak widoczną obojętnością i niemal pogardą, iż matka po kilkakroć jej do ucha szeptała, zapewne usiłując skłonić, aby trochę wdzięczniejszą twarzą starała się to przyjmować...

Cesarzowa też, wyręczając ją, po kilka razy odzywać się musiała do zbliżających panów, aby zatrzeć nieprzyjemne wrażenie, jakie na nich chłód i duma królowej czyniły...

Król Michał wyręczał także żonę, która siedziała zastygła, jakby obca temu, co się do koła niej działo...

Tym, którzy na to zwracali uwagę, mówiono pocichu:

— Czegoż bo, chcecie od niej! pierwszy raz rozstaje się z matką? Dajcie jej odboleć rozłączenie się z rodziną.

Zabawy i tańce miały się potem przedłużyć jeszcze, zagrała muzyka, poruszyła się młodzież na dany znak króla, lecz ten chłód, jaki od początku obwiewał wszystko, paraliżował i pląsy niewesołe, urywane, które się wprędce skończyły, bo królowa uskarżała się na znużenie, a cesarzowa odjazdem wymawiała...

Męskie tylko towarzystwo u marszałkowskich stołów zasiadło już podochocone zapijać zdrowie obojga królestwa, a po kątach zausznicy prymasa siali już rozmaite pogłoski... i zbierali plotki...

Dlaczego im jednym podobała się ta królowa z taką dumą i nieczułością witająca kraj, któremu panować miała? to tłómaczyć tylko mógł instynkt ludzki, przewidujący, co mu za narzędzie służyć może.

Przyjaciele króla spoglądali na nią z trwogą w sercach.

III.

Z przybyciem królowej Eleonory do Warszawy, rozpoczęło się nowe życie. Znękany oporem i niechęcią przeciwko sobie, źle ukrywaną, lub objawianą otwarcie, która go ścigała na każdym kroku, król, wchodząc do swych komnat na spoczynek, znajdował w nich milczenie, wejrzenia wrogie, antagonizm we wszystkiem i przekorę. Dość było, ażeby zażądał czegoś, natychmiast ze strony królowej odpowiadano przeczeniem i odmową.

Zaledwie wymódz było można na królowej, aby publicznie występując, powstrzymała się od okazywania wstrętu, wzgardy i gniewu

przeciwko małżonkowi. Lice jej nie rozjaśniło się nigdy, chyba gdy listy przyszły z zagranicy i mogła się zamknąć ze starym Toltinim, dla odpowiadania na nie. Kraju tego, który ją przyjął gościnnie i serdecznie, ani poznać, ani się zbliżyć do niego nie chciała, nie patrzyła na nie, nie ją nie obchodziło.

Co tylko królowi miłem być mogło i pożądanem, dla niej stawało się wstrętnem. Nie obcowała z nikim, oprócz tej garstki ludzi, która z nią do Polski przybyła; powiernikiem i prawą ręką był sekretarz Toltini...

Dnie jej schodziły w samotności, zamknięciu, nudach i gniewach...

Dla oka ludzkiego król Michał musiał po kilka razy na dzień przechodzić do komnat żony, czasem obok niej pokazywać się publicznie. Nikt nigdy nie był świadkiem ich pożycia z sobą i stosunków poufałych. Czasem gdy król wszedł... panowało głuche milczenie, jak gdyby nawet nie pragnęli rozmowy, niekiedy przezodrzwi dawał się słyszeć donośny, rozkazujący głos królowej, cichy króla, wybuchy jakieś... a po nich grobowe milczenie. Wychodząc od żony, Michał zwykle był blady, znękany, zadumany, a powróciwszy do sypialni, oddychał dopiero swobodniej.

Nikomu się jednak nie zwierzał z tego, co cierpiał, nadto był wstydliwy razem i dumny. W początkach, choć bystre oko dworzan widziało ten stosunek lodowaty młodego małżeństwa, spodziewano się zmiany i polepszenia; tymczasem przeciwnie, z każdym dniem rozstrój stawał się wyraźniejszym. Mechanicznie, jakby zmuszona, pokazywała się królowa w swej loży czasu nabożeństwa u Św. Jana, klękała na modlitwę, podnosiła się po skończeniu obrzędu i znikała... Nie bawiło ją nic, nie żądała niczego.

Zmuszona przyjmować polskie panie, zaledwie raczyła się do nich odzywać, a bardzo często, przemawiała szydersko i otwarcie wyśmiewała obyczaje polskie. Z duchowieństwa, z senatorów, ci tylko znajdowali u niej lepsze przyjęcie, których wszyscy znali, jako przeciwników króla i nieprzyjaciół. Dla nich bywała prawie uprzejmą.

Toltini, który w przeciągu bardzo krótkiego czasu poznał główniejsze działające osoby i potajemnie zbliżył się do najczynniejszych, musiał dostarczać wskazówek...

Oprócz niego, który się wciskał wszędzie, cały dwór niemiecko-włoski królowej zupełnie się wydzielał na zamku od królewskiego. Dodane Eleonorze Polki, wprawdzie przychodziły na służbę do niej, trwały w swych obowiązkach, ale królowa nigdy ich do niczego nie używała. Na zapytania ich nie odpowiadała, unikała otarcia się o nie; a fraucymer ją w tem naśladował. Mały wyjątek stanowili cudzoziemcy, będący w służbie króla, ale i względem nich okazywano nieufność.

Jedynym węzłem, między tym światem zamkniętym młodej pani, a resztą ludzi — był Toltini, człowiek niezmordowany, zręczny, niepotrzebujący wiele czasu na rozpoznanie ludzi, nadzwyczaj uprzejmy i przebiegły... Skromne stanowisko sekretarza podnosił on do znaczenia daleko większego i—miał nawet pretensye, by go kanclerzem osobistym królowej zwano. Nadawał sobie powagę przesadzoną i w bardzo krótkim przeciągu czasu, miał już wstęp do wszystkich znaczniejszych domów, z których wynosił wiadomości, jakich potrzebował, ale nigdy się z niczem nie zdradził.

Gdy się starano wypytywać go o królowę, zbywał pełnemi uwielbienia ogólnikami; ale ze słów jego nie można było żadnego wyciągnąć

wniosku. Zręczny bardzo, gdy mu na pytanie odpowiadać było niewygodnie, parę razy poruszał skórą na głowie, brwiami, czołem i udawał, że nie słyszy, a naglony, zbywał pytających zupełnie niestosownemi odpowiedziami...

Niewiadomo kto go wprowadził do prymasa, ale pewnem było, że bywał u niego w godzinach różnych i że czasem przesiadywał tam długo. Z ks. Olszowskim grzecznie był, ale zimno i zdaleka.

W kilka miesięcy po zawarciu małżeństwa w Częstochowie, nieznośne te stosunki młodych państwa, które za przemijające z początku uważano, zaczęły się ustalać i utrwalać... Stały się widocznemi, pogorszyły o tyle, że już nawet nie starano się ich osłaniać.

Helena Zebrzydowska, uczyniona ochmistrzynią dworu królowej, znalazła się w najprzykrzejszem w świecie położeniu, gdyż pani, zapewne uwiadomiona o stosunkach, jakie ją łączyły z królem, szczególną niechęć jej okazywała.

Łagodna i dobra Hela zastraszyć się nie dała wcale. W tym czasie Kiełpsz zaczął nalegać mocno i — los jego miał się rozwiązać. Z tego powodu Zebrzydowska, która teraz Michała widywała tylko zdaleka, lub na krótko, zażądała posłuchania...

Michał kazał jej oznajmić, że sam też oddawna pragnął się z nią widzieć i naznaczył swobodną godzinę.

Zebrzydowska znalazła go w gabinecie nad stołem, papierami i listami zarzuconym, siedzącego bez zajęcia, z oczyma wlepionemi w ścianę. Wydał się jej straszliwie zmienionym. Zobaczywszy we drzwiach wchodzącą, wstał i z rękami wyciągniętemi ku niej pośpieszył. Twarz mu się trochę wypogodziła. Oboje długo patrzyli sobie w oczy, nie mogąc prze-

mówić. Hela nieznacznie powieki otarła, król się na uśmiech wysilał...

Z przestrachem prawie Zebrzydowska się przypatrywała tej znanej sobie, niedawno jeszcze świeżej i młodej twarzy, która nagle jakby zwiędła i zestarzała — zdradzała okrutne cierpienie...

— Unikałem spotkania z tobą — odezwał się Michał po cichu i oglądając dokoła. — Czułem, że nie powstrzymałbym się od skarg, a one się na nic nie zdały. Domyślasz się zresztą, jakie jest moje pożycie i życie, dla kogóż to tajemnicą!!—mam na czole wypisane, żem nieszczęśliwy...

— Męstwa! męstwa!—przerwała Hela, usiłując je też w sobie obudzić—to są początki—wszystko się zmienić może...

— Mnie się to wydaje skończonem — odparł król, zbliżając się i głos aż do szeptu zniżywszy. — Nie wiesz nic — muszę ci wyznać wszystko...

Chwilę namyślał się król i twarz jego jeszcze się stała smutniejszą.

— Królowa pierwszego wieczora—ciągnął dalej—oświadczyła mi otwarcie, że nigdy żoną moją nie będzie. Sto razy potem słyszałem to powtórzone z jej ust, że mnie nienawidzi, że serce jej należy do kogo innego, że wyszła przymuszona... Rozumiesz teraz, jak żyjemy z sobą. Radbym ocalić choć pozory... wstyd mi ludzi, serce mi krwawi. Jestem najnieszczęśliwszy... Wiesz co mam do zniesienia od prymasa i jego przyjaciół, jak się oni ze mną obchodzą, jak na każdym kroku stawią mi opór i nie dopuszczają nawet obrony kraju, którąby mojem była dziełem. Ręce mam związane... Wszyscy ci, co są ze mną, nie podołają hetmanowi i Prażmowskiemu... Dodaj do tego utrapienie, nędzę moją domową—nieprzyjaciela

we własnej żonie, a będziesz miała obraz mojej doli.

Zebrzydowska słuchała, ale nie było to dla niej rzeczą nową.

— Potrzeba jednak — rzekła — choćby się przyszło do ostatecznych uciec środków, rozkuć z tej niewoli.

— Jak?—podchwycił król i—pomilczawszy dodał:

— Pacowie, ich przyjaciele i moi, szukamy tych środków i znaleźć ich nie możemy. Prymas woli, ażeby Rzeczpospolita szwank poniosła, niżby on miał uledz i uznać się zwyciężonym. Przepowiadają mi na pewno, że sejmy wszystkie zerwane będą, że żaden nie dojdzie, że żadna uchwała nie stanie, choćby największe zagrażało niebezpieczeństwo... Dosyć jest jednego człowieka złej woli, aby owoc kilkutygodniowych narad spełzł na niczem...

Zebrzydowska załamała ręce...

— Ale tak trwać nie może! — zawołała...

Michał podniósł oczy do góry...

— Radbym, aby mnie Bóg wyzwolić raczył — odezwał się — ale On jeden to uczynić może, ja nie mam siły...

Hela na dobre płakać zaczęła, a król poruszony temi łzami, usiłował wrócić do apatyi swej powszedniej. Wziął ją za rękę...

— Mówmy o sobie — odezwał się — wiem, że chciałaś się mnie radzić... Łatwo mi odgadnąć o co. Kiełpsz, poczciwy, zacny chłopak, kocha cię, chce się żenić, ja mam dla was wyposażenie obmyślone... zatrzymałem dwa starostwa, idź za niego... Zabezpieczysz sobie przyszłość...

Zebrzydowskiej głos się z trudnością dobywał ze ściśnionej piersi:

— Ja kochać go nie mogę — rzekła, potrząsając głową.

— Ale mu szacunku odmówić nie możesz— dodał król. — Przyszłość niepewna wielce, jam nie długowieczny. Nie będą mogli inaczej, dadzą mi truciznę... Znajdą takiego, co się im zaofiaruje mnie zgładzić. Zostaniesz sierotą... Dla spokoju mojego, idź za niego.

Hela oczy spuściła nie odpowiadając; myśl jej zwróciła się już do króla...

Nie przerażajcie mnie tą trucizną — odezwała się — będę się teraz nieustannie jej obawiała... Są przecież sposoby zabezpieczenia się od niej.

— Braun stary — przerwał król — czuwa nad tem, daje mi nawet antidota. Nad kuchnią i piwnicą nadzór jest pilny, lecz któż ujdzie swojemu przeznaczeniu?

Zadumał się.

— Śmierć jest niczem — zamruczał zamyślony — cierpienia się boję...

Zebrzydowska pochwyciła rękę wychudłą króla i całować zaczęła, oblewając ją łzami, Michał zdawał się uspakajać.

— Nie mówmy o tem — odezwał się żywiej — wróćmy do Kiełpsza...

— A ja proszę, nie mówmy o nim—westchnęła Hela.

Wahała się chwilę.

Nie mogliście sobie Toltiniego pozyskać? —zapytała...—Ma wpływ wielki na umysł królowej, jest u niej wszystkiem... To pomocnik jej myśli, pomocnik, przyjaciel sługa...

— Wiem o tem — rzekł król zimno — lecz Toltini jest już w ręku nieprzyjaciół i spiskuje z niemi. Co knuje? o tem nie wiem, lecz, że na wpół z niemi działa, to pewna... Chcieliby się mnie pozbyć, ale ja tej cierniowej korony, właśnie dlatego, że mi dolega, nie zrzucę. Mają jeden ten tylko sposób - truciznę.

— Nie posuną się aż do zbrodni — odparła Zebrzydowska. — Nienawidzę tych ludzi, ale nie sądzę, aby zdolnemi byli zajść tak daleko.

— Znajdzie się ktoś, co im usłuży — począł Michał zimno. — Zresztą, któż wie, co poczną, aby mnie zgładzić, sposobów jest wiele.

Widząc dziewczę rozpaczającem, król nagle zamilkł, zrozumiał, że napróżno ją trapił temi domysłami, gdy ona tylko bezsilną powiernicą być mogła.

Nagle Zebrzydowska poruszyła się żywo i przystąpiła do króla bliżej.

— Dobrze—odezwała się—zgodzę się oddać rękę Kiełpszowi, ale wy go przywiążcie do osoby swojej, niech on was nie odstępuje, krajczym królowej uczyńcie kogo chcecie, on powinien być waszym krajczym, stolnikiem, podczaszym, wszystkiem. On jeden kocha was i potrafi czuwać. Ze dworu waszego oddalcie podejrzanych.

Król Michał poruszył ramionami.

— Ja nie wiem, ani komu mam ufać, ani kogo podejrzewać — odezwał się zadumany.

— Wszystkich obcych—przerwała Zebrzydowska.—I u nas są źli ludzie, ale zdrady nikt się tak podłej nie dopuści. Dzięki Bogu nie jest to w obyczaju naszym. W innych narodach namiętność i złość dochodzą aż do czyhania potajemnego na życie, u nas napad zbrojny i zabójstwo rzecz powszednia, ale nie nikczemna trucizna!!

Mówiła gorąco. Michał spojrzał na nią i zdawał się dzielić jej przekonanie.

— Masz słuszność—odparł—cudzoziemców oddalić muszę.

Zegar wybił godzinę, słysząc ją król westchnął, z obawą jakąś spoglądając na stos papierów, który leżał przed nim na stole.

— Helo — rzekł głosem, przejętym uczuciem. — Proszę cię, nie oddalaj się od dworu... Nie mam nikogo, czasem słowo twoje doda mi męstwa, tracę siły, tracę odwagę, tracę głowę...

Zastukano do drzwi i Zebrzydowska szybko uszła drzwiami bocznemi, gdy drugie otwierały się i ks. biskup chełmiński wchodził z papierami pod pachą.

Nie był on już tym zwycięzcą dni dawnych, pełnym nadziei i ufności w siebie, walczył mężnie wprawdzie, ale był znużonym i chwilami ogarniało go zwątpienie.

Jak każdy człowiek prawego charakteru, który w boju z wrogami, nie może użyć ani zakazanego oręża, ani środków nikczemnych, ani ludzi wzgardzonych, Olszowski musiał się czuć słabym, widząc przeciwko sobie występujące siły, w których nie czyniono wyboru.

Dla prymasa i ludzie i środki dobre były, byle go wiodły do celu. Posługiwał się wszystkiem, co mogło mu zapewnić zwycięstwo.

Przed królem Olszowski ukrywał swe zwątpienia chwilowe, ale w sobie cierpiał wiele, w tym wybrańcu szlachty widział męczennika i ofiarę, która bezsilna, mordować się dozwalała, opierając tylko — wytrwaniem.

Rzucając papiery na stół, biskup poufale powitał króla.

— Nie pytam was o nowiny — odezwał się Michał — bom zawsze na najgorsze przygotowany.

— Nie wiem, czy je tak nazwać można — rzekł Olszowski—gotuje się niezawodnie wojna, mnie się zaś zdaje, że ona ocalić może. Niepodobna by nawet najgorsi ludzie, niebezpieczeństwem ustraszeni nie zostali. Sobieski — chociaż Prażmowski nim włada — kocha kraj i nie zdradzi go. Sejm musi uchwalić i pobory i po-

spolite ruszenie, jeżeli kozacy na nas Turków naprowadzą.

Przeciwko Turkom hetman jest wodzem, jakiego równego znaleźć trudno. Bądź co bądź wspólne niebezpieczeństwo jedna i zbliża.

Boleśnie uśmiechnął się król Michał.

Nie wiem, co myśli hetman — rzekł — ten może lepiej jest uwiadomionym, ale prymas i jego partya szerzą pogłoski, że wojna jest zmyśleniem, urojeniem, że niebezpieczeństwo nie istnieje, że ja chcę szlachtę zniszczyć, wyciągając ją z domów.

Poruszył ramionami.

— Ale się to utrzymać nie może! — przerwał Olszowski.

— Szerzy się to przekonanie, umyślnie rozsiewane przed sejmem — odezwał się król — wierzcie mi. Łatwo jest wpoić to człowiekowi, czego on sobie życzy. Szlachta ma wstręt do pospolitego ruszenia, do wojny — zleniwiała. Prymas bije w to, co jej miłe. Sejm się zbierze i zostanie zerwanym, napróżno.

Westchnął.

— Ja lepszego się spodziewam — odparł Olszowski.

Unikając dalszej rozmowy o tem, podkanclerzy rozłożył papiery i począł o tych nieszczęsnych wakansach, które stanowiły zawsze najdrażliwszy z przedmiotów.

Nieprzyjaciele króla zuchwale się domagali nadań starostw, urzędów—Michał w nadziei przejednania gotów był zawsze do ustępstw — Olszowski się im przeciwiał.

I teraz spór się wszczął pomiędzy niemi.

Biskup miał słuszność — dowodził, że lepiej było obdarzać przyjaciół i tych, których pozyskać się spodziewano, niż nadaremnie próbować przejednania. Nazajutrz po przypieczętowaniu przywilejów, ci, co je otrzymywali naj-

częściej przechwalali się tem, że strachem je wymogli na królu i szli dalej w zajadłym oporze przeciwko niemu.

Walka o każdy nowy przywilej między królem a podkanclerzym, kończyła się zwykle milczącem uleganiem ostatniego.

Olszowski wzdychając zawiadomił wprawdzie pana o kilku drobnych wybrykach nieprzyjacielskiego obozu... ale potem rozstali się oba wzdychając.

Król codziennie spełniał swe obowiązki z rezygnacyą odrętwiałego cierpieniem człowieka.

Każdego dnia musiał pójść do królowej, która go nie zawsze przyjmowała. Zasiadali później do wspólnego stołu, przy którym nie było prawie rozmowy, jeżeli królowa Eleonora nie znalazła jakiego przedmiotu do urągania i dokuczania małżonkowi. Wyśmiewanie wszystkiego, co tu spotykała, było dla niej najmilszą zabawką.

Zwykle król słuchał milczący.

Czasem próbował ją rozbroić łagodnością, która zdawała się przeciwny spodziewanemu skutek wywierać. Gniewało to królowę. Zrywała się od stołu pod pozorem bólu głowy i rzucała go samego.

Życie było do niezniesienia.

W ten sposób lata upływały... walka przedłużała się, a sejmy były widowiskami gorszącemi, podburzającemi umysły. Prażmowski, gdy się posunął już do ostateczności i obudził niechęć przeciw sobie, ukazywał się, pozornie ze skruchą przychodził rękę króla całować, a nazajutrz rozpoczynał podstępną swą grę na nowo.

Do ostateczności przywiedziony, złamany klęskami sromotnemi, — upokorzony traktatem, w Buczaczu zawartym. Michał wycieńczony, znużony, upadł na siłach.

Około niego osnuwała się tymczasem sieć najobrzydliwszych knowań i spisków.

Toltini, który potajemnie ciągle uczęszczał wieczorem do prymasa, i zupełnie się z nim porozumiał... pracował teraz nad tem, ażeby go zbliżyć do królowej.

Zdawało się to — niepodobieństwem.

Kiełpsz, który czuwał tam, gdzie się inni wcisnąć nie mogli, pierwszy pochwycił nić nowego spisku, którego doniosłości nie podobna było objąć, a nawet znaczenia wyrozumieć.

Porozumienie prymasa z królową zdawało się niepodobieństwem, nieważnością — cóż bowiem mogło mieć na celu?

Gdy po raz pierwszy Prażmowski zrana się ukazał na pokojach Eleonory, która go ze szczególnemi oznakami poszanowania przyjęła— natychmiast doniesiono o tem królowi.

Zdawało się to — niepodobieństwem.

Michał pomyślał nad tem chwilę i nie dopatrzył w tem nic nad chętkę dokuczenia mu. Ramionami poruszywszy, — obojętnie to przyjął.

Przy obiedzie królowa była promieniejąca,—zdawała się tryumfować.

— Miałam przyjemność—odezwała się żywo—poznać dziś bliżej i dłużej rozmawiać z arcybiskupem.

— Wiem o tem — rzekł król obojętnie.

— Jest to człowiek spotwarzony—dodała— podobał mi się wielce, ma rozum, polityk i statysta niepospolity, ale tu — regułą jest ogólną, nieudolnych powoływać, a zdolnych odpychać.

Ironiczny uśmiech zaigrał na jej ustach.

Wasza królewska mość nie lubisz go? zapytała.

Wypłacam mu wzajemnością odparł Michał, zawsze apatycznie od początku mego panowania, ten człowiek się nie kryje z nienawiścią dla mnie, zrywa sejmy, kraj podburza wiotrzy.

Walczy za swe przekonania przerwała królowa zresztą słyszałam, iż ma prawa wielkie, a granic ich nie przekracza. Najlepszym tego dowodem, że wasza królewska mość nic mu uczynić nie zdołasz.

Duchownym jest to go osłania odparł król.

I ma więcej przyjaciół w kraju od waszej królewskiej mości dodała Eleonora z widoczną przyjemnością, dokuczając mężowi.

Michał, nawykły do tych przekąsów, obojętnie jadł tymczasem i cały zdawał się jedzeniem zajęty.

To upodobanie w wykwintnej kuchni, które było słabością biednego króla, obudzało w Eleonorze rodzaj obrzydzenia, z którem się nie taiła. Niekiedy szyderskо się wyrażała o obżarstwie... a wtedy sama, prawie umyślnie nic jadła nie przy stole.

Tego dnia przez cały ciąg obiadu, prymas był przedmiotem rozmowy, którą król mało podsycał. Pod koniec Eleonora wstała, nie czekając na Michała i zostawując go przy owocach.

Odwiedziny prymasa... były tego dnia pogłoską i nowością, która wszystkich zajmowała...

Prażmowski stary i schorzały, zdawał się odżywionym i pokrzepionym. Zamknął się po obiedzie i długo nad listami pracował. Twarz miał pod wieczór rozjaśnioną, tryumfującą.

Gości swych zwykłych odprawił wcześnie— czekał na kogoś.

Późną już bardzo godziną, bocznemi drzwiczkami wpuszczono po cichu Toltiniego, który w pół zgięty, pokorny, uśmiechający się, pośpieszył do ucałowania ręki starca, nadzwyczaj też łaskawie i serdecznie przyjmującego tego gościa.

Naprożno sekretarz Eleonory wymawiał się od tego honoru, Prażmowski posadził go tuż obok siebie...

— Jestem jeszcze cały przejęty — odezwał się po cichu — wrażeniem, jakie na mnie uczyniła królowa... najnieszczęśliwsza istota pod słońcem. Córka Cezarów! a żona takiego niedołężnego i przewrotnego książątka! Co za los! ubolewania godzien.

— Tak—potakiwał z wielkiem przejęciem Toltini—męczennicą jest... żywot to do niezniesienia.

Spojrzeli sobie w oczy dwaj spiskujący i prymas długo na ucho szeptać coś począł sekretarzowi Eleonory. Zdawał się obawiać szmeru nawet tego cichego mruczenia — tak coś strasznego zwierzał Włochowi. Nawzajem Włoch odpowiadał mu więcej wyrazistemi rąk ruchami, niż słowy. Pomimo takiego zabezpieczenia się od podsłuchów i zdrady, prymas rzucał oczyma do koła... i dopiero po namyśle... drżącą ręką dobył z za sukni przygotowany list, wcisnął go Toltiniemu i nie dając mu ani na chwilę trzymać na oczach, zmusił do schowania w boczną kieszeń. Znowu szepty się rozpoczęły... twarz prymasa na przemiany wyrażała to radość, to niepokój. Toltini też nie bardzo się okazywał spokojnym, i wkrótce opuścił mieszkanie Prażmowskiego.

Zrana Kiełpsz doniósł królowi, że sekretarz królowej został wysłanym do Wiednia.

Najjaśniejszy panie — odezwał się — królowa bez Włocha tego obejść się nigdy nie mogła. Zaszła więc jakaś okoliczność niepospolitej wagi, kiedy się go, choćby na krótki czas, pozbyć była zmuszoną. Widziałem Toltiniego na samem wyjezdnem. Zapomniał widać o tem, iż sam mi mówił, że rodziny wcale nie ma, skłamał bowiem przedemną, że uprosił sobie dni kilka, stęskniwszy się za familią. Wszystko to razem dowodzi, że coś się knuje.

A cóż gorszego się jeszcze knuć może? — przerwał król obojętnie.

Nie wiem — odezwał się Kiełpsz — ale i to znak niedobry, że Toltini wczoraj był nocą u prymasa.

Spojrzał Michał na mówiącego i poruszył ramionami.

Cóż oni uczynić mogą? — rzekł zimno. — Wyczerpali już wszelkie środki.

Jednakże... potrzebaby... coś począć — odezwał się nieśmiało dworzanin.

Zmarszczył się na to król i potrząsnął głową.

— Słyszałeś kiedy bajkę o bazyliszku? — zapytał.

Krajczy stanął zmieszany, po ustach króla smutny uśmiech przebiegł.

— Tak jest — dodał — o bazyliszku!... Mówią o nim, że sam się ukąszeniem i własnym jadem zabija. Ja sądzę, że źli ludzie tak własną złością nakoniec giną. Niech czynią, co chcą.

Kiełpsz nie już więcej mówić nie śmiał, ani się przyznać do tego, co na własną rękę począł.

Przekonanym był, iż Toltini z ważnemi papierami musiał być wyprawionym do Wiednia. Nie wątpił, iż one, jak wszystko, co przed-

siębrała królowa, przeciwko mężowi były wymierzone.

Całą noc męczył się i niepokoił tem krajczy, a nad rankiem, wiedząc, że Toltini do Wiednia jedzie dnia tego, znalazł ludzi, dobrał im dowódcę i wyprawił ich przodem, aby Włochowi po drodze, papiery, jakie wiózł z sobą, odebrali. — Zalecił im, ażeby staremu nic nie czynili złego—i dla niepoznaki tylko obedrzeć go mieli, aby napaść na prostych rabusiów złożoną być mogła.

Wybrani przez Kiełpsza, tak się doskonale uwinęli, że nie czekając nocy, w lesie Toltiniego zaskoczywszy, obrali go ze wszystkiego, co miał, do koszuli. Z początku jednak listów przy nim żadnych znaleźć nie mogli i dopiero zaszyte w odzieży odkryli. Był między innemi papierami królowej list do matki, do ojca i prymasa do Ferdynanda.

Toltini odarty, przestraszony, tegoż dnia na noc powrócił do Warszawy potajemnie i — straszna za powrotem jego burza na zamku powstała. Królowa Eleonora z gniewu rozchorowała się i położyła w łóżko.

Król o niczem nie wiedział — Kiełpsz, sprawca tego śmiałego napadu, tak pomyślnym uwieńczonego skutkiem, mógł nim być dumnym, ale wiedział, że Michał mu tego nie pochwali.

Wieczorem, gdy król wieczerzę sam z Pacem zjadłszy, rozbierał się i miał iść do łóżka, rzucił mu się do nóg Kiełpsz, wyznając, co popełnił.

Król z początku mocno się oburzył i połajał za zbytnią gorliwość krajczego, ale w końcu papiery odebrane Toltiniemu, podać sobie kazał.

Sądził Kiełpsz, że je rozpieczętuje, prze-

czyta, i jawnej zdrady mając w ręku dowody, użyje ich na pognębienie wroga.

Król tymczasem z wielką trwogą i troskliwością opatrzywszy pieczęci, czy nie zostały naruszone, — papierów ani tknął i zamknął je pod klucz.

Ciekawym był Kiełpsz, co z niemi potem pocznie. Michał postąpił sobie ze szlachetnością, charakterowi jego właściwą.

Królowa ochłonąwszy nieco po pierwszem wrażeniu, nazajutrz wstała z łóżka i do wspólnego przyszła stołu. Michał idąc na ten obiad, zabrał z sobą papiery i w chwili, gdy Eleonora wchodzić miała do jadalni, spotkał ją w gabinecie, który ją poprzedzał.

Zapytał naprzód o zdrowie, na co otrzymał niedorzeczną odpowiedź — królowa chciała nie przedłużając rozmowy, iść do sali, ale Michał jej zastąpił drogę grzecznie i zatrzymał.

— Musiałaś pani wczoraj kogoś wysyłać do Wiednia z listami — odezwał się.

— Alboż mi nie wolno? — oburzyła się Eleonora.

— Nikt jej tego nie zaprzecza — odezwał się Michał, lecz należy z listami wyprawiać ludzi pod osłoną. Zdaje się, że wczorajszy poseł wpadł w ręce jakimś opryszkom, którzy go obdarli, bo moja straż i myśliwcy pochwycili ich potem z papierami, które szczęściem do rąk się moich w całości dostały.

Królowa bladła i rumieniła się — rzuciła na męża wzrokiem jadowitym.

— Gdzie są te papiery? — krzyknęła.

Michał powoli dobył z szerokiej bocznej kieszeni sukni pakiet i grzecznie wręczył go królowej.

Chciwie naprzód rzuciła się na pieczęcie, co widząc król, rzekł z uśmiechem łagodnym.

— Pieczęci są w całości — miałem wielką ochotę dowiedzieć się, co też ks. prymas może pisać do jego cesarskiej mości, lecz nie śmiałem łamać pieczęci.

Odetchnęła królowa, ale nie myślała się tłómaczyć i uniewinniać, powróciła jej duma i zuchwałość, milcząca poszła do stołu. Przez cały jednak czas trwania obiadu, siedziała, nic do ust nie biorąc i nie mówiąc ani słowa. Michał dnia tego jadł długo, jadł wiele i Eleonora zniecierpliwiona pod koniec, odsunęła krzesło, powracając do swych pokojów.

Po południu ks. Olszowski przyszedł do króla, który mu poufnie opowiedział, co się stało.

Biskup chełmiński rzucił się, wołając:

— Gdzie ten list? gdzie? a dowiedziawszy się, że król zwrócił go żonie, wpadł w rozpacz niemal. Przywodził tysiące przykładów przejmowanych korespondencyj osób podejrzanych, dowodząc, że gdzie szło o najwyższej wagi sprawy krajowe, król miał prawo nie szanować tajemnicy listów.

Co więcej składał dowód, że Zamoyski przejęte listy króla Zygmunta III, na sejmie poskładał.

Michał odpowiedział obojętnie:

— Wstręt miałem do użycia takiego środka. Cóżbym się zresztą dowiedział z listu prymasa? nic—oprócz tego, że mnie zapewne przed teściem obwinia.

Przez kilka dni potem Toltini się nie pokazywał na dworze, mówiono, że leżał chory. Wstał potem i z dawną swą wstrętliwą twarzą zjawił się na pokojach.

Był on zwykłym pośrednikiem pomiędzy królem a Eleonorą, gdy czegoś wymagała, bo nie można powiedzieć, aby kiedy prosiła o co,

zobaczywszy go zdaleka — Michał podszedł ku niemu.

— Cóż to? byłeś chory? — zapytał go po włosku.

— Tak jest najjaśniejszy panie — odparł sekretarz, kłaniając się nizko. — Przyszedłem właśnie waszej królewskiej mości wytłómaczyć się z tego, że listy przy mnie od ks. prymasa znaleziono. Ja o nich nie wiedziałem, oddała mi je najjaśniejsza pani. Miałem zlecenie tylko wręczyć je cesarzowi imci.

Popatrzył mu król w oczy zimno.

— Weź że waszmość z sobą kilku ludzi, gdy z listami ważnemi jechać będziesz. Szczęście, że tym razem przypadkiem do rąk moich się dostały.

Odwrócił się i odszedł.

Królowa nie dała sobie wmówić, iż papiery zabrane Toltiniemu trafem do rąk króla doszły, -była pewną, że czatowano na jej sekretarza — ale pojąć nie mogła, jak starając się zdobyć listy, potem z nich nie korzystano i pieczęci nie naruszono.

Wypadek ten zatarł inne po sobie następujące. Turcy chcieli zmusić do zachowania sromotnych, w Buczaczu zawartych traktatów, które Polskę czyniły hołdowniczą państwu ottomanów. Roczny haracz nieopłacony miał ściągnąć dzicz na granice, których szlachta z obojętnością niepojętą bronić nie chciała, bo przewrotny prymas krzyczał ciągle, że nieprzyjaciela niema, że krajowi nic nie grozi.

Schorzały starzec rzucał się bezsilny, wietrzył, ani sam nic nie mogąc królowi zrobić, ani jemu nic począć nie dając. Szczęściem, że Sobieski, chociaż związany z nim i również nienawidzący Wiśniowieckiego, czuwał na granicy i bolał nad klęskami poniesionemi, usiłując je powetować.

Utracony Kamieniec — pokój ohydny, niesforność wewnątrz — obudziły w nim miłość kraju.

Ks. Olszowski tylko nie mógł się uspokoić po przejętych listach prymasa do cesarza — odgadnąć nie umiejąc, co on tu mógł knować? Napróżno starał się pomiędzy duchowieństwem otaczającem Prażmowskiego, znaleźć kogoś, coby tajemnic jego był świadomym. Wiedziano, że od niejakiego czasu prymas miał z Wiedniem ściślejsze stosunki, do których wchodziła królowa, ale nikt się domyśleć nie mógł, co one miały na celu.

Różnemi drogami wyprawiano listy do Wiednia, Prażmowski otrzymywał odpowiedzi, lecz zamykał je i z nikim się tajemnicami nie dzielił. Można było tylko dorozumieć się, iż obiecywał zemstę i jakieś króla upokorzenie, chory starzec cieszył się tem, iż pokona nieprzyjaciela.

— Pozna siłę moją!

Ks. Olszowski doszedł i tego, że jeden ze starszych duchownych archikatedry gnieźnieńskiej przez prymasa potajemnie został wysłany do Rzymu do Ojca Św.

Okoliczność ta wcaleby zresztą na siebie nie zwróciła uwagi, bo stosunki ze stolicą apostolską były ciągłe i żywe, — uderzało jednak to, iż ksiądz scholastyk nie miał nic danego na piśmie i ustnie poselstwo swe miał sprawić.

Sieci intryg plątały się tak gęste, tak na wszystkie strony przeciągane, iż się z niemi ciągle trzeba było spotykać i walczyć. Król do tego nie czuł się stworzonym.

Zdrowie jego, prócz tego, coraz się pogorszało. Bliżsi posądzali już, że mu zapowiadaną truciznę zadano. Często po całych dniach w łóżku z boleściami okrutnemi przepędzać musiał, a zaledwie z niego powstawszy, spotykał

wiadomości, donoszące o rozpaczliwem położeniu kraju, które resztę sił mu odbierały.

Hela niekiedy wciskała się niespokojna ze słowami pociechy do chorego. Podnosił wówczas oczy i odpowiadał na jej pytania.

— Iść trzeba, iść, walczyć i zginąć!

IV.

Nigdy na zamku warszawskim smutniej nie bywało jak teraz, nawet gdy Zygmunt August leżał tu chory, wyglądając zgonu, gdy Anna Jagielonka dręczyła się elekcyą i broniła praw rodu swego, — ani za Zygmunta prześladowanego przez rokoszanów, ani za następców jego. Nigdy też dwór królewski nie rozpadał się tak na dwa nieprzyjacielskie obozy, które wojny sobie nie wydając, nie przychodząc do walki, wzajemnie śledziły, podsłuchiwały i szkodzić sobie usiłowały.

Wszystkie próby jakiegoś przejednania, zgody, zbliżenia, znajdowały zbolałą królowę Eleonorę oporną, a czas zdawał się tylko wstręt jej do męża powiększać. Łagodność jego i dobroć nawet obudzała w niej tylko śmiech i politowanie.

Korzystali z tego nieprzyjaciele króla, który miał wrogów nieubłaganych, a wśród tych, co przy nim stali, po większej części przyjaciół wystygłych, zmęczonych i myślących o sobie.

Znaczenie i potęga hetmana Sobieskiego rosło z dniem każdym—prymas na nim się też opierał.

Czynny, przytomny, w potrzebie umiejący z siebie i imienia zrobić ofiarę, mający miłość

i wiarę u wojska, rósł w oczach ten wódz, z którym się już nikt mierzyć nie mógł.

W miarę tej siły, jaką zdobywał, znaczenie króla zmniejszało się. Wybraniec ów szlachty, nawet u niej tracił na powadze, bo wiary w niego nie miano.

Męczył się życiem, ludźmi, sobą i nieznośnym związkiem z żoną. Jeden ks. Olszowski wylany mu, oddany, broniący go — sam naostatek zwątpił i o sobie i o królu... odrętwienie, bezsilność — ogarnęły wszystkich.

Jedyną nadzieją — chociaż bardzo smutną ks. podkanclerzego było, że Prażmowski chorzał i zdawał się nie obiecywać długiego życia.

Po zgonie jego wiele zmienić się mogło. Nie rozpaczano o zbliżeniu się do Sobieskiego... chociaż srogie przeciwko niemu podrażnienie Paców, stawało na przeszkodzie.

Ks. biskup chełmiński od dawna śledził niezrozumiałe dla siebie konszachty prymasa z dworem wiedeńskim... i przypadkiem dopiero odsłonił mu tajemnicę, której z początku nie chciał dać wiary.

Zgryźliwy prymas miał przy sobie ks. kanonika Rostowskiego, niegdyś wielkiego ulubieńca, któremu ze wszystkiego się zwierzał. Dumny, zdolny, uzuchwalony Rostowski, któremu nigdy dosyć benefisów i dochodów nie było, poczynał sobie z chorym na ostatku prymasem, jako ze starcem zdziecinniałym.

Długo musiał to znosić Prażmowski, obawiając się swego przeciwnika, lecz w końcu wymagania jego doszły do takich rozmiarów, że ich w żaden sposób zaspokoić nie mógł.

Ks. Rostowski wcale nie miał litości nad starcem, który w nim nie obudzał szacunku. Dla kanonika prymas był szczeblem, aby się podnieść w górę, narzędziem tylko, tak jak dla

Prażmowskiego ulubieniec ten również wygodnym sługą.

Znali się bardzo dobrze... ks. Rostowskiemu na prawdę nic zarzucić nie było można: surowego obyczaju, nie miał w sobie pobożności gorącej, ale obowiązki spełniał ze ścisłością do przesady posuniętą. Jako kapłana, szanowano go i obawiano się. Niechętnie szli do niego ludzie do spowiedzi, gdy zasiadł u konfesyonału, z kazalnicy rzucał pioruny, ale też życie jego własne zgadzało się z tą zasad surowością.

W politycznych sprawach ks. Rostowski bystrością umysłu i pracowitością swą był nieocenionym, w nich też dawał Prażmowskiemu się prowadzić, na niego składając i odpowiedzialność za kierunek, jaki im dawał.

Nagle nieprawdopodobna wieść się rozeszła, że ks. Rostowski, postradawszy łaski Prażmowskiego, do Gniezna na wygnanie skazany, miał Warszawę opuścić.

Ks. Olszowski, który ze wszystkiego korzystał, szukał też środka, aby się zbliżyć do kanonika.

Spotkali się u ks. Jezuitów przypadkiem.

— Słyszałem — odezwał się biskup do Rostowskiego — że ks. kanonik opuszczasz Warszawę, a podobno i Łowicz.

Kanonik skłonił głowę.

— JM. ks. prymas mnie wysyła.

Początek ten rozmowy głośny, skłonił biskupa do zaproszenia ks. Rostowskiego na obiad do siebie.

— Jeżeli się ks. kanonik nie obawiasz zapowietrzonego—dodał Olszowski.

Kanonik wesoło odparł, że nie miał już nic do stracenia.

Przy obiedzie, który dnia tego, oprócz kapelana nie sprowadził nikogo do podkanclerzego,

mówiono o rzeczach obojętnych, ale już z wyrażeń kanonika wnosić było można, iż z prymasem zupełnie zerwał.

Z tem większą więc ciekawością zaprosił go na poufną rozmowę do sypialni biskup chełmiński.

— Przyrzekam wam zachowanie tajemnicy, — rzekł do kanonika — ale zaspokójcie ciekawość moją, co was z Prażmowskim poróżniło?

Rostowski nie dał się nawet bardzo prosić.

— Wszystko ma swe granice — rzekł. — Służyłem Prażmowskiemu w jego robotach potrzebnych w sprawie publicznej, lecz zażądał wreszcie kooperacyi w tem, czego sumienie nie dopuszczało.

I po chwili milczenia, Rostowski dodał:

— Prażmowski pracuje nad wyrobieniem rozwodu królowej i razem nad złożeniem króla z tronu... a wprowadzeniem Lotaryńskiego, który ma ją zaślubić!

Olszowski stał osłupiały.

— Duchownemu—biskupowi być do takiej nieczystej sprawy pierwszym bodźcem... nie godzi się. Powiedziałem mu to otwarcie. Ale już kroki są poczynione. Podobno cesarz się zgadza. Stąd spór, naleganie, odmowa—i niełaska, w którą popadłem.

Olszowski stał jeszcze zamyślony—mówić nie mogąc.

— A królowa?—szepnął.

— Zdaje się, że ona pierwsza myśl tę podała—mówił Rostowski—i najgorliwiej pracuje nad przyprowadzeniem jej do skutku.

— Prymas, któremu się zwierzyć miała, utrzymuje, że rozwód bardzo łatwym będzie, gdyż nigdy z sobą nie żyli — *matrimonium votum, sed...*

Biskup chwycił się za głowę.

— Cała ta sprawa—mówił kanonik—właśnie jest w biegu. Eleonora wymogła na ojcu, iż się zgodził na to. Prymas zaręcza, iż na tron księcia z pomocą Sobieskiego wprowadzi. Nieszczęśliwy król nie wie o niczem, a o nieszczęśliwym kraju nikt nie myśli.

Można sobie wyobrazić jakim było ciosem dla Olszowskiego to zwierzenie się ks. Rostowskiego.

— A Rzym?—zapytał—nie wiecie, jak się na to zapatrują w Rzymie? Papież był bardzo dobrze usposobionym dla króla.

— I jest nim zapewne—dodał Rostowski, ale głowa kościoła ma tu nie jedną sprawę na barkach swoich, a znajdą się ludzie, co mu ją przedstawią tak, jak cesarzowi potrzeba. Dodajcież wpływy tego dworu w Rzymie, i mówmy otwarcie, pieniądze, któremi królowa nie omieszka poprzeć swój rozwód.

Ks. Olszowski, który nie mógł w końcu nie uwierzyć Rostowskiemu, tak był przybity odkrytą tajemnicą — iż na chwilę utracił energię.

Podziękował najczulej kanonikowi—i zamknął się tego dnia w domu, aby obmyśleć, jak postąpić należało dla zapobieżenia następstwom niegodziwej intrygi.

Miał-li otwarcie o niej oznajmić królowi, czy działać na swą rękę i milczeć, aby mu nowego strapienia oszczędzić? Ciężkie to było do rozwiązania pytanie—gdyż w zupełnej nieświadomości utrzymać go prawie nie było podobna.

Ks. Olszowski postanowił otwarcie rozmówić się z królem, bo ważniejszem było zapobieżenie zgorszeniu i niebezpieczeństwu, niż oszczędzanie zmartwienia.

Dzień spędziwszy na rozmyślaniach, na-

zajutrz biskup udał się zrana do króla, niosąc już na twarzy zapowiedź nowych trosk.

Znalazł króla, jak zazwyczaj samego, spartego na rękach, z cierpieniem na licu wyrytem — ale razem z tym rodzajem nieczułości, która już dawniej Michałowi zwykłych wybuchów zniecierpliwienia nie dopuszczała.

Zwrócił się ku podkanclerzemu i wskazał mu siedzenie naprzeciw siebie.

Ks. Olszowski złożył przyniesione do podpisu papiery i milczał długo. — Król nie odzywał się także, nie spytał nawet — czekał.

Naostatek biskup zebrał się na odwagę.

— Nie dobre przynoszę wiadomości — rzekł — ale wasza królewska mość nawykł do nich, a te krzyże, które Bóg zsyła, przyjmujesz jako dowód łaski Jego. Radbym zataić...

Wtem Michał przerwał gwałtownie.

— Na Boga, tylko nic nie taić! nic nie skrywajcie przedemną — wolę od razu wiedzieć, co mnie czeka.

Trwożliwe oczy nieco zwrócił na biskupa.

— Sprawa to domowa, nie publiczna — rzekł biskup — ale nie mniej bolesna. Unikałem zawsze i pytań i mieszania się w stosunki waszej królewskiej mości z najjaśniejszą panią, ale dziś dotknąć ich musimy.

— Wszyscy wiedzą o tem, — odezwał się król z obojętnością zupełną, — że w małżeństwie mojem miłości nigdy nie było i niema.

— Tak, boleliśmy nad tem wszyscy — dodał Olszowski, — że nawet w pożyciu domowem pociechy nie masz wasza królewska mość, ale...

Zatrzymał się, myśląc, jak przystąpić do oskarżenia; żal mu było króla, który czekał wyroku z natężoną ciekawością.

— Prymas i w to się wmieszał — mówił biskup dalej, i jemu tylko to przypisać należy,

iż w Wiedniu przyjęto myśl rozwodu. Prażmowski, jak się zdaje, zrobił im nadzieję, że tron będzie wolnym, i że rozwiedziona królowa nowo wybranego ks. Lotaryńskiego poślubi. Mam dowody, że układy o to rozpoczęły się potajemnie, za zgodą i wspólnictwem najjaśniejszej pani, co dziwniej, z wiadomością cesarza.

Michał słuchał, blednieiąc... twarz mu się boleścią wewnętrzną zmieniła. Nie znalazł na odpowiedź słowa, usta mu zapadły — milczał długo.

— Spodziewać się tego można było... — rzekł w końcu, — ale w Wiedniu!

Poruszył ramionami.

— Tak, prymasa to jest dzieło, czuję w tem jego rękę. Wszystko to było tak zręcznie ukrywane, a raczej tak monstrualnie, nieprawdopodobnie, iż mogli bezkarnie działać, a nikt nawet posądzać ich nie śmiał.

Podniósł głowę i popatrzył na biskupa.

— Cóż czynić myślicie?... — zapytał. Ja otwarcie się rozmówię z królową, dodał z boleścią — może sobie oszczędzić zachodów i zgorszenia... trochę cierpliwości. Ja długo żyć nie będę — czuję i niechęć i niemoc do życia.

— Mniej należy obwiniać słabą kobietę ale ten—ten...

Nie dokończył król i otarł czoło, okryte zimnym potem.

— Tak, — rzekł nawpół do siebie — wypić trzeba ten kielich upokorzeń aż do dna. Oj, temu prymasowi nie przebaczę nigdy.

— Słyszę, — przerwał ks. Olszowski, że starzec nie wstaje już z łóżka, a stary doktor Braun, którego też do niego wzywano, mówił mi, iż namiętności wyczerpały w nim życie.

Michał milczał obojętny, cały zatopiony w sobie.

— Rozmówię się z królową — dodał po długiem milczeniu, — wy — nie — wiem... chcielibyście pojechać do cesarza, aby mu wymówić jego wspólnictwo?

— Cesarz nie przyzna się do niego — odparł Olszowski, a my piśmiennych dowodów nie mamy.

— Nic więc czynić nie myślicie?

— Musimy to rozważyć—odpowiedział Olszowski.

Michał się zadumał, w ręku pochwycony papier gniotąc bezmyślnie.

— Dziękuję wam —odezwał się głosem już ostygającym po pierwszym wybuchu. Zostawcie mi dzień dzisiejszy.

Przez litość biskup chełmiński już dłużej o tym przedmiocie nie mówiąc, przedłożył królowi bieżące sprawy, a Michał mechanicznie ujął pióro i z kolei podawane mu papiery podpisywać zaczął, myślą będąc gdzieindziej.

W pół godziny ta praca milcząca dokończoną została, podkanclerzy zebrał papiery rozrzucone i powstał.

— Pozwól mi wasza królewska mość — odezwał się, zabierając się już odejść — prosić, abyś nie brał do serca sprawy, która prawdopodobnie pozostanie tylko próbą nieudałą... i skutków za sobą nie pociągnie żadnych.

— Wszakci—odparł zimno Michał—otrzaskany jestem... bądź spokojny.

To mówiąc, odprowadził do drzwi wiernego sobie biskupa — i gdy się one zamknęły za nim, zadzwonił na dworzanina.

Kiełpsz, na czatach będący, wszedł natychmiast.

— Oznajmcie mnie królowej — rzekł król głosem podniesionym — i powiedzcie, że widzieć się z nią muszę.

Nie siadając już, niespokojny, z rękawiczkami i kapeluszem w ręku, czekał król w pośrodku sypialni. Kilka razy poruszył się ku progowi, sądząc, że Kiełpsz powraca, który dosyć czasu potrzebował na przyniesienie odpowiedzi.

Stanął w progu i szepnął tylko, że królowa czekać miała. Szybkim zrazu krokiem rzucił się król ku drzwiom, lecz natychmiast go zwolnił. Przesuwając się przez długi szereg pokojów, jak i kurytarzy, szedł zadumany... — nie widząc tych, których spotykał. Między innemi nastręczył mu się z pokornym ukłonem Toltini, na którego nie spojrzał nawet.

Królowa Eleonora oczekiwała już w sali swej posłuchalnej na małżonka, sparta o stół, jakby tem chciała mu zapowiedzieć, że długo nie miał pozostać.

Od progu już Michał rzucił na nią posępne spojrzenie. Podszedł, nie kłaniając się i nie witając.

Głos mu drżał, gdy mówić zaczął.

— W interesie waszym — rzekł — jest, aby to, z czem przychodzę, niekoniecznie obcych doszło uszu. Raczcie się upewnić, że nas wasz dwór nie podsłucha.

Wcale niezwyczajne to zagajenie widocznie zmieszało królowę Eleonorę. Krokiem żywym podeszła ku jednym drzwiom, otworzyła je gwałtownie, spojrzała i mileząc na swe miejsce powróciła.

Król zwykle tak apatyczny, tym razem miał wyraz twarzy szyderski.

— Sądziłem, — rzekł — iż wasza królewska mość, przecierpiawszy już ze mną czasu tyle, zechcesz być do niedalekiego końca cierpliwa; przekonywam się, że tak nie jest i że się wyczerpała cierpliwość waszej królewskiej mości. Wiem o jej staraniach z pomocą prymasa roz-

poczętych o rozwód ze mną... w nadziei, że mnie tronu pozbawią.

Uśmiechnął się boleśnie.

— Wszystko to — wywołałoby zgorszenie dla cesarskiej rodziny waszej nieprzyjemne. Przychodzę więc radzić jeszcze nieco cierpliwości. Wasza królewska mość widzisz sama, iż życia nie starczy mi na długo... ja sam to czuję.

Pierwszy raz od stąpnięcia Eleonory na tę ziemię, która jej była tak wstrętliwą — z dumnej, śmiałej i zuchwałej, królowa stała się niemal pokorną—złamaną, tak ją przeraziły te słowa.

Wargi jej zadrżały, potoczyła oczyma obłąkanemi dokoła, kilka razy chciała zacząć coś mówić i chwyciła się za piersi — nareszcie podeszła prędkim, niepewnym krokiem do króla. Nigdy jej taką nie widział.

— Ja o niczem nie wiem! Sprawa to nie moja — jestem jej obcą. — Nie obwiniajcie mnie.

Michał dumnie zamilczał. Upokorzenie to Eleonory, zmuszonej się wypierać — uwalniało go od wyrzutów i sporu, trochę litość wzbudziła, gdy na oczach jej ujrzał łzy i w całej postawie niewypowiedziane pomieszanie.

— To są zapewne sprawy tych, co się mną opiekują, widząc mnie nieszczęśliwą — dodała Eleonora, podchodząc jeszcze do męża, który cofnął się kroków parę. — Ja nie wiem o niczem... o niczem...

Głos jej drżał.

— Cieszę się więc, że waszą królewską mość mogłem w czas przestrzedz — rzekł Michał. — Skandal bezużyteczny... trzeba go uniknąć.

To mówiąc, skłonił się i zawrócił ku drzwiom. Królowa niespokojna, szła za nim

— Wiesz,— żywo zawołał ks. Michał — bylebym miał matkę i ciebie, nie zatęsknię za nikim więcej. Kobiet się boję... a spokój tak mi jest drogi.

— Leniuszek jesteś — odpowiedziała Zebrzydowska. — Boisz się wszystkiego, gdy ojciec twój niczego się przecież nie lękał.

Zmarszczył się na to wspomnienie Wiśniowiecki.

— Mylisz się, Helo moja! — rzekł poważniej.—Jeżeli się w polu nie lękał nieprzyjaciela, tego i ja się nie obawiam, ale tych, co pozorem przyjaźni i braterstwa zdradę przynoszą, co jemu życie tak ciężkiem uczynili, — tak jak ja się obawiał i nienawidził. Nie idę więc chętnie tam, gdzie się z niemi spotkać mogę!

Zebrzydowska siedziała zamyślona.

— Wszystko to w kobiecie byłoby do wytłómaczenia, — odpowiedziała po przestanku. — Mężczyzna stworzony jest do walki; nie do takiego żywota sybaryty w spoczynku; cóż, gdy jak wy, młody jest, gdy nosi imię Wiśniowieckich i gdy ma wszystko, coby go na świecie zalecić mogło...

— Ah! — rozśmiał się ks. Michał. — Mylisz się właśnie, przyznając mi, czego nie mam!...

Oboje milczeli chwilę, Hela badała go wzrokiem, on milczał, lub spotkawszy jej wejrzenie uśmiechał się słodko.

— Wierz mi, Helo — rzekł, wstając — póki mam matkę i ciebie, więcej nic a nic nie pragnę. Tak mi z wami dobrze... Sądzisz, że zbliżając się do tego świata, najeżonego intrygami, smaku do czego nabrać można!... Patrzę, słucham i wzdrygam się. Widzę ich, jak się ściskają, całują, zwierzają sobie, jak się bratają, a w chwilę potem ośmiewają się wzajemnie i dołki kopią pod sobą... Walka Paców z Radziwiłłami, walka Lubomirskich z Sobieskim,

niedowierzanie, sprzedawanie się wzajemne, zgody, które są zawiązkiem nowych kłótni, przymierza, nazajutrz zrywane, zazdrości, współzawodnictwa, ambicye nienasycone, a fałsz—chlebem powszednim!...

Hela słuchała ze smutną rezygnacyą.

— Wy wszystko widzicie za czarno—odezwała się.—Ludzie są słabi, ale nie tak źli, jak się wydają, a z takiemi, jakiemi ich Pan Bóg stworzył, żyć przecie potrzeba, bo na pustynię uciec nie można...

Widząc Michała mocno zasępionym, litościwe dziewczę usiłowało go rozerwać.

— Spodziewam się, — rzekła — żeście nie zapomnieli wysłać do Paryża zamówienie na suknie?...

— Wczoraj jeszcze — żywo odparł ks. Michał.— Coś podobnego mieć muszę, jak Chavagnac... Na nieszczęście te koronki są tak drogie, a hafty i galony tak sobie płacić każą.

— Będzież-że to miał w porę na koronacyę?—pytało litościwe dziewczę.

— Wyraźnie położyłem ten warunek. Sejm elekcyjny, który się dopiero rozpoczyna, niezawodnie się przeciągnie. Choćby nie szło o kandydata, szlachta różne wprzódy położy warunki, — odzyskanie ziem oderwanych, zabezpieczenia praw dyssydentów i tym podobnie. Będzie to pretekstem do długich mów, rozpraw i straty czasu... Przyjdzie potem posłuchanie posłów, kandydatów do tronu, narady... burze... i w najszczęśliwszym razie miesiąc czasu od otwarcia upłynie. Nie wiem zresztą, ale jeżeli jest w interesie Interrexa naszego dłużej się bawić tą władzą, jaką ma... przeciągnie... Czekać może zechce, aby Kondeusz miał czas zbliżyć się do granicy i ukazać potem natychmiast w aureoli swego rycerskiego bohaterstwa...

dawał mu stróż przegotowaną jakąś i mętną tyzannę...

Na twarzy starca, straszliwie wymęczonej i boleścią wewnętrzną pokrzywionej, cierpienie, gorączka i stan ducha niespokojny razem się malowały. Niekiedy poczynał się modlić, ale modlitwa zamierała mu na wargach, chwytał się za piersi, za boki, i jęczał, potem kładł na poduszki, twarz osłaniając rękami, usiłując uspokoić się i usnąć, lecz wysiłek ten trwał krótko, porywał się gwałtownie i głosem ochrypłym znowu wołał wody. Nie mówiąc słowa, cyrulik podawał kubek, poprawiał kołdrę — i siadał — nie okazując najmniejszego wzruszenia...

Późno już było. Zdala dały się słyszeć donośne kroki, a że tu wszyscy około chorego zwykli byli chodzić na palcach, Prażmowski posłyszawszy chód ten, z trwogą niewysłowioną dźwignął się na łożu.

Cyrulik też biegł już do drzwi, które się otwarły nagle i—w progu ukazał się—król.

Prymas, jak gdyby widmo ujrzał, ze słabym okrzykiem oczy sobie zasłonił.

Michał podszedł aż do łoża i stanął. Była chwila milczenia i oczekiwania, którą przerywał tylko odgłos ciężkiego oddechu prymasa.

— Potrzebowałem widzieć waszą pasterską mość—odezwał się król głosem dosyć podniesionym.

Zwrócił się do stojącego tuż przelęklego balwierza i dał mu znak, aby odszedł precz.

Gdy się drzwi za nim zamknęły, Michał przystąpił bliżej jeszcze łoża.

— Nie wiem którego z nas—odezwał się—pierwej Bóg na sąd swój wezwie, między wami a mną On sprawę rozstrzygnie... W ciągu tych lat przebaczałem nie raz, wyciągałem rękę napróżno, byliście i jesteście mi wrogiem. Nie przyszedłem was prosić za sobą, ja nic nie

mam do stracenia... proszę was, abyście majestatowi temu królewskiemu Rzeczypospolitej oszczędzili sromu i zgorszenia, a nie dawali go ludziom na pośmiewisko...

— Wiem o waszych stosunkach z cesarzem, któregoście uwikłali w sprawę rozwodu z ujmą czci domu rakuskiego, wiem o wszystkich knowaniach waszych... Ja i wy stojemy oba nad grobem. Rozwód mojej żonie nie potrzebny, śmierć nas bez papieża rozwiedzie...

Zamilkł wzruszony na chwilę, wzruszenie głos mu odejmowało...

Prymas łkał, jedną ręką twarz osłaniając, drugą chwytając bezmyślnie okrycie...

— Najjaśniejszy panie!—rzekł...

— Nie tłómaczcie się — przerwał król — byłoby to próżnem... Ja do was nawet żalu nie mam; skracając mi życie, skróciliście cierpienie... ale wy jesteście głową kościoła, namiestnikiem Chrystusa na ziemi tej... a daliście przykład nienawiści, zajadłości, prześladowania. Przez was kraj ten stoi bezbronnym, waszą sprawą, gdy nieprzyjaciel na granicy czyha, wewnątrz walczą bracia z sobą. Godnem-li to kapłana? głowy kościoła? Wnijdźcie w sumienie wasze... Bóg nas osądzi! Bóg nas osądzi!

Podniesionym głosem wyrzekłszy te słowa, król zmierzył wzrokiem słabnącego starca... stał jeszcze milczący moment krótki i krokiem powolnym wyszedł z sypialni.

Gdy balwierz biegnąc ku łożu, przypadł do niego, aby na ratunek chorego pośpieszyć, znalazł go wijącego się na łożu, z przekleństwy na ustach, rozszalałego gniewem...

— Precz, precz... — wołał nieprzytomny — precz — wszyscy zdrajcy! precz odemnie!

Odepchnięty, stary sługa powracał, podając napój, okrywając zrzucanemi kołdrami...

Prymas był w stanie bezprzytomnym, nie do opisania... Potrzeba było natychmiast wezwać doktora...

Tymczasem zamiast niego, Włoch Toltini, którego zawsze nie pytając wpuszczano, nadbiegł, domagając się do prymasa i zdyszany stanął nad jego łożem...

Ale Prażmowski, zobaczywszy go i poznawszy, podniesionym, jeszcze krzykliwszym głosem, zawołał:

Zdrajcy! zdrajcy! precz ze zdrajcami!

Dla balwierza jawnem było, iż mogło zbliżyć się konanie... Tem pilniej wysyłał co chwilę po doktora... który nie nadchodził... Kapelan, który nadbiegł i począł nakłaniać do usposobienia i modlitwy, doznał takiego samego jak Włoch przyjęcia. Prymas odepchnął go, wołając:

— Zdrajca! wszyscy zdrajcy! precz odemnie — nikogo nie chcę...

Prawie gwałtem balwierzowi udało się wreszcie wlać mu w usta uspakajającą miksturę, która po chwili odrętwiająco działać zaczęła... Wołania i jęki wyrywały się jednak z ust starca, dopóki sen sztuczny, ciężki, gorączkowy nie zamknął mu powiek.

Około łoża powoli ściągnęło się, co było starszych sług i dworu Prażmowskiego... Wszedł naostatek i wynaleziony z trudnością zwykły lekarz Prażmowskiego, Almer, Niemiec. Poszeptawszy z balwierzem krótko, zbliżył się do łoża, wyszukał ręki i pulsu, głową potrząsnął i padł na siedzenie u wezgłowia...

W tymże momencie jeden z synowców Prażmowskiego, wpadł przelękły do sypialni... Wiedział już o odwiedzinach królewskich i łatwo mógł przewidzieć ich skutek...

Ze zwieszoną nad łożem głową postał chwilę i zwrócił się do Almera.

Niemiec rozpostarł ręce, podniósł je do góry, westchnął, dając poznać, że stan chorego był rozpaczliwy.

Godzina może upłynęła w złowrogiem milczeniu. Coraz szybszy i cięższy oddech chorego słyszeć się dawał, oznajmując jakby tę ostateczną walkę życia ze zgonem, która zapowiadała się ciężką i męczeńską. Nagle chory otworzył oczy, usiłował się podnieść, padł bezsilny na wezgłowie i usta wyjąknęły:

— Wody!

Doktor podał mu napój przygotowany, ale—wlać go było potrzeba, bo starzec nie miał siły do przyjęcia...

Oczy gorączkowym jeszcze blaskiem zapalone, biegały do koła...

— Sen! to był sen?—szepnął—król? sen? król?

Almer potwierdził to ruchem głowy...

Chory uspokoił się nieco, poznał synowca i poruszył ręką, która bezsilna opadła... Kapelan zbliżył się z książką i krzyżem.

Prymas głową skinął, aby czekał... ale oddech stawał się coraz trudniejszym, a niepokój chorego coraz większym... Ksiądz ukląkł u łoża i modlitwy półgłosem odmawiać zaczął...

Było to nadchodzące już konanie.

Stary balwierz, płacząc, podniósł naprzód poduszki, poprawił je... potem wysunął jedną... Widać było ostatnie wysilenia chorego, aby się podnieść jeszcze... Usta poruszały się szeptem niezrozumiałym... Wlano mu w nie napój, który się rozlał na wezgłowie...

Zapalono gromnicę, ale palce umierającego już jej ująć nie mogły.

Pomimo zdającego się co chwila nadchodzić zgonu, walka się przedłużała... Gdy wszystko skończonem już sądzono, chory wzdychał,

otwierał na wpół powieki i konanie ponawiało się równie ciężkie i bolesne, jak wprzódy...

Przez zasłony w oknach dnieć już zaczynało, gdy synowiec powieki zmarłego zamknął, płacząc; — twarz prymasa oblekła się siną barwą, którą zastąpiła krwawa i przeszła wprędce w zielonawy kolor trupi...

W mieście uderzono w dzwony...

Król po powrocie na zamek nie rychło mógł usnąć, potem objął go sen ciężki ze znużenia, tak twardy, iż zwykła godzina, w której zawsze się z nałogu budził, minęła...

Dzień był biały, gdy paź drzemiący u drzwi, posłyszał wołanie:

— Która godzina?

Zegar wskazywał ósmą. Kiełpsz, czatujący na przebudzenie, głos króla posłyszawszy, wszedł.

— Dlaczegoście mnie nie zbudzili?—zapytał Michał.

— Wasza królewska mość byłeś nadto znużonym wczoraj, — rzekł Kiełpsz—a nie było nic pilnego.

Wtem odgłos wszystkich dzwonów rozkołysanych, jęczących, uszy króla uderzył.

— Co to jest? — zapytał.

Zawahał się z odpowiedzią krajczy...

— Musiał ktoś umrzeć...—szepnął cicho.

— Ale biją po wszystkich kościołach we wszystkie dzwony—niespokojnie dodał Michał i paziowi wskazał, aby szedł się dowiedzieć. Chłopak nie potrzebował iść na zwiady.

— Ks. prymas umarł—rzekł spokojnie.

Król zbladł nieco i spojrzał na Kiełpsza, który odpowiedział na wejrzenie, krótkiem:

— Jeszcze wczoraj się tego spodziewano...

Prawie w tym samym czasie Włoch wchodził do pokoju królowej, która roztargniona u śniadania siedziała... Myślami była tak objętą,

iż nawet niezwykłego odgłosu dzwonów, nie zdawała się słyszeć i uważać.

Twarz i postawa Toltiniego uderzyły ją. Zbliżył się powolnemi krokami do stołu.

— Cóż to za święto dzisiaj? — zapytała Eleonora — te dzwony? tak rano?

Włoch wahał się nieco...

— Po umarłym dzwonią — rzekł cicho... i poczekawszy dorzucił z westchnieniem:

— Prymas zmarł tej nocy...

Twarz królowej bladością się okryła... dłońmi zasłoniła oczy, zaczęła płakać... Toltini cofnął się kroków parę... nie śmiał pocieszać nawet... Eleonora siedziała długo, jakby zapomniawszy o nim... Włoch czekał uspokojenia z uszanowaniem i cierpliwością, dopiero, gdy łzy zaczynając ocierać, wzrok ku niemu zwróciła królowa, zbliżył się do stołu...

— Przed samym zgonem — rzekł cicho — król był u niego, zdaje się nawet, że to zgon mogło przyśpieszyć, chociaż mu go od kilku dni przepowiadano...

Usłyszawszy o królu, Eleonora zacisnęła usta, zmarszczyła brwi... zadumała się... chociaż płaczem i niepokojem zmęczona, wstała, i palce kładąc na ustach — szepnęła do Toltiniego:

— Wszystko się odmienić musi; król jest też chory niebezpiecznie, godziny jego policzone... Pytałam Brauna... powiada, że się to przeciągnąć może, ale choroba nieuleczona... Będę dobrą i łagodną...

Spuściła oczy ku posadzce, stała jakiś czas zadumana, i nie zwracając się już do Toltiniego — wyszła...

V.

Wybuchy gwałtowne, nagłe otwieranie się uciśnionego ducha, a po nich znowu powszednia apatya i obojętność na wszystko, milczenie uparte, były cechą temperamentu raczej, niż charakteru króla. Początek nieszczęśliwy panowania nauczył go, że walka z nieprzyjaciółmi była nad siły, a poparcie przyjaciół za słabe... zamykał się więc w sobie, cierpiał, starając się tylko przez rodzaj dumy nie zdradzać boleści.

Zwątpienie o zwycięstwie po kilku próbach nadaremnych, czyniło go już na przebieg spraw obojętnym, nie żył już, ale wegetował.

Ale ten stan bierny wyczerpywał go także i przychodziły momenta stanowcze, w których krew się w nim poruszała, słowo napierało z ust, chciał pokazać, że chociaż milczał tak chłodno, rozumiał, widział i czuł wszystko.

Żona szczególniej i prymas obchodzili się z nim, okazując lekceważenie, dla tego w końcu i jej i jemu gorączkowo rzucił w oczy prawdę.

Ale wybuch taki nie miał u niego żadnych następstw i ciągu. Ostygał, zamykał się w tej żółwiej skorupie obojętności, powracał do znieczulenia...

Nazajutrz też po zgonie prymasa, król ostygły, wyszedł tylko, aby żadnej z form i zwyczajów nie chybił i nie zaniedbał. Twarz wprawdzie nosiła ślady doznanych wrażeń, lecz mogły one uchodzić za następstwo choroby...

Daleko silniej dzień ubiegły, wystąpienie męża, śmierć prymasa podziałały na królowę. Z Wiednia też nadeszły listy, które zmianę

zapowiadały ze strony cesarza... Ojciec wymagał, aby Eleonora wytrwała do końca, jako żona, ściśle spełniająca swe obowiązki. Choroba Michała, przepowiadany mu zgon czyniły bezużytecznemi wszelkie starania, zawsze cień mogące rzucić na królowę i na cesarską rodzinę.

Wszystko razem, po rozmyśle, po płaczu, skłoniło królowę do zupełnej zmiany w postępowaniu.

Chciała się na pozór przynajmniej pojednać z mężem, wejść w jego życie i w oczach ludzi uchodzić — bodaj za małżonkę przywiązaną.

Wprawdzie z dnia na dzień tak zmienić ton, zachowanie się, nawet tryb życia, było zanadto uderzającem... Musiała stopniować swe nawrócenie, aby Michał uwierzył, że szczerem było. W sercu jej nie zmieniło się nic, uczucia może tylko nienawiści, gniewu jeszcze się spotęgowały, ale pozory, z doskonałym instynktem przebiegłości kobiecej, Eleonora obmyślała bardzo trafnie.

Smutek głęboki poprzedził to mniemane nawrócenie, złagodniała naprzód ogólnie dla wszystkich, nim poczęła łagodność większą okazywać mężowi.

W następstwie nie chciała, aby król Michał tylko widział i czuł zmianę, pragnęła ją na jaw wyprowadzić, uczynić widoczną wszystkim...

Poczęło się to bezzwłocznie.

Król nie rychło mógł to postrzedz, bo znowu pogrążonym był w sobie...

Jedynemi chwilami jaśniejszemi dla niego były te, które spędzał u krajczynej. Hela Zebrzydowska, długo się opierając, uległa wreszcie i podała rękę Kiełpszowi, król jako powinowatej, sprawił wesele okazałe, krajczemu na

Litwie nadał tenutę znaczną i korzystną, ale oboje Kiełpszów zatrzymał przy sobie.

Mówił otwarcie.

— Nie mam nikogo, jestem sam, nawykłem do Heli — niech czasem mam się choć przed kim poskarżyć...

Rzadko jednak, aby nazbyt oczów i języków nie zwracać na siebie, król o ile możności nieznacznie wykradał się do Kiełpszów, którym dał pomieszczenie na zamku.

Nie mogło to ujść baczącego oka takich przebiegłych szpiegów, jak Toltini i niewieści dwór królowej. Wiedziano, że Zebrzydowska była powinowatą, widziano w niej coś więcej może—Hela wcale się o to nie troszczyła.

Chcąc dokuczyć mężowi, królowa Eleonora próbowała wprzód różnemi sposobami pozbyć się Heli z zamku, ale spotkała opór tak stanowczy, choć chłodny, iż musiała się wyrzec postawienia na swojem.

Za to wszelkiemi możliwemi sposoby starała się przy każdej zręczności, uroczystości dworskiej i t. p. upokorzyć krajczynę, zepchnąć ją w ostatnie rzędy... okazać jej niechęć i odrazę.

I to nie skutkowało, bo Kiełpszyna miała charakter i takt, wytrzymujący wszelką próbę. Gdy potrzeba było, mogła nie widzieć, nie słyszeć i nie rozumieć. Gdy niespodziany zwrot nakazywał teraz królowej zmienić całą taktykę postępowania, zrozumiała, że i względem Heli powinna się była inaczej postawić, bo ta wielce jej użyteczną być mogła.

Ostrożną jednak być musiała, bo czytała w oczach Kiełpszynej, że ta się łatwo uwieść nie da.

Bardzo zręcznie rozpoczęła od zbliżenia się do kilku pań polskich, najmniej jej wstrętliwych, zapraszając je na obiady. Mniej ude-

rzającem było, że przy obcych zwracała się czasem do męża i wciągała go w rozmowę. Król Michał zdziwiony w początku, chociaż w szczerość przejednania nie wierzył, rad był choć pozorowi jakiejś zgody.

Między ludźmi zaczynano mówić o tem, że królowa przestała być tak dla męża obojętną jak dawniej, przypisując to politowaniu nad stanem zdrowia jego. Michał, gdy mógł być spokojniejszym, więcej nic nie wymagał. Wpadał w swe dotychczasowe odrętwienie i zadumę — i nie skarżył się...

Przypadło to właśnie na czas, gdy hetmanowa Sobieska z rozkochanym mężem swoim była w tak naprężonych stosunkach, iż nawet straszny wyraz—rozwód—zabrzmiał w ustach męża. Długi pobyt w Gdańsku, wyjazd do Francyi i przeciągnięte tam zamieszkanie Maryi Kaźmiry, przyprowadziły hetmana do rozpaczy.

Gniewał się już i groził, a nadąsana pani, pewna swej przewagi, odpowiadała listami, w których męża nie oszczędzała, stawiała mu warunki, nie chciała się zakopać na wsi...

Z tej niebytności w kraju hetmanowej, która rozdrażnienie męża podtrzymywała, korzystano, usiłując go pogodzić z Pacami, ułożono wydanie pokrewnej Sobieskiego Radziwiłłówny za księcia Dymitra Wiśniowieckiego, starano się zbliżyć do siebie i przejednać Paców z hetmanem. Sobieski niesłychanie zajęty wojskiem, czuwaniem nad granicami, zapobieganiem związkom żołnierskim, wymykał się, trzymał zdala ode dworu i przeciągał podanie ręki nieprzyjaciołom...

Królowa, wchodząc po raz pierwszy w życie czynniejsze, pochwyciła tę zręczność, aby się stać użyteczną i naprzód zbliżyć do pań polskich, a przez nie pomódz królowi...

Wszystko to było rzeczą tak nową, tak dziwną, że ludziom patrzącym wierzyć się nie chciało w zmianę, zaś król Michał śmiercią prymasa i rozkazami z Wiednia nadesłanemi, wykładał to sobie.

Nie mógł już przywiązać się do żony, ani nawet zmuszać się do szczerości podobnych objawów, ale one życie czyniły znośniejszem. Rad był i temu.

Sprawy krajowe wikłały się tymczasem coraz straszniej, i tylko czujności Sobieskiego, jego wierze w to, iż Rzeczpospolita dźwignąć się mogła i miała siły po temu, winien był kraj ocalenie.

Trudnem jednak było odrodzenie moralne tego stanu szlacheckiego, który sam jeden był wszystkiem. Wypadki, począwszy od pierwszych elekcyj królów, rokosze, związki wojskowe, sejmy nawet zuchwale zrywane, coraz pomnażający się zamęt w pojęciach obowiązków i praw, mnożyły zamieszania i anarchię. Stan szlachecki widział tylko przed sobą prawa swoje, ciągle obawiając się uszczerbku w nich, a znać nie chciał swych obowiązków...

Wyszukiwano ustawy, uwalniające od wszelkich służebności, ograniczające władzę królewską, a ciężary zrzucano z siebie. Odmawiano poborów, nie chciano ani słyszeć o pospolitem ruszeniu, wyrzucano królom zaciągi wojsk obcych, a wymagano, aby niemi bez szlachty bronili sami Rzeczypospolitej. Wyciągnąwszy w pole, szlachcic po upływie kilku tygodni wracał do domu krzycząc: — płać, albo rozpuszczaj!!!

Jakże się było skutecznie zewnętrznemu obronić nieprzyjacielowi, gdy wojska się z rąk wyślizgały, wiązały przeciwko hetmanowi, samowolnie zajmowały zimowe leże, narzucały

na majętność ciężary. A na sejmie niebezpieczeństwom od granic wierzyć nie chciano...

Logika wypadków jest nieubłaganą, chociaż nie zawsze chód jej się daje wykazać. Elekcye wprowadziły przekupstwo, zaczęto potem tak samo za pieniądze nabywać nadania, starostwa, urzędy. Płacono za nie królowi lub królowej.

Prywata rozpościerała się coraz bezwstydniej i pojęcie obowiązków znikało. Zatem szło, że w całe życie szlacheckie wciskał się interes osobisty, że żołnierz wymiatał bezbronnego ziemianina, ziemianin na sejmie myślał nie o Rzeczypospolitej, ale o własnej korzyści z każdego kroku i głosu.

Nawet ów kataklizm kozacki, straszliwy gniew Boży nie potrafił przywieść do upamiętania.

Zadanie rządzących w kraju, w którym bezrząd był stanem normalnym, stawało się niesłychanie trudnem. Potrzeba było energii razem i przebiegłości, aby pokierować niesfornemi i zmusić do posłuszeństwa.

Wśród takiego zawichrzenia, król, jakim był Michał, musiał być ofiarą, niemal bezczynną.

W końcu jednak obezwładnienie i oczekiwanie jakiegoś składu szczęśliwszego okoliczności, stało się Michałowi nieznośnem. Czuł się wyczerpanym, chciał raz skończyć—i powtarzał sobie nieustannie—walczyć, zginąć!!

W takiem usposobieniu ducha przyszedł raz, na lasce się opierając, przedwcześnie zestarzały, wycieńczony do Kiełpszów. Ile razy myśli własne wprawiały go w stan niepokoju, szedł pociechy szukać u przyjaciółki młodości, użalić się przed Helą. Ona umiała złagodzić cierpienie słowem jakiejś nadziei, otuchą szczęśliwszego zwrotu.

Sobieski ciągnął z wojskami naprzeciwko Turkom. Wzywany po kilkakroć do Warszawy, wymawiał się ciągle obowiązkiem nieoddalania od obozów, czuwania, aby się nie formowały związki. Przybywszy do stolicy, bawił w niej krótko i ująć się nie dawał.

Od kilku dni król Michał odbierając wiadomości o ruchach wojsk, o opóźnieniu się Litwy i Paca, który umyślnie, jak utrzymywano, ociągał się z przyprowadzeniem posiłków, aby Sobieskiego na sztych wystawić, okazywał niepokój nadzwyczajny.

Hela, śledząca każdy ruch jego, rozpytująca codzień doktora Brauna, posyłająca męża, aby jej przynosił o królu wiadomości po kilka razy na dzień, ujrzała go z pociechą wielką wchodzącego nieśmiało do skromnego mieszkania, które z mężem na zamku zajmowała.

Na bladej twarzy króla malowało się jakieś niezwyczajne rozdrażnienie i zaledwie przywitawszy kuzynkę, trzymając jeszcze jej ręce drżące—odezwał się.

— Wiesz, wiesz co postanowiłem? dłużej tak gnuśnie gnić nie mogę, postanowiłem—wyruszyć z gwardyą i stanąć na czele wojsk, obok Sobieskiego.

Gdy to mówił, a twarz mu się zapałem rodzącym rozjaśniała, zarazem oddechu mu zabrakło i obejrzał się, szukając krzesła; kilkadziesiąt kroków, trochę wzruszenia, wyczerpały go. Hela patrzała zdumiona.

W tej chwili wszedł krajczy, któremu oznajmiono, że król był w odwiedzinach u jego żony.

— Słuchajże — odwracając się do niego, odezwała się Hela — król w tym stanie zdrowia, postanowił, na nic się nie oglądając — jechać do wojska i objąć nad niem dowództwo!

Kiełpsz ręce załamał

— Ale to prostu jest niepodobieństwem— zakrzyknął. — Potrzeba naprzód zdrowie i siły odzyskać.

Michał poruszył się żywo na siedzeniu.

— Właśnie to mi może dać zdrowie — rzekł—naprzód uspokoję się, potem powietrze, ruch, zajęcie mogą mnie orzeźwić.

— Najjaśniejszy panie—przerwała Hela— słyszałam to z ust doktora Brauna — potrzeba nadewszystko spoczynku, wygód, regularnego życia, pokarmów dobranych do stanu zdrowia, tego wszystkiego nie można mieć na wojnie. To byłoby wprost samobójstwem.

Król, zapatrzony w okno, zdawał się nie słyszeć.

— Braun? stary Braun — rzekł z przekąsem—co on wie? on nas i chorób naszych nie rozumie. Ludzie krwi rycerskiej w pokoju gnią i w niwecz się obracają, wojna ich pokrzepia. Nakoniec jest to nad siły moje wytrwać tu zdala, bezczynnie, z rękami założonemi, gdy tam Sobieski laury zdobywać będzie. Już dziś on tu jest więcej bohaterem, królem, panem, niż ja. Pobije Turków, ale razem i mnie dobije, bo ja po jego zwycięstwach, jeszcze nikczemniejszym wydawać się będę. Nie, nie! — dodał z zapałem—choćby przyszło nałożyć głową—pójdę!

Hela, nie śmiejąc się wręcz sprzeciwiać, szepnęła mężowi na ucho, ażeby Brauna przyprowadził, a sama się zajęła przygotowaniem szklanki lemoniady, która czasem chwilowo ulgę królowi sprawiała w boleściach, na które cierpiał.

Przyniesiony napój Michał, całując jej ręce, połknął chciwie i zadumał się.

— Będzie temu z pół roku—począł po cichu — nie powtarzaj tego nikomu... proszę cię, przywidzeniem to jest, może posądzam grze-

sznie. Lemoniada twoja mi to przypomniała. Siedziałem w sypialni, kazawszy sobie przygotować taki sam napój, który czekał na mnie w sali posiadalnej. Posłałem był po Toltiniego... Usłyszawszy szmer, otworzyłem drzwi i ledwiem miał czas dojrzeć, jak pochylony nad szklanką w niej się rozpatrywał, odskoczył nagle. Wszedłem, nie patrzałem na lemoniadę... Toltini mnie gniewał. Począłem mu robić wymówki, tłómaczył się. Zmęczony, pochwyciłem szklankę, która czekała na mnie i wypiłem ją duszkiem. Smak dziwny mnie uderzył, całe usta wewnątrz ściągnęła jakaś cierpkość... Zapach napoju był niezwykły, jak gdyby czosnkiem go zaprawiono. Odepchnąłem szklankę. Wieczorem było mi niedobrze... od tej pory, cierpię więcej, mogę powiedzieć, że ani jednego dnia zdrowia nie miałem.

Blada słuchała Hela, jednak rozbierając wszystko, doszła do przekonania, że gdyby, jak król posądzać się zdawał, w napój rzucono truciznę, nie mogłaby ona działać tak wolno... pośpieszyła więc uspakajając.

— Najjaśniejszy panie — rzekła — w tym napoju nic przecie być nie mogło... naprzód, że w tak zbrodniczy zamiar nie mogę uwierzyć, powtóre, że trucizna, gdy już to straszne słowo wyrzec potrzeba, tak powolnie nigdy nie działa.

— Mylisz się — żywo przerwał Michał — umyślnie czytałem wiele. Są trucizny, których działanie na lata się rozkłada... a Toltini jest Włochem. — Król spuścił głowę.

— Nie mówmy o tem — dodał — tak, posądzam może niewinnie. Morsztyn powiada, że ja się sam niezdrowemi truję pokarmami, ale cóż ja tak niezdrowego jadam? Węgrzyn! raki, które lubię.

Hela poruszyła ramionami, nie chcąc przedłużać rozmowy o tym przedmiocie; właśnie też wchodził stary Braun krokiem posuwistym, ociężale. Był to już trzech czy czterech królów z kolei nadworny doktor, nie zagłębiający się w księgach, nie studyujący Hipokrata i Galena, ale mający praktykę ogromną i nieocenione doświadczenie. Wzrok jego chwytał oznaki choroby dla drugich niedostrzeżone, wyroki jego zawsze prawie były przepowiedniami niechybnemi. Hela pośpieszyła naprzeciw niemu.

— Wzywam pana na ratunek — odezwała się — król nagle postanowił jechać do wojska i iść z niem na nieprzyjaciela! Jestże to podobieństwem? w tym stanie? Patrz pan!

Braun poprawił perukę flegmatycznie...

— Zdaje mi się — rzekł — że przy największej chęci, najjaśniejszy pan tego nie potrafi dokazać, siły zbraknie. Należy je wprzódy odzyskać... Życie regularne, dyeta.

Michał ręką niecierpliwie poruszył.

— Mówicie mi ciągle jedno—odezwał się— słucham was, czy mi się w najmniejszej rzeczy polepszyło? nic a nic!!... Pozwólcież spróbować czego innego, ruchu, powietrza, a nadewszystko wewnętrznego uspokojenia, dziś ja z samego niepokoju choruję.

Braun nieznacznie poruszył ramionami.

— Najjaśniejszy panie...—rozpoczął.

— Niczego słuchać nie chcę — przerwał Michał — nie mogę. Wierzcie mi, że gorzej już nie będzie, jak jest, nie mam nic do stracenia. Po całych dniach trawi mnie wewnątrz jakieś poczucie niby głodu, próżni nienasyconej. Jem dziwnie, a potem boleści, boleści...

— Przestrzegam od jedzenia — szepnął Braun...

— Tak, ale nie znasz tego, co ja doznaję, gdym głodny — rzekł król — naówczas ogarnia mnie prawie szaleństwo... Muszę jeść, przynajmniej przez ten czas, gdy spożywam, mam chwilę wytchnienia.

Doktor, słuchając, głową potrząsał.

Nagle Michał zamilkł, spuścił głowę i próżną szklankę wyciągnął ku Heli... Ta spojrzała na Brauna, który cukier i cytrynę widząc na drugim stole, dał znak przyzwolenia, chociaż i temu napojowi nie bardzo rad się być zdawał.

— Ale o wyprawie pod Chocim, czy Kamieniec, czy ja tam wiem gdzie — mówiła Kielpszyna — mowy być nie może.

— A przynajmniej nie powinno—potwierdził lekarz.

Król się zmarszczył.

— Waćpan będziesz przy mnie—szepnął—zawsze więc czas—zatrzymać, gdyby... choroba istotnie się pogorszyć miała...

Braun westchnął.

— Z tej podróży nic być nie może — zamruczał.

Dosłyszawszy tych wyrazów, król się uśmiechnął szydersko.

— Nie wierzysz więc — rzekł — abym miał tyle siły nad sobą? przekonasz się...

— Nawet przy największym wysiłku; jest to wprost niepodobieństwem—zamknął Braun, i poważnie przystąpiwszy do króla, ujął jego rękę wychudzoną, długo puls badając.

Twarz miał zadumaną i smutną.

Zwolna opuścił potem rękę Michała i odstąpił na kilka kroków milczący. Po chwili nie było go już w pokoju...

Hela chodziła niespokojna, nie wznawiając rozmowy o wyjeździe. Michał dosyć wesoło coś rozpowiadać zaczął o pobycie Sobie-

skiej we Francyi, o którym rozmaite chodziły wieści, o ostudzeniu dla niej męża, a nawet o projektach wyniesienia się ich obojga z Polski.

— Nie przyjdzie to nigdy do skutku — odezwał się Kielpsz. — Sobieski musiałby się wyprzedać, ma mnóstwo spraw w sądach i interesów, które myśleć nawet o tem nie dozwalają...

Zabawiwszy nieco jeszcze, Michał wstał, żegnając gospodynię.

— Najjaśniejszy panie!—ta podróż...

— Jest postanowioną — odparł król zimno... — Jeżeli na drodze zabraknie mi sił, zawsze czas się do łóżka gdziekolwiek położyć.

I mówiąc to wyszedł, unikając przedłużenia rozmowy.

Hela, którą parę razy już królowa Eleonora, pod różnemi pozorami wzywała do siebie, tegoż wieczora posłała prosić ją o posłuchanie, które z nadzwyczajną uprzejmością, nigdy wprzódy niepraktykowaną, udzielone zostało.

Zdawało się krajczynej, że król dla żony zmuszony do pewnej względności i powolności, da się jej może powstrzymać od wyprawy.

Eleonora przyjęła nienawistną sobie krajczynę tak mile i przyjaźnie, jakby spragnioną była jej widzenia.

Najjaśniejsza pani—odezwała się przybyła—dowiedziałam się od męża, iż król jegomość postanowił jechać do wojska. Stan jego zdrowia, zdaniem doktora Brauna, nie dopuszcza nawet myśleć o tem. Zdawało mi się, że obowiązkiem moim było donieść o tem waszej królewskiej mości.

Eleonora wiadomość przyjęła z podziwieniem i żywem zajęciem.

— Ja o tem nic nie wiem jeszcze... — rzekła — gorący biorąc udział w tej sprawie, ale nie omieszkam pytać go i będę się starała odradzić. W istocie król jest osłabiony.

— Braun może trochę przesadza i stan jego zbyt groźnym wyobraża, ale inni lekarze także mu spokój nakazują.

— Czy potrafię królowi to wyperswadować? Nie zawsze prośby moje u niego dobrym skutkiem są uwieńczone—dodała z ironicznym uśmiechem — co nie przeszkadza, bym spełniła obowiązek.

A po krótkiem milczeniu, dorzuciła.

— W każdym razie, jeżeliby król uparcie stał przy swojem, moje miejsce jest przy nim, pojadę także, choćby dla czuwania nad zdrowiem jego.

Hela zamilkła.

Królowa rozwodzić się zaczęła z wielką obfitością słów, nad stanem zdrowia męża, nad jego sposobem życia; przyznała, że w ostatnich miesiącach pogorszyło mu się znacznie, i starała się okazać nadzwyczajną gorliwość.

Krajczyna chwilę zabawiwszy, po głębokim ukłonie odeszła.

Nazajutrz już na zamku nie było tajemnicą, że król się do wyjazdu sposobił. Wydane zostały rozkazy do przysposobienia wozów, namiotów, koni — do ściągnięcia pułków, które mu towarzyszyć miały. Młodzież się radowała wyprawie, starsi przewidywali w niej coś groźnego.

— Co tu mówić o wojowaniu — mruczał starszy koniuszy, Terczak — kiedy on dwóch godzin na siodle nie wytrzyma. Konia mu potrzeba dać, coby nogi miał i na łeb nie leciał, szkapa, co nogi ma, trzęsie, a król wstrząśnięcia nie znosi.

Kuchmistrz Francuz, usłyszawszy o podróży, przysposabiał długie regestra zapasów, których potrzebował niezbędnie, inaczej się nie podejmując króla karmić, bo mu dogodzić było trudno.

Nie bardzo jednak wierzono tej zachciance, gdyż wszyscy widzieli na twarzy króla wycieńczenie, a chód jego, częste spoczynki, opieranie na lasce, świadczyły, jak mu każde żywsze poruszenie się było trudnem.

Braun protestował, krajczyna biegała niespokojna, wszystko to jednak nie mogło powstrzymać przygotowań do podróży — a król nietylko, że nie zmieniał wydanych rozkazów, lecz codzień przynaglał i pytał, czy je spełniano.

Królowej projekt wyprawy był bardzo na rękę — dawał jej sposobność okazania się litościwą i troskliwą o zdrowie męża.

Przy obiedzie naprzód zagaiła o tem, zapytując męża, czy prawdą było, że miał zamiar do wojska się udać, i że do wyjazdu czyniono przygotowania.

Trochę zdziwiony tem zajęciem — Michał pomilczawszy nieco, odparł chłodno, że musiał jechać do wojska.

— Ale doktor Braun uznaje to niemożliwem—poczęła żywo Eleonora. Dowiedziawszy się o wydanych rozkazach wierzyć im nie chciałam, mówiłam o tem z lekarzem. Sprzeciwia się stanowczo.

— Chociażby nawet było jakie niebezpieczeństwo — odparł król chłodno — są wypadki, w których narazić się na nie jest obowiązkiem.

— A więc pozwolisz wasza królewska mość — przerwała królowa — abym widząc go w takim stanie, — spełniła też obowiązek i towarzyszyła mu do obozu...

Wielkiemi oczyma spojrzał król na żonę, nie odpowiadając długo.

— Nie jest to przejażdżka dla rozrywki— rzekł tonem, w którem się trochę zniecierpliwienia przebijało... — a dla waszej królewskiej mości podróż taka, nawet przy dobrem zdrowiu, nie lepszem jest niepodobieństwem, niż dla mnie chorego. Jestem mężczyzną i nawykłem do niewygód, naostatek i niebezpieczeństwo...

— Jeżeli względy te nie wstrzymują was— poczęła królowa z wielką gorącością, doskonale udaną—nie powinny i mnie wstrzymać. Ja koniecznie proszę i domagam się o to.

Powtórnie król spojrzał zdziwiony i dosyć sucho odparł:

— Nie mogę zgodzić się na to.

— Ja ustąpić nie mogę— dodała królowa.

Wstawano od stołu i na tem się pierwsza rozmowa skończyła.

Wróciwszy do swych pokojów, Michał długo stał zadumany, wpatrzony w ścianę — myśląc o tej metamorfozie Eleonory—której— pomimo całej swej dobroduszności — nie wierzył. Było coś w głosie, wejrzeniu, w każdym ruchu tej kobiety, co, pomimo największego starania o to, aby się okazać szczerą, przejętą, nawróconą — ostrzegało i znamionowało fałsz i udanie.

Nie rozumiał tylko król, na co się to jej przydać mogło.

Towarzyszyć sobie w podróży! nie myślał dozwolić — oburzało go to. Jedynem dobrem w tej rozpaczliwej wyprawie do wojska było, że miał być swobodnym—że mógł nie widzieć jej i nie karmić się tym fałszem, który mu sprawiał obrzydzenie.

Prosty jednak zakaz był niemożliwym. Zdawało się, że Eleonorze szło o rozgłos tego

poświęcenia—postanowił więc kanclerzynie Pacowej i innym paniom zlecić to, aby królowę starały się zatrzymać w Warszawie.

On zaś — niewzruszoną miał wolę stanąć przynajmniej tam, gdzie wołał obowiązek.

Nieszczęśliwa krajczyna przekonała się po kilku nadaremnych wysiłkach, że żadna już siła ludzka nie mogła zachwiać tem postanowieniem, które się wyrobiło długą rozwagą i rozpaczliwem położeniem.

Ohydny traktat Buczacki—haracz, poddaństwo niewiernym — stracony Kamieniec dniem i nocą brzemieniem leżały na jego piersi — życie dać, aby się obmyć z tego sromu, nie było nadto. Hela zaklinała go, aby się dla lepszej zachował przyszłości.

— Niema jej dla mnie — odpowiedział gwałtownie—zostanie czarna w dziejach karta, której nic nie wydrze... żyć z tym łańcuchem na szyi—dławić się tym bólem—nie mogę dłużej. Potrzebuję przynajmniej zginąć na wojnie i pobłogosławię tę kulę, która mnie oswobodzi i oczyści! Związano mi ręce — a bezwładnemu zarzucają bezczynność!—muszę więc iść, abym okazał, żem życia dla ojczyzny nie żałował. Ofiara też to nie wielka, tak było gorzkie!

Stało się, czego może życzyła sobie królowa, ofierze jej towarzyszenia królowi nadano rozgłos wielki. Panie z kolei jechały błagać i odradzać — straszyć temi tatarskiemi ordami, które Maryę Ludwikę zmusiły zawrócić do Krasnegostawu.

Wiedziano w całej Warszawie o gotowości królowej Eleonory do poświęcenia się dla męża, mówiono o tem wiele, pisano. Przyjaciele pod niebiosa ją wynosili.

Król nie rozprawiał już z nią o tem, mil-

czał uparcie, ale rozkazów do podróży nie wydawał.

Natomiast przyśpieszono przygotowania wyjazdu dla chorego króla. Braun wyznaczonym był, aby mu towarzyszył. Kiełpsz jechał także, a płacząca krajczyna szeptała cicho, ażeby bliżej być—pojadę do Lwowa.

W kraju, w wojsku, to nagłe postanowienie królewskie przyjęte było ze zdumieniem — jedni mówili: zapóźno! — drudzy znajdowali to próżnem.

Rycersko mógł się tylko zalecić w pierwszych panowania początkach. — Wiedziano, że chorował, nie miano mu nawet za zasługę, iż ostatkiem sił chciał służyć ojczyźnie.

Nieprzyjaźni — szydzili — urągając mu, że na widok jego ani się podda Kamieniec, ani Turcy pierzchną.

On sam pochlebiał sobie, że za sobą pociągnie tę szlachtę, która go niegdyś na tron wyniosła, a potem opuściła tak haniebnie.

Ale — nie ruszał się nikt — długi nieład wszedł w nałóg — przebąkiwano, że nim stoi Rzeczpospolita.

Widziano ją już rozszarpaną za Kaźmirza, a jednak nie rozpadła się i żyła jeszcze, nie wierzono, ażeby Turek z kozakiem pożyć mogli choć osłabłą.

Na dworze tymczasem trwała komedya królowej, napierającej się, aby towarzyszyć mężowi—i opór bierny ze strony męża,—który dziękował, uśmiechał się zimno, z goryczą w duszy.

Stan jego codzień się pogarszał—pobożny ofiarował Bogu męczeństwo swoje, lecz postradał wiarę w ludzi, ochotę do życia, smak do niego.—Przyszłość mu się już nie uśmiechała—pragnął końca. Widziano go tylko coraz dumniejszym, zimniejszym, — obojętniejszym na

wszystko. Napróżno ks. Dymitr, który sobie pochlebiał, że z Sobieskim potrafi dojść do zgody i przyjacielskich stosunków, usiłował podnieść upadłego na duchu, napróżno Pacowie obiecywali teraz po zgonie prymasa zupełną zmianę i rozbicie obozu nieprzyjacielskiego— Michał nie wierzył! Posłuszny im, spełniał, co sobie życzyli, czynił kroki pojednawcze, wzywał listami hetmana do siebie — Sobieski składał się nawałem zajęć — brakiem czasu obiecywał, a widocznie króla unikał i coraz postępował samowolniej, aby to, co czynił, nikomu, tylko jemu było przyznane.

Z każdym też dniem człowiek ten, który był istotnie zesłanym i przeznaczonym na ratunek, rósł i olbrzymiał w oczach wszystkich.

Gdy była mowa o nieszczęsnych traktatach Buczackich, o haraczu, obiecanym Turkowi, jednogłośnie się odzywano.

— Sobieski skruszy ich potęgę!

Na niego, nie na króla się oglądano. I gdy wieść się rozeszła, że Michał wyruszył do obozu, nie uczyniła ona najmniejszego wrażenia, a hetman zawiadomiony przyjął ją kwaśno. Król był dla niego zawadą i kłopotem tylko. Słuchać go nie mógł;—zdać nań dowództwo — śmiesznem było — osobą swą nie budził w żołnierzu męstwa... po cóż przybywał?

Po cichej rannej Mszy, wysłuchanej u Św. Jana, pobłogosławiony na podróż, w towarzystwie podkanclerzego i dosyć licznego dworu— król puścił się ku Lwowu i Glinianom.

Ale zaraz pierwszych dni podróży przekonać się mógł, iż zbyt liczył na swe siły. Przybywał na noclegi tak znużony, iż musiał natychmiast iść do łóżka.

Nie skarżył się jednak i ani jedno słowo nie zdradziło cierpienia... służba odgadywała tylko wysilenie, jakiego potrzebował, ażeby znużenie

pokonać i boleści nie okazać. Braun zalewał go lekarstwami, które nie skutkowały. Oczy zapadały coraz głębiej, skóra żółkła, oddech stawał się cięższy, a pragnienie i głód paliły go nieustannie. W drodze stawano często, aby choć kilku ugotowanemi jajami wewnętrzną tęczczość na chwilę zapełnić. Lecz zaledwie uspokojona, wracała znowu.

VI.

Jak niebo do ziemi — obóz i dwór Sobieskiego nie podobnym był do dworu króla.

Smutek i zwątpienie Michała udzielało się wszystkim, co się do niego zbliżali, nikt nie śmiał przynieść tu wesołej twarzy, ani się odezwać głośniej, ani poruszyć żywiej. Sam widok tego schorzałego, jakby opuchłego i nabrzękłego, z licem wychudłem i nalanem razem przedwczesnego starca—opierającego się na kiju, okiem szklanem przyglądającego się i niewidzącego nic, zatopionego w sobie, zapominającego się co chwila—którego nic odżywić i poruszyć już nie mogło—odejmował męstwo i wlewał zwątpienie.

Ci, co przybywali tu, pełni życia — odchodzili złamani.—Rzadko kto mógł się dostać do niego, oprócz najpoufalszych, a przypuszczony, zaledwie słów kilka z ust jego usłyszawszy, wynosił wrażenie najboleśniejsze.

Gorętsi wprost się odzywali.

— Ależ to trup jest... tyle tylko, że go nie pochowano!

Sobieski nie miał jeszcze lat pięćdziesięciu i, chociaż często cierpiący, bo życie czynne

i przebyte boje zostawiły po sobie pamiątki — był jeszcze w pełni sił i życia. Wśród współczesnych jaśniał naówczas jako jedna z najpiękniejszych postaci — stojąc wyżej nad swój czas i ducha wieku rycerskiemi szczególniej przymioty.

Lecz zarazem w tym bohaterze, ktory walczył już od Zborowa począwszy we wszystkich prawie wojnach za Jana Kaźmirza, w tym nieodrodzonym wychowańcu Czarnieckiego,—było dwu ludzi różnych: Sobieski, jakim go tradycye domowe, wychowanie macierzyńskie, nauki ojcowskie, obozowe życie wychowało, i Celadou, zawczasu opanowany przez ulubioną wychowanicę Maryi Ludwiki, zepsutą i pieszczoną pannę d'Arquien, tę najśliczniejszą Marysieńkę, która najzgubniejszy wpływ na szlachetnego, lecz zbyt dla niej słabego kochanka wywierała.

W tym właśnie momencie swojego życia, Sobieski od dawna już rozłączony z żoną, która jakiś czas bawiła w Gdańsku, potem podróżowała i zatrzymała się we Francyi, mniej wystawiony na jej wymagania i rady,—więcej był sobą samym, niż uległym sługą dziwacznej, chciwej i ambitnej kobiety. Dla tego może w tym okresie widzimy go z takim zapałem poświęcającego się obronie Rzeczypospolitej — oddającego własne mienie na jej potrzeby, niezmordowanie zajętego sprawami wojskowemi, czuwającego w obozie, aby związków nie dopuścić.

Długa rozłąka z żoną wkrótce, niestety — skończyć się miała.—Marya Kaźmira rozrachowawszy się, wracała do tej Polski, z której męża chciała wyciągnąć, przekonawszy się, iż we Francyi znaczenia tego, jakie tu miała, zdobyć nie potrafi.

W czynnem życiu bohatera ta chwila była

może jedną z najpracowitszych i najrozmaitszemi zatrudnieniami przepełnionych. — Rozległe majętności ciążące na nich procesy i wierzytelności, gospodarstwo, — potrzeba nieustanna pieniędzy, przy ogromnych wydatkach, obowiązek czuwania nad wojskiem, sprawy familijne, zawikłania, wynikające ze starych antagonizmów między rodzinami, — nie dawały mu spoczynku. Mnóstwo ludzi cisnęło się pod jego skrzydła, tysiące spraw opierało się o niego. Oprócz tego, namiętny myśliwiec, chciwy nowości i książek czytelnik, chętny do rozpraw filozoficznych i wieczornych dyskusyj z duchownymi i uczonymi — Sobieski zarzucony był ludźmi i sprawami najróżnorodniejszemi. Rzadko mogąc długo na miejscu wysiedzieć, przenosił się ze swych posiadłości do obozu, do Lwowa, do Żółkwi lub Jaworowa.

Pomimo już objawiającej się skłonności do utycia zbytniego, które mu później ciężarem się stało, był jeszcze naówczas hetman jednym z najpiękniejszych mężczyzn swojego czasu i typem męskiego polskiego oblicza. Dosyć słusznego wzrostu, postawy okazałej, pańskiej twarzy wdzięcznej, wśród której czarne ogniste oczy błyskały zawsze życia pełne, — celował on we wszystkich rycerskich ćwiczeniach, dosiadał konia i po kilkanaście godzin mógł wytrwać na siodle; strzelał celnie i bawił się po staremu strzelaniem z łuku, dokazując cudów, po całych dniach przesiadywał w kniejach, czatując na niedźwiedzie i dziki — w salonie umiał zabawić najwykwintniejsze francuziałe towarzystwo, a pozostał przytem owym rubasznym szlacheicem polskim, któremu zawsze w kontuszu było najwygodniej.

Nie można się dziwić, że Marya Kaźmira czasem ku niemu wstręt niemal okazywała, że się z jego życiem pogodzić i do niego zastoso-

wać nie chciała, że uciekała od tego namiętnego kochanka, który własnemi rękami sadził drzewka i kwiaty, pilnował budowy powozów, i sypał pieniędzmi tam, gdzie ona by je wyciągnąć chciała. Celadon rozkochany nie dosyć był dla niej Francuzem i nigdy się nie dał tak zepsuć i zbezecześcić, aby cel życia widział z nią razem w zbogaceniu i zaspokojeniu dumy nienasyconej.

W obozie pod Glinianami zapominał Sobieski o wszystkiem, oprócz zbliżającej się rozprawy z Turkami, których siły liczono na krocie — i nadziei prędkiego potem zobaczenia najślicznieszej Marysieńki, która wracała rada nie rada, nie śpiesząc się wcale do stęsknionego małżonka.

Tu go doszła jednego ranka niespodziewana wiadomość, iż król Michał do obozu przybywał...

Przyjaciel od serca, równie jak Sobieski znakomita rycerska postać swojego czasu, wojewoda ruski, Stanisław Jabłonowski, wchodził właśnie do namiotu, gdy hetman z listem otwartym w ręku stał nad stoliczkiem zadumany.

Nie mówiąc nic, Sobieski pismo rozłożono podał Jabłonowskiemu, który je przebiegł oczyma, okazał pewne zdziwienie, ramionami zżymnął i kartę rzucił na stół.

— Fantazya chorego człowieka — rzekł obojętnie. — Nie idzie zatem, aby się ona spełnić miała. Piszą mi z Warszawy, że Michał był i jest mocno chory, że trzyma się wprawdzie i nie chce dać złamać, ale ani Braun, ani żaden z lekarzy długiego życia mu nie obiecują... Spróbuje może przejażdżki do Ujazdowa i zawrócić się będzie musiał.

— W dodatku — śmiejąc się, rzekł Sobieski — piszą mi, że i królowa, płacąc za długą

obojętność mężowi, chce mu towarzyszyć, aby czuwać nad nim.

Spojrzeli sobie w oczy.

— Spóźniona czułość — rzekł wojewoda ruski. — Wszystkiemu temu nie chce mi się wierzyć...

— Król był na wyjeździe — mówił hetman — stanowniczych przodem wysłano. Zdaje mi się, że on na swojem postawi, ale nie idzie zatem, abyśmy go z sobą brać mieli ku Kamieńcowi lub Chocimowi. Byłby to ciężar, zwłoka, zawada tylko. Przytomność tego króla, którego wojsko nigdy na czole swem nie widziało, wcale mu męstwa i zapału nie doda, a fantazya niedoświadczonego, który rolę najwyższego wodza odgrywać zechce, może dla nas być przeszkodą do swobodnego ruchu. Wcale co innego jest dla mnie iść niezależnemu, gdzie wskażą okoliczności i potrzeba, a być pod rozkazami króla, który kierować zechce nieudolnie i szyki mi mieszać może.

— Tak jest — odparł wojewoda ruski — ale ja z tego, co mi donoszono, wnoszę, że podróż króla będzie tylko nieudałą próbą. Nieszczęśliwy i nieudolny chce okazać przynajmniej dobrą wolę i gotowość do ofiary, a tego mu za złe wziąć nie można.

Ubolewałem i boleję nad jego losem — począł Sobieski — ale sam winien sobie, gdy się dał szlachcie wciągnąć i przyjął na barki to, czego dźwignąć nie mógł. Nie powinien był przyjmować korony.

Tak, lecz komuż by się ona nie uśmiechnęła! — rzekł Jabłonowski — rodzina zresztą nie przebaczyłaby mu była tego zrzeczenia się. Sam siebie nie znał może, a ludzie widzieli w nim tylko syna Jeremiego.

Który do ojca najmniejszego niema podobieństwa — podchwycił hetman. — Jeremi!

a! ten był przynajmniej żołnierzom i wodzom szczęśliwym, jakich mało... ale Michała w Wiedniu na dworaka wychowano. Peruka zgniotła mu ducha polskiego pod czaszką...

Westchnęli oba, hetman machinalnie sięgnął po list i raz jeszcze oczyma go przebiegać zaczął, potrząsając głową.

— Musimy się do odebranych zastosować wiadomości, będziemy na niego czekali, chociażbym co najprędzej rad wyciągnąć, aby nawałę turecką uprzedzić, a może ją na przeprawach i w wąwozach zahamować, nim do nas wtargnie. Nie radbym im dać przekroczyć granic.

— Z drugiej strony — dodał Sobieski — Pac też się opóźnia, nie przybywa, może go się doczekamy i razem będziemy mogli z Litwą ułożyć plan przyszłej kampanii.

— Pac od dawna tu już się stawić był powinien — rzekł Jabłonowski.

— A ja naglę go nieustannemi posły, aby pośpieszał — mówił hetman. — Składa się wcale niedorzecznemi wymówkami... i nie przyciąga.

Jabłonowski zmarszczył się.

— Nie mamy się co łudzić — rzekł — ja to widzę, jak na dłoni — zgoda żadna nie zapobieży zazdrości i współzawodnictwu. Pac rachuje na to, że Sobieski rzuci się pierwszy na świeże jeszcze tureckie siły, że odpartym być może, a on skorzysta z tego i na znużonych pohańcach odniesie świetne zwycięstwo.

— Rachuba to możliwa i cała ludzka — roześmiał się Sobieski — ale chybić może. Sobieski ten nie rzuci się zbyt zuchwale, ani się da napaść nieopatrznie, bo mu potrzeba być zwycięzcą — a on — tu podał rękę Jabłonowskiemu, z panem wojewodą ruskim nawet bez Litwy nie tak bardzo Turków się boją. Liczą ich zawsze na krocie i być może, iż wojska

sułtana zalegają przestrzenie ogromne, ale to jest szarańcza, której wielka moc niema koniecznie wielkiej siły. Konie ciurów, ladajakiego pospólstwa tam tłumy. Jeżeli się im nie uda nawałą nieprzyjaciela zmódz w pierwszym napadzie — wszystko to potem pierzcha, dusi się, topi i ginie w ucieczce szalonej. Nasz jeden pułk za ich dziesiątek stanie. Nie przestrasza mnie liczba, bylebyśmy stanowiska zajęli dobre, a w pierwszem zetknięciu się odeprzeć nie dali.

Po chwili milczenia, wojewoda ruski powrócił do króla, którego zapowiadano.

Zaczęli obradowywać, kiedy się go spodziewać mogli, obu im nie w smak było oznajmione przybycie.

— Ja się tem pocieszam tylko — dodał Sobieski — iż wyperswadować potrafiemy choremu, z pomocą starego Brauna i mojego Janacza, że na wyprawę niebezpieczną, jesienną porą, niepodobieństwem mu się pokazać.

Oba razem wyszli z pod namiotu, przed którym stała zatknięta chorągiew hetmańska, i buńczuki straże chodziły gęste. Mały taborek wozów otaczał to obozowisko w około. Maleńka wyniosłość, na której rozłożonem było, dozwalała stąd okiem ogarnąć rozległą przestrzeń, zajętą wojskiem, oczekującem na znak do dalszego pochodu.

Poranny ruch ożywiał to mrowisko — miasteczko i jak okiem dojrzeć można było, okolicę. Zdala dochodziły odgłosy trąbek, bębnów, okrzyki ludzi, zwady, brzęk szabel, szczęk łańcuchów, spętanych koni i cały ten głuchy szmer a warczenie tysięcy, które znamionuje budzące się życie. Dzień był pogodny, ale chłodny przymrozek ziemię ściągnął. Około namiotów dymiły gęste ogniska.

Sobieski, okiem zmierzywszy cały ten obraz—posmutniał i nazad do namiotu zawrócił, Jabłonowski pożegnał go, siadł na koń i jechał do swoich.

W drugim oddziele wielkiego namiotu hetmana trzech pisarzów czekało na niego.

Kupą tu leżały doniesienia, listy, gazetki pisane, prośby, na które odpowiadać było potrzeba —czekano na wskazówki pana.

Wziął się natychmiast do pracy.

W obozie podsłuchana wiadomość o spodziewanym przyjeździe króla, przebiegała już z namiotu do namiotu. Witano ją zdziwieniem, niedowierzaniem, a gdzieniegdzie śmiechami. Król ani miłości wielkiej, ani też niechęci, nie budził — mało kto tu o nim myślał i do jego czynności przywiązywał wagę.

Król? mówili starsi rotmistrze a cóż on tu robić będzie?! Tyle tylko, że nas dla mustry na plac ku niemu wyprowadzą i będziemy się musieli poubierać na okaz, krzyknąć - vivat, a potem pod szałasy powrócić. Żeby nam choć parę kwartałów zaległego żołdu przyniósł z sobą, dopiero byśmy mu vivatowali z całego serca ale o tem nic nie słychać!

Inni nie dowierzali tej plotce, wielu mówiło:

— Piąte koło do wozu! Jako żywo nie dowodził nikomu, i na wojnach nie bywał. Co nam po nim!

Na tak przygotowujące się tu przyjęcie wojsk król Michał powoli zdążał ku Glinianom. - Podróż szła nie sporo. Doktor Braun ponaznaczał stacye małe, wypoczynki długie. Niekiedy jesienne powietrze i słota wstrzymywały po gospodach i opóźniały o dnie całe.

Kielpszyna, jadąca z Warszawy do Lwowa, przyłączyła się wraz z mężem do królew-

skiego orszaku, postanowiwszy tak długo towarzyszyć Michałowi, jak tylko będzie można. Dla króla osamotnionego było to wielce pożądanem, chociaż w początku niepokoił się nieco tem kobiecem towarzystwem, nie chcąc dopuścić złośliwych tłómaczeń, ale pani krajczyna tak umiała uczynić się nieznaczną, niepostrzeżoną, tak niknęła wśród tej gromady służby i czeladzi — iż nikt prawie nie zwracał na nią uwagi.

Dla króla, pogrążonego ciągle w jakiejś chmurnej zadumie, wieczorem ten znany głos przyjazny, przypominający szczęśliwsze lata młodości, był chwilowem orzeźwieniem, które choć nie długo trwało, dawało wytchnienie i rozrywkę.

Lecz im się bardziej ku Glinianom zbliżano, tem Michał niespokojniejszym i chmurniejszym się stawał. Podróż, choć się do tego nie chciał przyznać, nużyła go coraz mocniej. Środki, jakiemi usiłował Braun i on sam rozbudzić na nowo wyczerpujące się siły — rozdrażniały więcej, niż krzepiły. Jedzenie, napoje zamiast wzmocnić, czyniły go ociężałym, sennym i wywoływały boleści; potrzeba było ciągle słabnącego czemś orzeźwiać, poić, podsycać sztucznie.

Wśród tych cierpień jedna tylko rozmowa z Helą umiała go na czas jakiś oderwać od smutnej rzeczywistości.

Po drodze ciągłe nadchodziły wiadomości i gońce na przemiany z Warszawy i z obozu.

Nie przynosiły one nic pocieszającego. Sobieski chłodno oznajmywał tylko, że Turcy nadciągają, że Litwy dotąd niema—i że wojska będzie mało na powitanie najjaśniejszego pana. Poufnie pisma przychodzące do różnych osób, króla otaczających, zawierały po większej części zwiększone obawami pogłoski o Turkach

i Tatarach, którzy w nigdy dotąd niebywałej liczbie, nieprzeliczonym zastępom mieli spaść na Polskę.

W innych, które przed królem starannie ukrywano i tajono, zawartą była wiadomość, że sułtan, z mocy traktatu zawartego, uważając króla polskiego za opłacającego haracz hołdownika swego, miał mu wysłać kaftan, jakim zwykle obdarzano poddanych Porcie książąt, zarazem dopominając się nieopłaconego haraczu.

Nie bez przyczyny wszyscy, otaczający chorego i rozdrażnionego Michała — chcieli mu tego sromu oszczędzić, obawiając się, aby nie dobił nieszczęśliwego. Musiano więc czuwać i nad pismami i nad ludźmi przybywającymi, ażeby który z nich nie zdradził się z tem doniesieniem.

Kiełpsz i cały dwór czatować musiał na przybywających posłańców i gości, po drodze bowiem szlachta, zawiadomiona o przejeździe pana, więcej z ciekawości, niż przywiązania do niego, wyjeżdżała na spotkanie, a na noclegach i popasach liczne często gromadki domagały się posłuchania.

Naówczas Kiełpsz, młody Pac i inni, towarzyszący Michałowi, wychodzili pierwsi do tych gości, prosząc ich, aby chorego oszczędzali, a o niczem mu smutnem i groźnem nie donosili.

Król resztki sił szafował na te posłuchania, które znowu często zbytnią wesołością i rubasznością szlachty raziły go i męczyły.

Wlokło się tak nieznośne dla wszystkich to podróżowanie, przeciągające się do zbytku.

Zbliżając się już ku Glinianom, krajczyna w ostatku musiała zawrócić do Lwowa. Zapowiedziano to pożegnanie zasmuciło Michała, który ją przyjął czulej jeszcze i wdzięczniej,

niż zwykle. Hela nie łudziła się wcale, ani Braun się z tem przed nią ukrywał — król miał się coraz gorzej. Podróż wycieńczyła go i znużyła. On sam jednak nie chciał przyznać się do tego. W progu izdebki, którą dnia tego zajmował, przywitał pożyczanym uśmieszkiem towarzyszkę lat młodych.

— Widzisz — rzekł, prostując się i podnosząc głowę, jestem coraz rzeźwiejszym i mam nadzieję, że będę mógł obok hetmana konno objechać wszystkie pułki, obejrzeć wojsko całe bez znużenia. Było Pan Bóg dał porę znośną.

Hela popatrzyła na niego smutnie.

— Ale na tem nie koniec — poczęła, siadając u komina, przy którym król zziębnięty ciągle się ogrzewał — wojsko będzie wkrótce musiało wyciągnąć w pole, gdzie już ani stanowniczych, ani obmyślonych, przygotowanych noclegów nie znajdziecie, w kraju, w którym często wody nawet do picia nie dostanie, gdzie o żywność będzie trudno. Po całych dniach na koniu, a choćby w powozie, niewygodne noclegi, prywacye wszelkiego rodzaju — choremu jak przetrwać przyjdzie? Drżę na myśl samą.

Michał usiłował się uśmiechnąć.

— Ja nie mam obawy — rzekł, zmuszając się mówić przeciwko przekonaniu, właśnie może ten rodzaj życia nowy, te prywacye, ruch przymusowy, wpłyną na mnie lepiej, niż długi ten spoczynek.

— Ale kiedyżeście spoczywali? — przerwała Hela... pozornie chyba, nie dano wam nigdy odetchnąć swobodnie.

— Siedziałem zamknięty — rzekł król — to mnie zniszczyło. Rachuję na ruch. My, dzieci rycerzy, wszyscy stworzeni jesteśmy do czynu, do działania, do konia, nie do zatęchłych izb i tych więzień, w których nas trzymają obo-

wiązki. Wierz mi — ufaj — wyzdrowieję na powietrzu. Zresztą sam widok wojska doda mi otuchy, — mówił dalej, wszyscy przyznają, że Sobieski ma siły znaczne i jak najpiękniej wyćwiczonego żołnierza.

— A! ten Pac! — dodał zaciskając ręce, ten Pac... który Litwinów dotąd zebrać nie mógł i tak się ociąga... Naglę go i zaklinam listami codziennie. Nie wiem nawet napewno, gdzie jest w tej chwili.

— Wasza królewska mość, — smutnie poczęła Hela, macie ufność w Pacach.

— Bo oni jedni zostali mi wierni, od pierwszej chwili stojąc przy mnie, wtrącił Michał żywo.

— Tak — niestety — ciągnęła dalej krajczyna, ale oni to więcej pono czynią przez niechęć ku hetmanowi Sobieskiemu, niż przez miłość dla was.

Zawahała się nieco i spuściła oczy.

— Mój mąż, któremu, jako Litwinowi, chodzi wielce o to, aby Litwa nie pozostała w tyle... dowiaduje się pilno o tem, co się tam dzieje na Litwie. Utrzymuje on, że Pac mógłby od dawna połączyć się z Sobieskim, gdyby chciał i że antagonizm tylko wstrzymuje go.

— A! to być nie może — zawołał gwałtownie Michał — nie chcę, nie wierzę temu. Miałżeby Pac dla własnego interesu narażać Rzeczpospolitą, w chwili, gdy całych jej sił potrzebujemy, aby nietylko Turków odeprzeć, ale Kamieniec odzyskać.

— Kamieniec! — westchnął — tę perłę... tę jedyną twierdzę graniczną, ten klejnot, który mi zasnąć nie daje, którego strata dla mnie istnym cięży kamieniem. Pozostanie on w rękach niewiernych, — to zapowiedź daleko większych później strat i upokorzeń — Kamieniec!!

Widząc ten wybuchający gwałtownie żal króla, Hela się wstrzymała...

— Wasza królewska mość — rzekła po małym przestanku — piszcie do hetmana Paca stąd jeszcze, mój mąż obmyśli posłańca, który to pismo zaniesie i doręczy... zaklinajcie go, aby pośpieszał...

Pisałem wczoraj, wysłałem list z Warszawy — westchnął król, — sądzę, że chyba zupełna niemożliwość wstrzymała Litwę.

Kiełpsz stał u okna.

— Najjaśniejszy panie — szepnął hetman Pac może zbyt wiele sobie obiecywał, nie zgromadził sił, jakie mieć chciał i pod tym pozorem ociąga się, ale tu już nie prosić i zaklinać go, raczej nakazać pod stratą łaski królewskiej należy, aby niezwłocznie i pośpiesznie zdążał ku Glinianom...

Niespokojny Michał obrócił się, oczyma szukając czegoś czy kogoś...

— Ks. Olszowski? — rzekł głosem poruszonym.

List ja napisać mogę — rzerwał Kiełpsz... przybliżając się do stolika.

Dobrze, pisz go po swej myśli — zawołał Michał — zgadzam się na to, rozkaz mu wyślę naglący, nie cierpiący zwłoki...

Krajczy się sposobił do pisania, a Hela podała przygotowany napój, którego spieczonemi ustami król już szukał.

Tak — szepnął Sobieski rad temu będzie, bo w ostatnim liście żali się także na Paca... Kiełpsz — dodał nalegająco — powtórz że Pacowi, że ja sam do Glinian jadę, że ja, nie hetman oczekuję tam na mego, że ja, nie Sobieski wymagam, aby Litwa, jak jest, stanęła mi do boku bez zwłoki. Ach! te niezgody, które nas dzielą! westchnął — one to, a nie Turcy i kozactwo, dobijają tę Rzeczpospolitą!

— Dzięki Bogu — poczęła uspokajająco Hela — nie pozostało już zwaśnionych nad Sobieskiego i Paców...

— Dodaj Radziwiłłów i Paców — rzekł król, wzdychając — powinowatych jednych i drugich...

Zniżył głos — zamilkł.

Kiełpsz śpieszył z listem. Nadał mu formę poufną, aby pieczęci żadnej, oprócz sygnetu na kopercie nie potrzebował, obawiając się zwłoki lub uwag ks. Olszowskiego, które mogły wysłanie opóźnić...

Nie czytając prawie, ręką drżącą, podpisał król, kilka słów dodając uprzejmych i swobodnie odetchnął.

— Widzicie, czynię co mogę — rzekł — a będzie-li wina czyja, spadnie na mnie. Spętany, odpowiadam za wszystkich. Zwycięstwa pójdą na rachunek hetmanów, klęski na mój tylko, taka jest dola moja...

— Raczej wszystkich panujących — przerwała Hela. — Oddadzą wam sprawiedliwość, chcieliście dobra Rzeczypospolitej.

— Cóż chęci znaczą? — uśmiechnął się Michał — one w żaden nie idą rachunek...

— Ależ zła samego naprzód przewidywać nie godzi się — poczęła krajczyna — byłoby to zwątpieniem Opatrzności. Owszem, wszystko się obiecuje jak najpomyślniej. Wasza królewska mość możesz mieć słuszny żal do hetmana, lecz jako wodza, nikt inny by go nie zastąpił. Wszyscy go wynoszą i sławią, troskliwym jest, nieznużonym.

— Tak, gdyby nie Radziwiłłowie — rzekł Michał — jabym go już z pomocą Dymitra mógł sobie pozyskać. Wszystko się już rozbiło o nich... Ożenił się Dymitr, ale pozostał im obcym, a ja wrogiem...

— To sprawa Paców — wtrąciła Hela.

Michał popatrzył na nią, ironicznie się uśmiechając...

— Tak... nie wyjdziemy z tego czarodziejskiego koła... Pacowie... i Radziwiłłowie... a ja wpośrodku bojujących, ich ofiarą.

Wieczór cały spłynął na cichych rozmowach u komina... Ile razy krajczyna wstała, aby się oddalić, król ją wstrzymywał. Jakieś smutne przeczucia go dręczyły, dodawał sobie odwagi, ale zaledwie się ożywił, opadał na siłach...

Dosyć już było późno, gdy Kiełpsz przyszedł, dał znać Michałowi, że przypadkiem powracający z Glinian przyjaciel Sobieskiego, który umyślnie jeździł dla widzenia się z nim, Wydźga, biskup warmiński, nocował tu także i — mógłby może dać wiadomości jakie o hetmanie.

Słynął on wówczas jako jeden z najdowcipniejszych ludzi swojego czasu, choć więcej po łacinie, niż po polsku, lub nawpół temi językami obu—koncepty w świat puszczał. Znał go król, ale nie liczył do swoich, bo Wydźga hetmana był przyjacielem.

Dla tej wziętości jednak, jaką miał u ludzi, dla wielkiej głowy, rozumu i czci, jaką wyznawał, dla pamięci Maryi Ludwiki, którą król też, jako swą pierwszą opiekunkę wspominał zawsze z poszanowaniem, wypadało prosić biskupa.

Wyszła więc Hela i cichym głosem na progu szepnęła:—Do widzenia!...

W chwilę potem żywo, z wesołem obliczem, ukazał się biskup, witając króla swoim obyczajem, łacińskim cytatem Virgiliusza.

Smutny, musiał Michał dla niego przybrać ton, któryby stanu duszy jego nie wydawał.

— Krzyżują się nasze drogi—rzekł sadzając biskupa wy, pasterzu, wracacie z Glinian, ja tam jadę.

— Niech Bóg błogosławi — odparł Wydźga—hetman oczekuje tam na was- *bene praeparato pectore.* Wojsko wygląda pięknie, a idzie z ochotą na nieprzyjaciela.

Król westchnął i nie mógł się wstrzymać od wyrażenia tego, co mu na sercu leżało...

— Pac się spóźnił! boli mnie to niezmiernie—rzekł.

— Si vis *pacem* para bellum — odpowiedział, siląc się na niezręczny dowcip Wydźga...— Hetman nasz tymczasem przygotował się na ewentualność wszelką, a nie przyjdzie *pax* — pociągnie z panem wojnę.

Usiłował tak biskup rozweselić króla, bo mu jego chmurne oblicze przykre czyniło wrażenie.

— To tylko źle -dodał—że wasza królewska mość nie bardzo zdrów tam jedziesz, gdzie wiele sił potrzeba.

— Spodziewam się je odzyskać — rzekł Michał prędko.— W drodze nawet czuję się lepiej. Hetman odemnie starszy, bo podobno około pięćdziesięciu sobie liczy.

— Hetman! — przerwał biskup — on sobie wcale liczyć nie dozwala, a na twarzy mu kwitnie rumieniec. Jako młodzik się zwija...

— Szczęśliwy! — szepnął Michał posępniejąc—ale każdy ojczyźnie przynosi to, co ma.

Spojrzał na Wydźgę, w którego oczach malowało się współczucie i dodał:

— Znacie, ojcze, życie moje, nie miałem nigdy szczęścia, bo i tej chwili, gdy mnie niespodzianie elekcya spotkała, ani dla siebie, ni dla Rzeczypospolitej za szczęśliwą nie liczę, i teraz, gdy radbym krew przelać, zastyga ona

i krzepnie. Staram się podźwignąć, jak mogę... a uczynię, co zdołam...

— Któżby więcej wymagać śmiał po was, najjaśniejszy panie!—przerwał biskup...—Stajecie z dobrą wolą na miejscu wyznaczonem, resztę uczyni Bóg.

— Wszyscy, z hetmanem na czele, mamy teraz nie nadzieję, ale przeczucie, że Bóg da zwycięstwo, pocieszy nas i osłodzi wam żywot, w którym wiele goryczy mieliście do wypicia...

— Ale na pociechę wspomnijcie sobie, czego doznał antecessor wasz, król Kaźmirz, co ucierpiała anielska nasza a bohaterska królowa? I was też, miłościwy królu, nim się fortuny obróci koło, wszystkim nam do tego skłaniać jest obowiązkiem, abyście *savienti fortunae animum tenacem* przeciwstawili.

— Jednego tylko pragnę — przerwał król z zapałem — mieć tyle siły, abym mógł na placu stanąć, piersi nastawić i—zginąć, a!—wielką by to pociechą było dla mnie!!

Gdy to mówił, lice mu zapłonęło, rumieniec się zjawił na policzkach i cała postać przybrała rycerski charakter. Ale stan ten zaledwie trwał krótką chwilę, głowa mu opadła na piersi, opuściły go siły, obejrzał się za służbą, czując palące i zeschłe wargi. Uderzył w dłonie.

Kiełpsz wbiegł i spojrzawszy tylko, podał mu przygotowany napój.

Wydźga patrzył i litość coraz wyraziściej odbijała się na jego twarzy.

Uprzedzony przeciw królowi, nie lubił go nigdy, w towarzystwie Sobieskiego nasłuchał się wszystkiego, co przeciwko niemu wyciągano i wymyślano, ażeby niechęć obudzić, lecz zblizka patrząc na tego męczennika, uczuciem ludzkiem poruszyło mu się serce.

— Najjaśniejszy panie — rzekł żywo. — Z uwielbieniem słucham was i patrzę, ale nie pojmuję, jak dostojna małżonka wasza, a na ostatek i lekarze dozwolili w tym stanie podjąć podróż, a myśleć nawet o wojnie.

Słysząc to, król zerwał się z siedzenia.

— Łudzicie się, mój ojcze — zawołał — to są momentalne, zwykłe moje, od wielu lat, przechodzące cierpienia, na które ja zważać nie zwykłem. Niech Bóg broni, aby mi się kto śmiał sprzeciwiać, teraz, gdy mam wolę niezłomną, gdy iść muszę.

— Ojcze! — dodał — Kamieniec!! z Kamieńcem na piersi kładnę się, wstaję, chodzę — Kamieniec, nie choroba mnie zabija — traktat Buczacki mnie dusi! — Na mojem panowaniu i imieniu, srom ten niezmazany krwią, pozostawić, a!

Zakrył sobie oczy rękami.

Wydźga skłonił głowę, nie mówiąc nic, a król dorzucił głosem drżącym:

— Umrę! zginę! ale ja tego pragnę! ale to mi się jedno uśmiecha, króla znajdziecie łatwo, a ja żyć tak długo nie mogę.

— Najjaśniejszy panie—powstając z krzesła z powagą, odezwał się Wydźga — wasze imię Michał niech wam będzie otuchą. Wiecie co ono oznacza? *quis ut Deus!*—kto nad Boga; ten Bóg będzie waszą pociechą i obroną, a ulituje się niewinnego męczarni.

Biskup łzy miał na oczach.

— Godzina spóźniona — rzekł — czas, abyście odpoczęli, najjaśniejszy panie, a ja krzyżem świętym was błogosławiąc, radbym w duszę wlać pokój!!

Rozstali się w progu.

Znużony wszystkiem, co tego wieczora doznał, król natychmiast się położył, ale przeciwko rozkazom Brauna, który rozkazał dzień

wytchnienia, polecił mieć wszystko w gotowości do dalszej podróży.

Im się zbliżał bardziej do celu, tem niecierpliwość rosła.

— Nie odetchnę, nie będę spokojnym, aż gdy stanę wśród wojsk i obozu... Tam dopiero wypocząć będę mógł...

Krajczy, który pozostał w krześle przez noc całą, z boleścią się przekonał, iż król przez całą noc nie zmrużył oka. Rzucał się po łożu jęcząc, siadał na niem, dopytywał o godziny, usiłował zasnąć napróżno.

Braun, który wezwany przyszedł nadedniem, usłyszawszy od krajczego o stanie zdrowia króla i przekonawszy się, że przedłużenie męczarni ulgi by nie przyniosło, zgodził się na podróż, i ze dniem, Michał w kolebce zamkniętej, drzemiący i rozmarzony jechał dalej ku Glinianom.

VII.

Wieczór był jesienny, na zachodzie rozpogodzone niebo świeciło płowo-żółtym blaskiem, a szare, porwane chmury uciekały ku wschodowi... Chwilami wiatr chłodny przelatywał szumiąc i niosąc z sobą zapowiedź mrozu.

Na rozległej równinie pod Glinianami obóz Sobieskiego poruszał się życiem wieczornem, pędzono i prowadzono konie od wodopojów, czeladź krzątała się pod szopami dla nich skleconemi, wieczorne ognie połyskiwały tu i owdzie, a dym od nich z wiatrem rozkładając się, unosił nad ziemią. Szum i gwar dzienny powoli

ustawać zaczynał, jednakże dnia tego więcej tu, niż zwykle widać było jezdnych i część wojska czekała przy osiodłanych koniach, a niektóre oddziały stały w gotowości, jak do wystąpu, chociaż mrok padał i wieczór nadchodził.

Szeregiem od obozu na gościńcu stali jezdni ustawieni tak, aby się widzieć mogli, na czatach, a oczy ich zwrócone w stronę przeciwną, wypatrywały oczekiwanego jakiegoś znaku.

Na wzgórzu, gdzie stały obok siebie namioty hetmańskie i wojewody ruskiego, Jabłonowskiego, widać było też przygotowania jakieś, jakby się na przyjęcie gościa przybierano.

Służba liczna Sobieskiego, czeladź, dworscy w barwie świątecznej, kręcili się dokoła namiotów, sam hetman ukazywał się niekiedy u wnijścia, a wierzchowego konia jego osiodłanego masztalerz przeprowadzał.

Oczekiwanie to, domyśleć się łatwo, spowodowane było obiecanem przybyciem króla, ale zamiast Michała, który zmuszony był osłabieniem wczośniej stanąć na spoczynek, aby się zbyt zmęczonym nie pokazać przed wojskiem, nadbiegł posłaniec tylko z ustnem zawiadomieniem, że król Michał z powodu uszkodzenia kolebki (tak mówić kazano), dopiero nazajutrz mógł przybyć.

Rozstawione więc na drodze czaty szybko się nazad do obozu ściągać zaczęły, a hetman, który też w gotowości był, odebrawszy wiadomość, wszedł do namiotu, aby zrzucić strój paradny, uśmiechnął się z politowaniem.

— Szczęściem — zawołał wesoło wojewoda ruski — nic nie nagli, lecz gdybyśmy tak na wodza czekać musieli wobec nieprzyjaciela... mogłoby się nam za to dostać po tobinkach.

— Z tego, co wiem, miarkuję — odparł Sobieski, który śpieszno rozdziewał się ze swych atłasów i aksamitów, aby przywdziać wygodny kożuszek popielicowy — król nietylko nie ma się lepiej, ale zdrowie mu się znacznie pogorszyło. Niepodobieństwem jest, abyśmy go z sobą pod Chocim brali, gdzieby nam tylko zawadzał. Braun odradzał mu podróż, nie posłuchał, pisze mi jeden z moich Koryckich, który jest przy dworze, a tak się uparł, że go nawet ukochana powinowata jego, mająca nad nim moc wielką, krajczyna Kiełpszyna pohamować nie mogła.

— Pięknie to z jego strony, ani słowa, lecz... spóźnił się z tą rezolucyą... Braun, słyszę, otwarcie powiada, iż żyć nie będzie długo, a tą podróżą jeszcze sobie skrócić może ostatki tego mizernego żywota!!

— Wiesz — dodał Sobieski — nie byłem mu nigdy przyjacielem, walczyłem z nim, stałem przeciwko niemu, a raczej przeciw tym, co z nim idą, czy też jego prowadzą, ale słowo ci daję, teraz mi szczerze żal...

— Nie żądał tej męczeńskiej korony, wypraszał się od niej, gwałtem mu wciśniętą na skronie, opłacił ciężko... Żona!! zamiast pociechy przyniosła mu domową troskę i pomnożyła liczbę nieprzyjaciół. Dopóki żył Prażmowski, spiskowała z nim jawnie, aby męża z tronu zepchnąć, a Lotaryńskiego wprowadzić. Dziś zmieniła taktykę, ale nie uczucia... Stała się czułą, bo się dwór rakuski zawstydził brzydkiej intrygi, która na jaw wyjść groziła. Zważ, co ten człowiek wycierpieć musiał.

— Pacowie nas oskarżają, żeśmy mu trucizny zadać kazali!!! nie potrzeba było więcej nad tę, jaką mu życie przynosiło... a w ostatku i on sam niepomiernie jedząc...

To mówiąc stanął Sobieski przed przyjacielem, który pilno słuchając, w oczy mu patrzył...—i dokończył.

— Kondeusz tedy znowu wystąpi jako kandydat najmocniejszy, a tym razem szlachta już mu się przeciwić nie będzie.

— Jeżeli jej milszego nie poddamy kandydata — przerwał wojewoda ruski. — O ewentualnościach elekcyi ani mówić można, nawet w przededniu, cóż dopiero zawczasu.

— Nie zawsze ta ciżba, której głosy przeważają, godną jest, aby na nią Duch Święty zstąpił, ale dziwnie czasem kości padają. Kondeusz będzie pewnym, a Polanowskiego okrzykną.

— Dajże mi pokój z tym poczciwym Polanowskim, który się gniewa, gdy mu tem królestwem w oczy, jak urągowiskiem, rzucają, daj mi pokój i z wszelkim jakimkolwiekbądź Piastem. Spróbowaliśmy Michała *tamquam satis*.

Uśmiechnął się Jabłonowski.

— Nie łapmy ryb przed niewodem — dodał.

— Jutro tedy doczekamy się króla — westchnął Sobieski, a jabym wolał w miejscu jego mieć Paca, naówczas ruszylibyśmy wesoło, pozbywszy się najjaśniejszego.

— Jeżeli on da się tak pożegnać i odprawić rzekł Jabłonowski.—Człowiek chory i zbolały upartym jest...

Nastąpiło milczenie. We dwu tak ci druhowie, których najczulsza przyjaźń łączyła, spędzili wieczór na przypomnieniach wojen, w których albo oba razem, lub pojedyńczo udział brali...

Nazajutrz ostry przymrozek, wedle zapowiedzi wieczoru poprzedzającego, ściągnął ziemię, a wiatr zwróciwszy się ku północy, smagał

nielitościwie; ale dzień był jasny, choć barwa słonecznych promieni tak zimną się wydawała, jak powietrze.

Przez znaczniejszą część dnia potrosze wyglądano króla, i wieczór nadchodził znowu, gdy oznajmiono nareszcie, że część taboru, wcześniej z noclegu wyprawiona, do Glinian przybywała, król zaraz za nią miał podążyć.

Sobieski z Jabłonowskim oba konno z oddziałem pancernych, wyjechali na kraj obozu, aby pana powitać.

Tu też dwór stary drewniany, opróżniony był i już przysposobiony na przyjęcie Michała, któremu pod namiotem trudnoby wytrwać było...

Dnia tego nie myślano o uroczystem przyjęciu...

Za wozami pokazał się orszak wojskowych, gwardye i hajduey, towarzyszący Michałowi, potem tabory znowu, na ostatek kolebki dworskie. W poszóstnej wielkiej, jechał na wpół leżąc Michał, mając Brauna i ks. Olszowskiego przy sobie. Kielpsz konno u drzwiczek asystował.

Zawczasu oznajmiono królowi, że się do obozu zbliżali, od popasu już ubrał się, i z niepokojem niewymownym wyglądał, rychło - li wojsko zobaczy...

Na twarzy jego malowała się trwoga, i Braun, widząc wzruszenie, kroplami, na cukrze mu podawanemi, starał się nerwy uspokoić, sił dodać, choćby kosztem późniejszej prostracyi.

Stanęła w końcu kolebka, a u drzwiczek jej pokazali się na dzielnych koniach dwaj wodzowie, Sobieski i Jabłonowski, otoczeni świetną gromadką dobranego rycerstwa.

Był to najpiękniejszy w świecie obrazek, gdyby nie odwrotna strona jego; król ten scho-

rowany i wybladły, przestraszonemi oczyma patrzący z zazdrością na swoich hetmanów.

Wspaniała postać Sobieskiego, niemniej rycersko i pięknie prezentujący się Jabłonowski, po za niemi wąsate oblicza pancernych, husarzy, rotmistrzów, chorążych, w pozłocistych misiurkach z czepcami i pióropuszami, konie w bogatych rzędach, broń połyskująca, jakby ze srebra ulana, nad głowami szeleszczące długo puszczone proporce.

Za Sobieskim buńczuczny i jego orle skrzydło hetmańskie, giermek z tarczą... On sam w białym żupanie ze srebrzystej łamy, w niebieskim kontuszu, w delijce sobolowej szkarłatnej... Jabłonowski czarno z purpurą i złotem ustrojony... stanowili przepyszną grupę...

Król, rozkazawszy sobie otworzyć kolebkę, wysiadł, aby okazać swą rzeźwość, w zwykłym francuskim stroju, w peruce i kapelusiku na niej z piórami, z mieczykiem u boku, misternie ze stali wyrzeźbionym u rękojeści, z szarfą na piersiach, z koronkami pod szyją, gdy na chwiejących się cienkich nogach stąpił na ziemię, potrzebował usłużnej ręki Kiełpsza, czuwającego nad nim, aby nie upaść. Siląc się na uśmiech i podnosząc nakrycie głowy, witał hetmana i wojewodę... ale głos jego cichy, ochrypły, zaledwie uszu ich dochodził. Zsiadali właśnie z koni do ręki królewskiej.

Powitanie ze strony Michała było nadzwyczaj uprzejme. Sobieski i Jabłonowski szanowali w nim majestat królewski, a teraz i ten drugi majestat boleści, który obu ich przejmował współczuciem.

Dosyć było spojrzeć na króla, aby odgadnąć, jaki gwałt sobie zadać musiał, aby tu stanąć, pomimo bezsilności i cierpienia.

Opóźniłem się — począł przemijająca niedyspozycya mnie wstrzymała... Czuję się le-

piej teraz i rad jestem, żem tu stanął, aby z wami trud dzielić. Panu hetmanowi winienem dzięki za zebrane siły, za niezmierną jego pracę... Nie będę ja mógł odpłacić, to wdzięczna Rzeczpospolita.

Sobieski wąsa podkręcał.

— Najjaśniejszy panie — odezwał się — zapłaty nie żądam, spełniłem obowiązek. Prawda, iż nieraz ciężko przychodzi tego dopełnić... Dziś mamy już siłę do odparcia gotującej się napaści.

— Paca tylko co nie widać — dodał — oczy spuszczając król, ciszej — radbym go wytłómaczyć! nie umiem. Posłałem *iterum iterumque* naglące... spodziewam się skutku...

Pomilczał nieco hetman.

— Nie może nas w chwili tak stanowczej opuścić — rzekł powoli. — My byśmy w najgorszym razie obejść się może potrafili bez niego, ale on bez spełnienia powinności nie zdoła się obejść, boby srom uczynił sobie...

Podniósł król oczy na dobraną garstkę towarzyszów, pozdrowił ich, lice mu się uśmiechnęło i począł chwalić.

— Jutro dopiero — przerwał Sobieski — będę miał to szczęście waszej królewskiej mości zaprezentować wierne jego rycerstwo, które całe wystąpi i okaże się, dziś pora spocząć waszej królewskiej mości, a my towarzyszyć jej będziemy.

W przewidywaniu potrzeby był wierzchowiec dla Michała przygotowany, którego mastalorz za kolebką prowadził, król dosiąść go chciał, ale Braun się sprzeciwił.

— Dosyć będzie jutro trudu — rzekł — a dziś...

— Dziś i potrzeby niema tej fatygi — dodał Sobieski... — mrok nadchodzi, w obozie zabierają się do spoczynku.

Kilku słowy jeszcze podziękowawszy, Michał zwrócił się nazad ku swej kolebce... a Sobieski z Jabłonowskim mogli się przekonać z niepewnych i ociężałych ruchów jego, że na jutrzejszy występ niewiele liczyć było można...

Poprzedzając króla, hetman i wojewoda doprowadzili go do dworu, gdzie już służba przodem posłana, oczekiwała i zarazem posiłek wieczorny, którego zawsze czczością wewnętrzną chorobliwą dręczony król potrzebował...

Do stołu razem z nim zasiedli zaproszeni hetman i Jabłonowski, a starszyzna wojskowa obok miała drugi, który czekał też zastawiony obficie. Wszystkich oczy ciekawe zwracały się pilno i niespokojnie na przybyłego pana, który czując to, siedział jakby pod pręgierzem, zmagał się na rzeźwość i wesołość. Zdradzało go jednak znużenie, które brało górę, gdy się cokolwiek zapomniał. Dla mniej nawet upornych oczu, złudzenie możliwem nie było... widziano w nim chorego, który chciał się krzepkim okazać i padał...

Litość, jaką już wprzódy mieli dla niego Sobieski i wojewoda, wzmogła się żywym widokiem człowieka tak umęczonego. Zdziwienie tylko pewne wywołało wkrótce niepomierne króla żarłoctwo, bo nad siły było jego powstrzymać się od niego... Żaden z tych śmiałków nie będąc lekarzem, nie umiał rozróżnić apetytu zdrowego człowieka od tego pochłaniania jadła... gorączkowego i zabójczego,.. hetman więc wniósł po prostu, że mimo osłabienia, natura oddziaływa i może jeszcze nad chorobą wziąć górę.

Przy wieczerzy znowu Turcy, Tatarowie i kozacy na plac wyszli, i o nich tylko rozprawiano, a Sobieski nalegał, aby pośpieszać, nimby owe tysiące czas miały się przeprawić i wtargnąć na Podole...

Sławna wiktorya pod Chocimem odniesiona, nęciła znowu dobrą wróżbą pod mury tego zamku i hetman gorąco pragnął potykać się tutaj z Turkami.

O siłach ich tak przesadzone prawiono dziwy, że im wiary dać nie było można.

Gdyby w istocie — rzekł w końcu — szarańczy tej plugawej tyle było, co nam jej zapowiadają, i tak ona jeszcze we mnie zbytniej nie budzi obawy. Dla samej żywności i przekarmienia koni, Turcy jednym oddziałem skupionym ciągnąć nie mogą, rozdzielać się muszą. Nasza rzecz nie dać się im połączyć, a pojedyńcze kupy rozbijać... co przy łasce Bożej, a języku, którego Lipkowie dostarczyć powinni, możliwem być sądzimy.

Zaczęto tedy i o Lipkach tych, Tatarach z Litwy przesadzonych, którym niezbyt dowierzano.

Tak się wśród ożywionej rozmowy skończyła wieczerza, a Sobieski i wszyscy goście pośpieszyli króla pożegnać, spytawszy o godzinę, o której wojsko chciał oglądać.

Choć było co czynić, aby choć pobieżnie wszystkie pułki zobaczyć, nie naznaczono zbyt rannej pory, aby Michałowi dać czas do spoczynku...

Ledwie się za ostatnim z gości drzwi zamknęły, gdy Kiełpsz ujrzał króla, który stał przy krześle, upadającego na nie. Oczy mu się zamknęły mimowolnie, przemógł niemoc i na zapytanie nie odpowiadając, zadyszany zbyt długo przeciągniętem wysileniem, król pozostał nieruchomy, dysząc tylko ciężko...

Wzruszenie, rozmowa, potem nagle przyjęty pokarm, w którym miary nie znał, sprowadziły ten stan prostracyi, z której Braun narzekając i utyskując, starał się wyprowa-

dzić, ciągle aż do zbytku zadawanemi lekarstwami, nie bacząc, że i one chorego nużyły...

W nocy przyszedł sen niespokojny i gorączka, a o odłożeniu przeglądu wojska, król sobie mówić nie dawał. Zdradzić się obawiał ze słabością. Braun ani się śmiał odezwać, a Kiełpsz, ile razy coś podszepnął, w odpowiedzi odbierał wybuch gniewu i zniecierpliwienia.

Nazajutrz więc z rana przysposobiono wcześnie konia najspokojniejszego i siodło jak najwygodniejsze, a Braun doradził, aby i kolebka zdala stała na zawołanie w pogotowiu.

Wcześnie nadto porwawszy się z łóżka, Michał kazał podać śniadanie. Łudził się tem zawsze, iż pokarm obfity miał mu dać siły... Zwierciadło, w które spoglądał, pokazywało mu twarz zmęczoną, w której on jednak upatrywał lepszą cerę i ożywienie...

O przywdzianiu choćby lekkiej zbroi król sam nawet nie marzył, bo by jej nie mógł dźwignąć, strój więc zwykły, ze zwierzchniem futerkiem, buty z szerokiemi obkładami i szpada u boku stanowiły całe uzbrojenie...

Ze swojego dworu nie potrzebował brać orszaku, bo mu hetman miał towarzyszyć i stanowić straż jego. Przybył też w porę Sobieski, przybrany dnia tego we zbroję, szyszak i wiodąc za sobą cały zastęp urzędowy, który dostojeństwa jego był oznaką... Obyczajem wschodnim, niesiono przed nim buńczuk ozdobny, orle skrzydło na wysokiem drzewcu osadzone, giermek niósł złotą Sobieskich Janinę, chorąży proporzec jego, a on sam buławę dzierżył w ręku. U siodła, obyczajem swym, miał oprócz koncerza przytwierdzony srebrny bębenek, w który uderzał pałeczką, gdy chciał kogo przywołać...

Król ze swą peruką, kapeluszem i za orężą cały z cienkim mieczykiem, obok tego wspaniałego hetmana tak biednie, a co gorzej, cudzoziemsko i obco wyglądał, iż najżyczliwszym mu smutek czoło okrywał...

Kiełpszowi łzy się w oczach kręciły, młody Pac ramionami zżymał. Widocznem było, iż Michał narażał się na pośmiewisko tego żołnierstwa, które porównywając go z Sobieskim, śmiesznym i biednym widzieć musiało...

Ale na to nie było ratunku!

Sam on nie czując może tego, aby się mógł wydawać śmiesznym, obawiał się o jedno tylko, o wytrwałość, o siły... Strach sprowadzał uderzenie krwi do głowy i żarem go oblewał na chwilę, po którym następowały dreszcze...

Dzień wietrzny był i chłodny, ale suchy...

Na całej przestrzeni stały pułki porozstawiane z chorągwiami rozwiniętemi w całym blasku najwspanialszego uzbrojenia. Było-li ono odpowiedniem już ówczesnym nawet wymaganiom sztuki wojskowej, rzecz to więcej, niż wątpliwa, ale nawet uprzedzeni cudzoziemcy oddawali sprawiedliwość chorągwiom cesarskim szczególniej, pancernym kopijnikom, hajdukom, iż na oko piękniejszego żołnierza widzieć nigdzie nie było można. Popisywano się z husarzami skrzydlatemi przed dworem francuskim i postawę ich, a malowniczy strój wychwalano, ale naówczas już, ci, co ich w boju widzieli, o zmianach w uzbrojeniu mówili i zamierzali je dokonać.

Żołnierz piękny był, ale ciężki i nieobrotny, to co dźwigał na sobie, pętało go...

Jedną z najlżejszych broni miało kozactwo regularne w wojsku koronnem, a oto jak współcześni rynsztunek rotmistrza, a raczej sotnika, opisują.

Musiał on mieć na sobie nie lekką do dźwigania koszulę drucianą, na głowie misiurkę z czepcem, u boku pałasz, muszkiet albo łuk i sahajdak na plecach. U pasa całe wisiało gospodarstwo, szydło, krzemień, nóż, sześć łyżek srebrnych, wchodzących jedna w drugą w worku safianowym czerwonym, u pasa też zawieszony był pistolet małych rozmiarów, chustka paradna, czarka ze skóry wygotowanej do czerpania wody, szabałtas na papiery i pieniądze, grzebień i inne drobnostki, pęk jedwabnych sznurów do wiązania niewolników...

Wszystko to wisiało z prawego boku, bo po lewej był pałasz. U siodła zaś poczepiane: czasza drewniana do pojenia koni, trzy pęta skórzane dla wypuszczania na paszę... Nie liczy się ładownicy do muszkietu, rogu na proch i innych drobnostek... Husarze ze skrzydłami u siodeł, z ogromnemi koncerzami, często z tarczami, sahajdakami, łukami i kopiami długiemi, we zbrojach, koszulach, misiurkach albo hełmach, więcej jeszcze mieli do dźwigania.

Lecz w polu, gdy to się w szeregach rozwinęło, a długiemi barwnemi proporcami wiatr szeleścił, gdy słońce tysiącem iskier osypało rzędy wysadzane, blachy złocone siodeł, czuby i trzęsidła na głowach koni, gdy w tych żelaznych piersiach zagrzmiała Boga Rodzica, ozwały się trąby i kotły, konie zarżały, duch rycerski ogarnął tych dobranych chłop w chłopa, rosłych, jak olbrzymy, wojaków, obraz z nich złożony jak baśń jakaś stara stawił się oczom zdumionym...

Żołnierz to był tak kosztowny ze swemi lamparciemi skórami i kobiercami perskiemi na ramionach, z rzędami, jak strumienie turkusów i rubinów, spływającemi na grzbietach koni, ze srebrem i złotem kutemi skrzydły orlemi — iż kraj, co go dostarczał, musiał nęcić

chciwość łupieżców. Cóż dopiero, gdy się ku temu dołożyły wozy, co szły za każdym z towarzyszów, często sreber i kosztownego naczynia, futer i odzieży drogiej pełne.

Takiem wspaniałem widowiskiem w promieniach jesiennego słońca, Sobieski witał króla.

Nie po raz pierwszy przedstawiało się ono oczom Michała, ale nigdy w takiej rozciągłości, z taką barw rozmaitością nie oglądał wojska swojego. Z dumą a otuchą wielką musiało mu się poruszyć serce, a Sobieski też ukazując te pułki, z których każdy nazwać umiał, a o każdym coś na cześć jego powiedzieć — mógł się pochlubić, że mu hetmanił i mieć nadzieję, że ono zbiegowisku wpół nagich Tatarów na drobnych szkapach, z lichemi łukami— pobić się nie da.

Zaśmiało się lice królowi, zarumieniły policzki, i przed chorągwiami, które mu się schylały pozdrawiając, zdejmował nizko kapelusz. Słabo z początku, potem żywiej nieco, odzywały się—*vivat Rex.*

Iść na czele tych zastępów, walczyć razem, poledz na placu—bodaj—zdawało mu się szczęściem niewysłowionem po dotychczasowym męczeńskim żywocie!

Najpiękniejsze pułki już objechali razem, a Michał nie uczuł jeszcze znużenia—dreszcze tylko niekiedy czuć mu się dawały.

Nagle—gdy okiem mierzył rozległość placu, jaki jeszcze przebywać musieli, jakby obłok mglisty, przesunął mu się przed oczyma, czuł, że blednieć musiał — zimy pot występował mu na czoło, wewnątrz niewysłowione jakieś ssanie ścisnęło mu wnętrzności, nie wiedząc sam, co czyni, powstrzymał konia. Sobieski, jadący obok, nierychło dostrzegł, co się działo, gdy nieco dalej odsunięty Kielpsz podbiegł i chwy-

cił króla w chwili, gdy omdlały chylił się na bok i z konia mógł się obalić.

Wysilał się napróżno, aby utrzymać się na siodle i przemódz mdłość—musiano stanąć, otoczono go natychmiast, dwór pozeskakiwał z koni, i na rękach jego Michał znalazł się na ziemi. Nogi mu się uginały, ale mocując się nieco, potrafił się na nich utrzymać. Wracała mu przytomność i pierwszem jego staraniem było odepchnąć sługi, a sięgnąć po cugle konia. Lecz znalazł się tuż Braun, hetman też z konia już zsiadłszy, zbliżył się do niego z Jabłonowskim.

— Najjaśniejszy panie—począł wzruszony Sobieski — zbrodnią jest samobójstwo! My na to nie możemy dozwolić, abyś wasza królewska mość wszystkim nam drogie życie swe poświęcał nadaremnie.

— To było — to było, przemijające, chwilowe—pozwólcie—rzekł błagającym głosem Michał—już mdłość przeszła.

— Ale za chwilę powrócić może—odezwał się przystępujący Braun.

— Siadaj wasza królewska mość do kolebki, nalegać począł Jabłonowski — i powracaj do dworu. Niepodobieństwem jest w takim stanie zdrowia myśleć o wojnie i o podróży nawet.

Królowi pod wrażeniem boleści duchowej znowu zrobiło się słabo, sparł się na ramieniu Kiełpsza, bledniejąc trupio — i z ust okrytych jakby pianą białą—wyrwało się niewyraźne:

— Kamieniec!!

W tym stanie zesłabnięcia, z którego kroplami, jakie miał przy sobie, trzeźwić go usiłował Braun, — zaniesiono Michała do kolebki.

Kiełpsz z doktorem siedli z nim razem, a Sobieski z Jabłonowskim jechali dalej oglądać resztę pułków.

Wieść o zasłabnięciu króla rozeszła się piorunem. W wielu obudziła ona współczucie dla niego, ale ci co go nienawidzili, podżartowywali sobie.

— Jeżeli on obejmie dowództwo, które mu się należy, jeśli się przy wojsku znajdować będzie—dobrze wyjdziemy, boć jeszcze ani prochu nie powąchał, ani świstu strzał tatarskich nie słyszał!

W sercu hetmana, może po raz pierwszy dla znienawidzonego króla prawdziwa—szczera obudziła się litość. Był pod wrażeniem potwarzy, które o nim—o jego nieczułości, obojętności i dziwactwach rozgłaszano, prymas zmagał się na to zohydzenie Michała. Sobieski go teraz oglądał—odczuł jego dolę, przypomniał sobie całe panowanie i — litość go zdjęła. — Jeden ten wyraz, wyrzeczony mdlejącemi ustami — Kamieniec! — nawrócił go. Żal mu się zrobiło, iż nieraz zmuszonym był prześladować go.

Po odjeździe króla na poły omdlałego, hetman prędko dokończył przeglądu i pośpieszył z Jabłonowskim do swego namiotu.

Tu wylał się przed przyjacielem z tem, co czuł.

Wojewoda ruski przyznał się naówczas, że król i na nim zrobił tak samo wrażenie bardzo nieszczęśliwego człowieka.

— Dołącz do tego, — rzekł — że ona go zdradza, dręczy i ostatek dni mu zatruwa — a w istocie miłosierdzia godzien ci się wyda.

— I to rozumiem dobrze,—dodał wojewoda, że dla oczyszczenia siebie, dla ulżenia w sumieniu chce z nami iść, ale możemyż my na to zezwolić?

— Nigdy w świecie!—zawołał Sobieski.— Pewne względy należą królowi, cóż dopiero choremu, — te względy będą nas paraliżowały

w pochodzie, dla jego bezpieczeństwa będziemy musieli najlepsze oddziały gwardyi odłączać, w pochodzie się ociągać, a ostatecznie niewygody go zabiją.

— Niepodobieństwem jest wziąć go — potwierdził Jabłonowski. Do Warszawy nie sporo mu wracać, niech jedzie do Lwowa i tam pozostanie bliżej teatru wojny.

— Ale daż się on namówić?

— Krajczy ten, jakże się zowie — przerwał wojewoda — ma nad nim moc... słucha go. Jest to mąż jego kuzynki, Zebrzydowskiej,—potrzeba go do nas zaprosić i z nim się naradzić.

Sobieski, nic odpowiadając, wyszedł z tej części namiotu, w której stali i klasnął na kozaczka.

— Maszka!—rzekł—siadaj na konia, jedź do dworu, który król zajmuje i proś do mnie pana Kiełpsza. Ale sobie dobrze zapamiętaj nazwisko, bo jak mi inną rybę ułowisz, dostaniesz po karku. Powiedz, że hetman pilno prosi na dwa słowa.

Kozaczek pierzchnął, bo u Sobieskiego wszystko duchem słuchało.

Nie upłynęło pół godziny, a krajczy zsiadał z konia u namiotu — ale jak noc posępny.

— Musiałem was wezwać — rzekł hetman, witając go. Z królem jest źle, a będzie gorzej, gdy się uprze jechać z nami. Śmiech i żal mówić nawet o tem.

— Tak, — przerwał Kiełpsz — ale jeżeli nie pojedzie z wami, to ze zgryzoty i żalu zamrze.

— Prędzej wyzdrowieje—rzekł Sobieski.— My na to pozwolić nie możemy, o żywot jego chodzi. Na wyprawie się nam nie zda, bo by ją hamował. — Do Lwowa tymczasem go od-

wieźcie, bliżej będzie. Na to wy go, gdy zachowanie u niego macie, namówić powinniście.

— Alem ja sługą tylko — odparł Kiełpsz, powagi nie mam. Wie, że go kocham, żem życie dla niego dać gotów, a no tego mało. Młody jestem.

— My z panem wojewodą poczniemy — mówił dalej Sobieski, wy popierajcie—powiedzcie to ks. Olszowskiemu, on też w ten sens odzywać się powinien.

— Jakże teraz jest? — zapytał w końcu hetman.

Kiełpsz głową potrząsnął.

— Leży w łóżku sparty na ręku i duma, a niekiedy rzuca się, jakby go piekło. Powróciwszy do dworu, musieliśmy go poić i karmić, ażeby te wewnętrzne bóle stłumić—ociężał potem—drzemał, teraz rozbudzony zaczyna cierpieć znowu.

— Można z nim będzie widzieć się dzisiaj?—spytał Jabłonowski.—Im prędzej, tem lepiej będzie, gdy go do Lwowa wyprawiemy, tu ani wygód, ani apteki, ani doktora niema. Powinniście wyruszyć natychmiast.

— Właśnie król życzył sobie wieczorem widzieć się z panami hetmanami, będziemy więc czekali.

— Przygotujcie go do tego, z czem my idziemy.

Zaledwie Kiełpsz odjechał, gdy Braun wózkiem kazał się przywieźć do Sobieskiego, zamierzając o toż samo go prosić, co on miał na myśli.

— Niewiele w nim już życia jest — rzekł, wzdychając stary, dobijać się go nie godzi bez korzyści dla nikogo. Ani może myśleć jechać na wojnę, daj Boże dowieźć go do Lwowa!

Michał sam się już może nie łudził — ale zawsze jeszcze chwilami wmawiał w siebie, że

jechać musi i pojedzie. Kiełpsz poruszał ramionami, nic mu nie odpowiadając, z naleganiem bowiem czekał na przeważną inicyatywę hetmana.

Oznajmiono o nim nareszcie, przybył ks. Olszowski i wszyscy obsiedli łoże króla. Braun stał w odwodzie.

— Najjaśniejszy panie — odezwał się Sobieski — przychodzimy nie od siebie, ale od całego wojska waszej królewskiej mości, prosić go, abyś zaniechał podróży i naprzód myślał o zdrowiu. Dali Bóg je odzyskać, w każdej chwili będziesz mógł połączyć się z nami — tymczasem ja na Paca nie czekając, iść muszę — a wąsza królewska mość nie do Warszawy, a do Lwowa, bliżej wojsk możecie się udać na spoczynek.

Michał ze spuszczoną głową milczał.

Potwierdził to ks. Olszowski, poparł Jabłonowski, zamruczał na ostatek Braun, iż inaczej być nie może.

— Nie przeczę — odparł powoli Michał, że ja nie zdałem się wam na nic — bo ze mnie ani wódz, ani żołnierz — ale dla mnie sroga niewola nie być tam, gdzie o cześć narodu będzie oręż rozstrzygać. Wolałbym umierać przy waszym boku, od tatarskiej strzały, niż mizernie konać w gospodzie, myśląc o Kamieńcu — o was i o wyprawie... a nie wiedząc, co się dzieje.

— Będziemy waszej królewskiej mości o każdym naszym kroku donosić gońcami — dodał Sobieski — ale do Lwowa jedźcie i to nie mieszkając, bo w Glinianach ani wygody, ani pieczy, ani spokoju mieć nie będziecie. My też ruszamy i jutro obóz zwijać zaczniemy.

Nie było sporu, bo konieczność nakazywała się poddać tylko — zwrócony do hetmana, począł król modlić się.

— Panie hetmanie, na krew pańską, dawajcie mi znać o krokach waszych — a, da Bóg, zwycięstwach. Jako nieboszczyk ojciec mój miał szczęście przeciwko kozactwu, tak wy je macie przeciw Turkom. Pobijecie ich, odzyszczecie Kamieniec, ale tego już oczy moje widzieć nie będą!

— Najjaśniejszy panie — wtrącił Jabłonowski, potrzeba się otrząsnąć z tych złych myśli. Macie siły — wiek was nie przygniata. Spoczynek i starania lekarzy zdrowie wam przywrócą.

— Nie — odparł król sucho — gdybym nawet wiadomość odebrał, że Kamieniec rekuperowany, nie wiem, czy i to by mi życie wróciło.

Schwycił się ręką za piersi.

— Ssie mnie coś wewnątrz — i życie wyssało.

Znowu głowa mu opadła.

Chwilę jeszcze bawiono go rozmową — aż znużenie widząc wielkie, hetman pierwszy wstał żegnać się, oznajmując o ludziach, których miał dać królowi dla odprowadzenia go w straży do Lwowa.

Michał milcząco zgodził się na wszystko.

Łzy stanęły w oczach Sobieskiemu, gdy go żegnał, pewnym będąc, że już go żywym nie ujrzy — ks. Olszowski wyszedł też, przeprowadzając hetmanów, a Braun zbliżył się, przynosząc krople.

— Najjaśniejszy panie — rzekł — stanowniczego na całą noc wysyłam do Lwowa, aby dla waszej królewskiej mości i dworu mieszkania przygotował. Część taboru też wyjdzie zaraz.

Nie sprzeciwiał się już Michał — leżał na pościeli w myślach pogrążony. Wracał mu coraz ten wielki żal, że na wojnę pójść nie mógł.

— I tej pociechy Bóg mi odmówił—wzdychał.

Kiełpsz go tem pocieszał, że Braun rychłe polepszenie obiecywał, a wyprawa się przeciągnąć mogła; lecz temu on nawet spragniony nie wierzył. Wieczorem, gdy wszystko ucichło, a z obozu tylko trąbki czasem dawały się słyszeć — poruszał się drżący, nasłuchiwał, potem głowa upadła na poduszki i modlił się.

Kiełpsz słyszał na przemiany:

— Kamieniec! i — bądź wola Twoja.

Gdy nazajutrz około dziesiątej wyszedł król, przez dwu paziów podtrzymywany, siadać do kolebki, nadjechał jeszcze Sobieski i zsiadł z konia, z czułością niemal witając razem i żegnając nieszczęśliwą ofiarę.

— Jedź wasza królewska mość — rzekł — z dobrą otuchą — czuję, że pobijemy tę hołotę i że Buczacki traktat na szablach rozniesiemy, a śladu po nim nie zostanie. Kamieniec odbierzemy!

Z tem szczęśliwem w uszach proroctwem usiadł Michał, albo raczej położył się w kolebce, która powoli, jak żałobny pochód, mijając obozowisko, gościńcem wązkim posunęła się do Lwowa.

Tam już zawiadomiona krajczyna, do której mąż wysłał umyślnego gościa,—płacząc oczekiwała i gotowała się na służbę swą siostry miłosierdzia, a serce jej mówiło, że ona była ostatnią dla biednego brata posługą.

Chciano dać znać królowej, lecz sam Michał wstrzymać się z tem rozkazał.

W drodze chory był ciągle na wpół śpiący, budząc się pił i jadł chciwie i znowu w sen głęboki wpadał.

VIII.

W drodze do Lwowa otrzymał król wiadomość, że Pac i Litwa połączyli się z Sobieskim i wojsko śpiesznie postępowało przeciw Turkom, którzy pod Chocimem leżeli obozem, w nieprzeliczonych, jak mówiono, tłumach, osłonięci rzeką, skałami, przekopami i twierdzą samą, panującą nad okolicą.

Było to pociechą dla Michała, iż ci, na których liczył, pomimo niechęci i sporów z Sobieskim, stawili się, gdzie ich powoływał obowiązek. Podróż do Lwowa powolna, niezbyt nużąca, nie pogorszyła już stanu zdrowia jego. Ks. Olszowski tylko i Kiełpsz, nieustannie odpowiadać musieli na pytania, któremi ich król zarzucał, dopraszając się coraz świeżych od wojska wiadomości.

Lwów nie poruszył się wcale na przyjęcie króla, Sobieski liczył tu więcej i goretszych przyjaciół; z obojętnością dowiedziano się o chorobie i powrocie Michała.

Jedna tylko krajczyna przyjęła go ze wzruszeniem, ręce jego całując.

— Widzisz — odezwał się do niej słabym głosem — nie przyjęto mnie — nawet mi poczciwie umrzeć nie wolno! Skazany jestem na łoże i bezczynność.

Dosyć było Heli spojrzeć na niego, aby sobie ten wyrok wytłómaczyć—tak zastała go, w krótkim tym przeciągu czasu znowu straszliwie zmienionym. Oblicze jego zdawało się już jakby napiętnowane tym znakiem śmierci, która cechuje ofiary swoje, nim je pochwyci.

Kiełpszyna, choć ją ten widok do łez pobudzał, starała się udawać wesołą, i niemal dziecinnemi nadziejami króla ożywiać.

— Najjaśniejszy panie—mówiła krzątając się około niego — tu wkrótce powrócicie do zdrowia. Poczciwy stary Braun jest doskonałym lekarzem, ale oczy jego nawykły patrzeć na was, nie dostrzegają wiele... bo się z tem oswoiły. Lwów ma kilku doktorów, przywołamy ich na radę. Nadewszystko spocznijcie nietylko ciałem, ale duchem, zaufajcie wojskom i wodzom — wszystko się pomyślnie ułoży — i Kamieniec odzyskany zostanie.

Wstrząsnął się cały, słysząc ten wyraz król— brzmiał on mu w ustach bez przestanku.

— Kamieniec!—powtórzył głucho—Kamieniec... a potem—gotów jestem umierać...

Któż potrafi wyliczyć następnych dni wrażenia. Niecierpliwość czyniła je niesłychanie długiemi—wiadomości przychodziły rzadko, nie wszystkie można było podawać królowi—osób około chorego mało się gromadziło... tylko garstka wiernych i trochę ciekawych.

Pomimo pogorszenia, jakiego doznał Michał w Glinianach, tu zdawał się stan zdrowia polepszać cokolwiek. Nie potrzebował leżeć po dniach całych, przechadzał się niekiedy o lasce, bez pomocy paziów, brał czasem książkę do ręki, a cierpienia zmniejszyły się przez regularne życie.

Sam on teraz wyznawał, że powrót do Lwowa był koniecznym.

Dano znać do Warszawy o zmienionem postanowieniu i stanie zdrowia, ale Michał wyraźnie wskazał, aby królowa nie ruszała się stamtąd i nie przybywała do niego.

Wiadomość o zasłabnięciu króla w Glinianach w istocie wielkie wrażenie uczyniła w Warszawie... szczególniej na królowej. Zdawała się ona przepowiednią zgonu, na który tu z niecierpliwością oczekiwano

Jednocześnie goniec pobiegł do Wiednia, a Toltini ofiarował się jechać sam do Lwowa, aby się naocznie o stanie zdrowia króla przekonać. Włoch, z tego co słyszał, spodziewał się króla Michała zastać może już nawet dogorywającego.

Tymczasem zawiodły go nadzieje, bo przybywszy, dowiedział się zaraz z ust samego Brauna, że król znacznie się miał lepiej. Włoch jednak nie dowierzając, postanowił sam dotrzeć do chorego i przekonać się o tem mniemanem polepszeniu.

Ponieważ miał listy i papiery od królowej, więc krajczy, natychmiast o nich oznajmiwszy, wpuścił go do sypialni.

Dnia tego król był ubrany, siedział w krześle, i po nocnym spoczynku twarz jego mniej może śladów cierpień przebytych okazywała.

Toltini też, choć wcale przeciwnego doznał wrażenia, usiłował okazać nadzwyczajną radość i pociechę z polepszenia stanu zdrowia.

Żywo począł mówić o tem, jak królowa jejmość gorąco sobie życzyła przybyć sama, dla czuwania nad zdrowiem męża.

Michał przyjął to oświadczenie dwuznacznym uśmiechem.

— Wcale nie życzę sobie tego, aby królowa jejmość, której zdrowie wymaga poszanowania, w tę brzydką porę jesienną narażała się po bezdrożach na trud i niewygody. Ja zaś, jak tylko cokolwiek sił odzyskam, spodziewam się także nie pozostać tu bezczynnym, ale połączyć się z hetmanami.

Dla lepszego zbadania stanu rzeczy, Włoch nie śpieszył z powrotem. Polepszenie, z którego się tak cieszył na pozór, w istocie mieszało szyki.

Nużby król Michał miał przyjść do sił i wyzdrowieć?? dla królowej byłoby to okrop-

nem, bo jej nadzieje przez to znowuby gdzieś w mroki przyszłości ustąpić musiały.

Włoch szczególniej dla zbadania położenia przysuwał się do doktorów, z których kilku razem ze starym Braunem, używanych było do rady.

Jeden z nich, Zboiński, uczeń bolońskiej akademii, który dobrze mówił po włosku, nie posądzając o złą wolę Toltiniego, służył mu chętnie. Był to człowiek młody jeszcze i bystrego umysłu, a szczęśliwego oka.

— Zdaniem mojem — rzekł Zboiński, naglony, aby bez ogródki prawdę wypowiedział — to polepszenie na zdrowiu króla jegomości, jest pozornem i przemijającem. Wewnątrz siedzi uparta choroba jakaś, na którąby może więcej noża, niż lekarstwa potrzeba, a tam kędy ona się mieści, żelazo nie sięga... Będą więc alternatywy polepszenia i upadku, aż póki gwałtowne jakie wzruszenie, które wstrząśnie całym organizmem, smutnego nie sprowadzi końca.

— Radzibyśmy — ciągnął dalej Zboiński — przedłużyć drogocenny żywot króla jegomości, ale pod te czasy czujności zaprawdę wielkiej potrzeba, aby mu wzruszeń oszczędzić. Szczęściem, nie wie dotąd o tem, o czem ks. Olszowski jest uwiadomiony, a coby go pewnie dobić mogło.

Toltiniemu oczy zaświeciły, pochylił się pożądliwie ku doktorowi, jakby wyssać z niego chciał tę wiadomość, która zabójczą być mogła.

— O czem? o czem? — pytał natarczywie.

Zboiński mało świadom dworskich stosunków, sądził, że sekretarz, a jak go grzeczniej zwano, kanclerz królowej, musiał być we wszystko wtajemniczony i dodał swobodnie:

— Toć wiecie pewnie, że sułtan wysłał do króla posła, który się ma zaległego z traktatu Buczackiego haraczu domagać, a wiezie razem sromotną ową suknię poddańczą, ów kaftan niewolników dla króla... którym odziewają hołdowników... Niema wątpliwości, iż gdyby król dowiedział się o tym pośle, o tym kaftanie, który mu wiozą, nie przeniósłby tej hańby i sromu... W stanie jego zdrowia i sił, byłoby to zabójczem. Wszystkie więc starania hetmana Sobieskiego skierowane po temu, aby posła pochwycić i nie dopuścić do Lwowa, a nasze na to, aby król nie dowiedział się o tem.

Toltini po raz pierwszy o tem słyszał, i ledwie mógł radość swą utaić z pochwycenia tak ważnej wieści... Szatańska myśl natychmiast powstała w głowie jego. Miał w ręku oręż, którym bez narażenia siebie ani królowej, mógł zadać cios śmiertelny...

Król był chciwy nowin, a Toltiniemu nikt nie nakazywał milczenia.

Szło więc tylko o to, aby dobrać chwilę i sam na sam z królem, pod pieczęcią tajemnicy podszepnąć mu o tym kaftanie i haraczu... Krok to był jednak, na który, aby się ważyć, Włoch potrzebował rozmyśleć się dobrze...

Nużby przepowiednia doktora Zboińskiego nie ziściła się, a Michał przetrwał mężnie ten cios i podstęp Włocha wyszedł na jaw?

Król nabrał cokolwiek sił... Toltini się wahał.

Tymczasem z pochodu przez Bukowinę co kilka dni dochodziły pocieszające do Lwowa wiadomości. Przyjaźni królowi, którzy wiedzieli, jak one skutkowały odżywiająco, nie wahali się je zmyślać, a drobne powiększać dla niego.

Król nie domyślał się wcale tego pobożnego oszukaństwa.

Głucho mówiono już o tem, co się w istocie sprawdzić miało wkrótce, a co było dziełem potajemnem Sobieskiego, że Mołdawianie na posiłek przez Seraskiera wezwani przeciwko Polsce, mieli zamiar zamiast na nich, z nią razem na Turków się obrócić. Posiłek ten znaczny, niespodziewany, nietylko zmniejszał potęgę Seraskiera, ale dawał Sobieskiemu nową siłę.

Radość z tego była wielka, choć jeszcze przedwczesna.

Toltini nie dawał temu wiary, a tymczasem wypatrywał chwili, w którejby mógł obmyślany plan swój szatański przyprowadzić do skutku.

Nikt nad niego teraz pilniej nie dosiadywał w antykamerze króla, na wszelkie gotów posługi, patrząc tylko jakby się wkraść do sypialni, a króla sobie zjednać.

Mówiono zarazem, że wchodząc na Bukowinę, hetman spotkał posła, wyprawionego do króla z kaftanem i bez względu na charakter jego poselski, ponieważ wojna była wypowiedzianą, kazał go ująć i pod strażą osadzić.

Toltini i temu wierzyć nie chciał, przecząc, aby Sobieski ważył się posła uwięzić...

Jednocześnie ks. Olszowski i troskliwy Kiełpsz, stali na straży, aby żadna wiadomość niepotrzebna nie dostała się do uszu chorego.

W istocie hetman spotkał Agę na Bukowinie i w pierwszej chwili myślał go wysłać na jakiś zamek aż do końca wojny, lecz ostrożność nakazywała nie budzić przedwcześnie Turków, i na tem się ograniczono, że pod pozorem straży dla bezpieczeństwa otoczono Agę, tak, aby mu nie dać żadnego uczynić kroku.

Jechał on do Lwowa... ale tu czuwał Olszowski...

Król miał się lepiej, cieszyło to wszystkich, on sam obiecywał sobie, że na koń wkrótce siąść będzie mógł.

Jednego wieczora Włoch dowiedział się nareszcie na pewno, iż Aga z dodaną mu eskortą, ze szkatułką, kaftan od sułtana przysłany zawierającą, z firmanem jego, przybył do Lwowa... ale go tak gęstemi otoczono czatami, iż ani się mógł ruszyć, ani do niego nikt dostąpić, oprócz przez ks. Olszowskiego wysłanych urzędników, którzy dla choroby króla, przyjęcie posła zwłóczyć mieli polecenie.

Toltini miał postanowienie niewzruszone, zamiar swój doprowadzić do skutku, co tem łatwiej mu przyjść mogło, że król przed nim utyskiwał ciągle na to, iż pod pozorem zdrowia, tajono przed nim wiele, nie mówiono mu prawdy.

Wejście na tę Bukowinę, tylekroć nieszczęśliwą i klęskami Polaków pamiętną, szczególniej go niepokoiło.

Toltini w rozmowach swych z królem, głośno potępiał to zachowywanie w sekrecie wiadomości, których brak go bezczynnym być zmuszał.

Na wieczerzę tego dnia dano ulubione Michałowi pieczone cyranki, których zjadł może za wiele z tą żarłocznością chorobliwą, której sam się wstydził.

Wkrótce potem położył się do łóżka, dosyć ożywiony i wesół. Włoch czatujący na to, aby go samego pochwycił, wcisnął się do sypialni, gdy w niej nikogo nie było, bo wszyscy aż do paziów u drzwi wieczerzali.

Zasiadł więc, korzystając z tego, u wezgłowia Toltini i zabawiać począł Michała różnemi powiastkami, z Warszawy przywiezionemi.

— Mało mnie te wasze plotki obchodzą — rzekł król dosyć wesoło — wolałbym nad nie

coś pewnego się dowiedzieć o Sobieskim i Pacu. Pisał do mnie ten ostatni skarżąc się, iż przodem ciągnący hetman koronny kraj mu ogładza, tak, że on idący za nim w ślad, nie ma czem wojska przekarmić. Od kilku dni brak mi świeżych wiadomości.

— Zbytnia to może troskliwość o zdrowie waszej królewskiej mości, — począł Włoch — ale naganiać jej trudno, gdy z dobrego serca pochodzi, chociaż, zdaniem mojem, zbyt słabym i wrażliwym sobie waszą królewską mość wystawiają ks. podkanclerzy i dwór cały. Mnie się zdaje, że otwarte zawsze donoszenie o wszystkiem, przygotowujące do wszelkiej ewentualności, byłoby daleko zbawienniejsze.

— Tak jest, — odparł żywo Michał — bo ja wiedząc o tych zachowywanych ostrożnościach, o tem oszczędzaniu mnie zbytecznem, niepokoję się więcej, domyślając gorszych może, niż spotkać mnie mogą ewentualności.

Toltini się uśmiechał, znacząco oglądając do koła, jak gdyby się obawiał być podsłuchanym.

Król natychmiast powziął myśl, że Włoch coś wiedzieć musi, i że od niego mógłby się czegoś więcej dowiedzieć.

— Bądź-że ty otwartym, jeśli co wiesz — rzekł, zwracając się do niego...

— Gdybym nawet wiedział — odparł Toltini — nie ważyłbym się, tak surowo zakazano waszej królewskiej mości cokolwiek bądź, bez kontroli ks. biskupa donieść; niech mnie Bóg broni, byłbym zgubiony.

Król poruszył się mocno.

— Na Boga! — zawołał — anim tak chory, ani tak zdziecinniałem, abym miał kontroli podobnej podlegać, mnie to gniewa!

Włoch ramionami poruszył i milczał.

— Ale, mówże, jeśli masz co do powiedzenia nowego — począł król — mam dosyć siły, aby posłyszeć prawdę i nie obawiam się jej.

— Nie mogę — rzekł cichuteńko, schyliwszy się do uszu prawie Toltini. — Wasza królewska mość mimowoli moglibyście się zdradzić, a że nikt tu nie był, oprócz mnie, padłoby to na mnie i nigdyby mi tego nie przebaczono.

— Alem ja nikogo nie zdradził w życiu — odezwał się Michał tonem błagającym — proszę cię, masz-li co powiedzieć takiego tajonego przedemną, mów, mów, prawdziwie wdzięczen ci będę.

To kończąc król, który znał wielką chciwość Włocha, pomyślawszy nieco, z wysiłkiem ściągnął z wychudzonego palca lewej ręki piękny pierścień ze szmaragdem i podał go Toltiniemu, który dla ceremonii nieco się wzdragał, lecz przyjął go z wielkim pokłonem, całując rękę Michała.

Oczy króla gorzały podbudzoną ciekawością i niepokojem; naturalnie to, co przed nim ukrywano, pomyślnem być nie mogło... Drżał cały...

— To, z czego oni czynią tajemnicę — począł cicho bardzo Włoch — wcale nie zasługuje na taką baczność, ani ma tak wielką wagę, jaką przypisują...

— A! — przerwał król — ten poczciwy mój Kiełpsz i kuzynka moja, pani krajczyna, w istocie obchodzą się ze mną, jak z dziecięciem. Więcej mam męstwa i wytrwałości nad nich, całe moje życie tego dowodem.

Zwrócił się do Toltiniego:

— Mów! — cóż tam takiego?

Włoch począł się uśmiechać.

— Mojem zdaniem, rzecz ta niema żadnego znaczenia. Sułtan wysłał pono do waszej

królewskiej mości posła z podarkiem, a że on ma się ograniczać do kosztownego kaftana, który hołdowników jest cechą i że razem dopominają się haraczu...

Mówiąc to Toltini, patrzył na króla. Uląkł się sam, widząc wrażenie, jakie uczynił na słuchającym chciwie. Lice króla zbladło, jak chusta, drżeć począł cały, pot kroplisty wystąpił na czoło, osłabł i rękami wesprzeć się musiał... Milczał... słychać było oddech przyśpieszony i trudny, w piersiach mu chrzęszczało...

— Ale to niema żadnego znaczenia — dodał Toltini.

— Przybył, przybył ten poseł?—podchwycił król gorączkowo.

Włoch się zawahał i uląkł.

— Nie wiem z pewnością, prawdziwie nie wiem;—dodał—mówią jedni, że jest tu, ale go zamkniętym trzymają w gospodzie, drudzy, że ma być w drodze, inni, że go hetman ująć kazał...

— Mówią o tem, że się upomina o haracz, że mnie, jak hołdownikowi, posyła kaftan! — załamał król ręce.—Mówią już o tem!! Gdyby to nawet fałszem było, co za srom, iż na mnie to rzucić można; a znajdą się ludzie, którzy uwierzą!

Blademi rękami zakrył sobie twarz, pochylił ku ścianie makatą okrytej i pozostał tak pogrążony w sobie.

W antykamerze słyszeć się dawały kroki, Włoch przestraszył się, aby go na gorącym nie pochwycono uczynku i począł, błagając:

— Najjaśniejszy panie — zaklinam waszą królewską mość, abyście mnie nie gubili, dając poznać, iż zdradziłem tajemnicę.

Ale król zdawał się nie słyszeć.

Toltini wstał i pochylił się nad nim, pochwyciwszy szklankę z napojem, który mu

zwykle dawano; król nie patrzył i nie widział tego, aż zimny kubek ręki jego dotknął. Porwał go i wychylił. Oczy miał jakby zapłakane.

— Bądź spokojny, — rzekł — nie obawiaj się, w potrzebie obronię cię, twierdząc, iż cię zmusiłem.

— Ja się w żadnym razie nie przyznam — wtrącił Włoch.

Domawiał tych słów, gdy Kiełpsz się pokazał w progu i jednym oka rzutem rozpoznawszy stan króla, podbiegł do łóżka.

— Co to jest?—zapytał groźno Włocha...

— Nie wiem, nic nie wiem — począł Toltini — przed chwilą najjaśniejszy pan rozmawiał swobodnie, bardzo był rzeźwy, chwilowa jakaś niedyspozycya.

— O czemże mówiliście? — badał krajczy.

— O Warszawie, o rzeczach starych i obojętnych—dodał Włoch.

Włoch nie chciał odejść bez pożegnania. Siłą prawie pozbyć się go musiał krajczy, gdyż wiedział, że przy nim Michał był zwykle ostrożnym i zamkniętym.

Opierając się, strwożony, Toltini głośno pożegnawszy Michała, który nic nie odpowiedział, z sypialni się wysunął.

Kiełpsz pochylony, wylękły, cichemi, łagodnemi słowy usiłował wyprowadzić króla z tego stanu prostracyi.

Wiedział on bardzo dobrze, iż ilekroć ona postępowała tak nagle, zawsze przyczyną jej było jakieś wrażenie na duchu odniesione.

Nie wątpił, że i teraz niezręczność Włocha, jakieś przypomnienie przeszłości, musiało podziałać na chorego...

— Najjaśniejszy panie — odezwał się — jesteśmy sami. Mam-li kazać Brauna przywo-

łać? Cóż się stało! Toltini musiał was zmęczyć...

Zwolna zwrócił król wybladłą twarz ku niemu, ujął go za rękę i rzekł cichym głosem:

— Nie obwiniaj Włocha, dajcie mu pokój, słabo mi się zrobiło, nic więcej, to przejdzie.

I zaledwie to wymówiwszy, wlepił oczy zaognione w krajczego.

— Macie jakie wiadomości?

Nim Kiełpsz zdołał odpowiedzieć, weszła ostrożnie, drzwi uchylając, żona jego. Wiodło ją jakieś przeczucie; zbliżyła się do łóżka śpiesznie i nie potrzebując, aby jej mąż oznajmił, iż coś króla dotknęło, zawołała pocichu:

— Włoch stąd wyszedł. To jego sprawa!

Kiełpsz palec położył na ustach...

— Musicie mieć jakieś wiadomości od wojska, od hetmanów, może od Turków... wszystko taicie przedemną, ta myśl mnie zabija... dorozumiewam się, zgaduję srogie rzeczy. Mówcie mi, jeśli co jest!

— Nowego niema nic — odparł Kiełpsz. — Jak skoro od hetmana przyjdzie cokolwiek, natychmiast przyniesiemy...

Michał niespokojnie na łóżku się obracał. Nadszedł Braun... przystąpił do łóżka, ujął za rękę... i żachnął się...

— Skąd to wzruszenie?—zapytał...

Nie umiano mu odpowiedzieć, Michał spojrzał na niego...

— Daj mi co uspakajającego — rzekł — w istocie niepojęty jakiś niepokój mnie opanował. Lękam się, sam nie wiem, czego...

Stan króla, który z rana jeszcze się polepszał, tak nagle znowu zdawał się zmieniony na gorsze, iż Braun natychmiast posłał po Zboińskiego i trzeciego lekarza, którego przybierał do rady. Tymczasem napojono króla

kroplami, zmuszono położyć się; wszyscy w milczeniu czuwali nad nim...

Gorączka się wzmagała... Braun coraz to badający puls, postęp jej upatrywał z trwogą. Nadeszli dwaj towarzysze jego nie byli też z tego stanu kontenci. Szukano przyczyny, nie mogąc jej odgadnąć.

— Ktoś królowi ze służby może nieostrożnie napomknął o przybyłym adze...

Kiełpsz wybiegł do sieni brać na spytki dworzan, komorników i służbę. Nikt z nich nie przyznał się do tego, aby coś doniósł królowi. Szemrano tylko, że Toltini bawił długo, szeptano też pocichu, że ciekawy paź Maszkowski widział przez otwór od klucza, jak pochylony nad łóżkiem królowi coś opowiadał zniżonym głosem w sposób tajemniczy.

— A! — zawołała Kiełpszyna — ten niegodziwy Włoch, on jest wszystkiego przyczyną! posądzam go tak samo o złe słowo, jakbym posądziła o truciznę. Do wszystkiego jest zdolnym, a co czyni, to zawsze z obrachowaniem i przewidywaniem skutku...

Napróżno domagał się król osłabłym głosem, aby się wszyscy rozeszli i samego zostawili ze zwykłą strażą nocną, nikt odchodzić nie chciał, krajczynę tylko zmusił, aby się oddaliła.

Po północy dopiero nastąpiła niespokojna drzemka, przerywana wykrzyknikami i zrywaniem się, jakby ze strachu.

Kiełpsz z podziwieniem usłyszał — haracz... aga... sułtan...

Nie było już dla niego wątpliwem, iż ktoś musiał zdradzić tajemnicę, a nie mógł to być nikt inny, tylko Toltini. Nad rankiem zawiadomiony o tem ks. Olszowski, postanowił go bez pożegnania z królem do Warszawy odprawić...

Gdy król po bardzo złej nocy przebudził się, dopominając się rannej polewki, był tak osłabionym, te kilkanaście godzin tak okrutnie znowu go wycieńczyły, iż Braun głowę stracił.

Ksiądz biskup tymczasem, w kilku słowach porozumiawszy się z królem, przywołać kazał Włocha do siebie.

— Wolą jest najjaśniejszego pana—rzekł— abyście dziś jeszcze powracali do Warszawy. Listy nadejdą później zwykłemi kresami. Macie królowę pozdrowić, i oznajmić jej, że król ma się lepiej, choć chwilowo na siłach opadł. Nie powinna się niepokoić, my tu czuwać nie przestaniemy.

Toltini musiał być posłusznym, ale czuł się wyśledzonym i odkrytym, o co mu zresztą niewiele chodziło, byle dopiął tego, czego sobie życzył...

W ciągu dnia nietylko że nie było polepszenia, ale gorączka ciągle się wzmagała i rosła... Razem z tem i trwoga wszystkich otaczających.

Michał nie tracił przytomności, lecz zaledwie mu się do snu przymykały powieki, natychmiast wykrzykiwał i nie pamiętał już, co mówił. Jeść nic nie chciał, pragnienie paliło go tylko.

Na chwilę około południa sam na sam pozostawszy z krajczyną, król się obejrzał i szepnął...

— Aga przybył od sułtana!

— Jaki aga?—zapytała...

— Z kaftanem, z pętami, z kajdanami, które chce włożyć na mnie!

Krajczyna podniosła ręce.

— Królu mój — zawołała — co za myśli? jakie przywidzenia... ktoś chyba fałszywą was i głupią gadką zaniepokoił. Aga — przybył w istocie turecki posłaniec, ale ani kaftana, ani

żadnych nie przyniósł wymagań. Wprost tylko dowiadywać się mu polecono, co znaczy zbieranie się wojsk na granicy. To są niepoczciwe plotki.

Uwierzywszy temu zapewnieniu, czy nie, Michał zamilkł, zatopiony w myślach, które gorączka dziwacznie targała i czyniła z nich mieszaninę bezładną. Choremu wszystko się na myśl cisnęło razem, wspomnienia młodości, męczarnie panowania, walki, w których wszystkich miał przeciwko sobie, prześladowanie żony, nadzieje ostatniego z orężem w dłoni obmycia się w oczach ludzi... niemoc, która go do łoża przykuła... Nie miał ani przywiązania, ani ochoty do życia, ale umrzeć w tej godzinie stanowczej, gdy ohydny traktat buczacki Polska szablą rozciąć miała, zamknąć oczy, gdy światło nareszcie przyjść miało, było ciosem straszliwym.

Naprożno Hela starała się go pocieszyć.

— Przeznaczenie jest nieubłagane—mówił oprzytomniawszy— ani łzy, ani modlitwy, ani pokora, nic nie zmoże wyroku żelaznego. Umrę właśnie wtenczas, gdy życie by mi mogło się uśmiechnąć jeszcze...

Szczęściem wśród tych boleści nadeszła znowu wiadomość od hetmana.

Wielkie, szlachetne serce jego, które litość uczuło dla tej ofiary, skłaniało Sobieskiego do oznajmywania choć z wielkim trudem królowi, o każdym niemal kroku, wlewając w niego nadzieję bliskiego zwycięstwa. I tego dnia nadbiegł także kursor z listem do ks. Olszowskiego, a chociaż Michał marzył chwilami nieprzytomnie, biskup przyszedł, niosąc mu wieść pocieszającą.

— Najjaśniejszy panie — rzekł — hetman oznajmuje, iż lada chwilę wraz z Pacem uderzy na Seraskiera Hussejna-Paszę... Turcy w znacznej liczbie leżeć mają pod samą twier-

dzą Chocimem, na tem samem obozowisku skałami i wałem osypanym, na którem ojciec Sobieskiego odniósł pamiętne nad niemi zwycięstwo. Most, rzucony przez rzekę, łączy ich z drugim jej brzegiem, ale ten zburzonym będzie, lub opanowanym, a hetman pewien jest, iż nieprzyjaciela pokona. Mołdawianie, na których Seraskier rachuje, z pewnością przyrzekli przejść na naszą stronę. Hetman potajemnie widział się z ich wodzem i umówił... Tem odstępstwem ustraszy się nieprzyjaciel, bo się go nie spodziewa.

Michał słuchał gorączkowo, dysząc.

— O Boże! — zawołał — a mnie, mnie tam niema — ja tu konam zwyciężony i sromotą okryty... kaftanem, kajdanami.

Biskup począł zbijać ową powieść o pośle i kaftanie, lecz król zadumany go nie słuchał.

— Potrzeba dziękować Bogu — dodał biskup... cieszyć się i radować. Hetman jutro obiecuje drugiego posła, który przyniesie potwierdzenie pierwszych wiadomości.

Nie mogąc niczem wpłynąć na ukołysanie tego niepokoju, Olszowski, jako kapłan wreszcie, radził i zalecał modlitwę.

Michał posłuszny złożył ręce, usta jego coś szeptać poczęły, lecz niedługo trwała modlitwa, myśli ją smutne przerwały i zatopiony w nich, król wpadł w stan gorączkowy.

Tymczasem odprawiony z rozkazem wyjazdu pilnego Włoch zatrzymał się potajemnie we Lwowie. Z tego, co mu przekupiona czeladź przynosiła, wnosił, że król długo pożyć nie może — chciał być pierwszym, który szczęśliwą ową nowinę żałoby przyniesie Eleonorze.

Ukryty na przedmieściu... czekał.

W mieście już wieść się rozchodziła, że król dogorywa. Kupki ciekawych, chłodne —

stały w ulicy i pod oknami, szepcząc, dowiadując się, ale nikt nie okazywał najmniejszej oznaki współczucia. Umysły wszystkich i serca były z Sobieskim na kresach.

Król ten, który nigdy miłości nie miał, bólem swym nawet litości nie mógł obudzić.

Druga taka próżniaków gromada otaczała gospodę turecką, w której pilno strzeżony aga siedział, dumnie się dopominając, aby go do króla prowadzono.

Napróżno składano się tem, iż leżał chory, obezwładniony. — Aga słuchać nie chciał. Nim go uwięzić było można, co bez rozkazu króla, lub hetmana stać się nie mogło — trzeba było zabawiać i wypraszać się u niego.

Tymczasem dwór posła, jak zwykle, rozkładał przyniesione bez cła towary, i niemi frymarczył.

Tłómacz trzymał agę na pół prośbami, w pół nadziejami obfitszych podarków, jeżeli choremu da czas przyjść do siebie.

Nie domyślał się wcale ten dawny posłaniec sułtański, że liczne wojsko w tej samej chwili zabierało się Seraskiera otoczyć i złamać.

Noc upływała na czuwaniu- -wszyscy znużeni rozeszli się wreszcie; jedna tylko krajczyna z mężem pozostała, modląc się i płacząc.

Żywiła ona jeszcze jakąś nadzieją, że Michał po tem przesileniu, wywołanem niepoczciwą zdradą- powróci do siebie, odzyska siły— żyć będzie. Z myślą tą osierocenia zupełnego oswoić się nie mogła. Dla niej biedny towarzysz młodości, którego ona jedna znała tylko— był całym światem. Dla niego ona poświęciła wszystko, i aby mu nieść pomoc, a nie oddalić się od niego, oddała rękę obojętnemu człowiekowi.

Po północy wszedł Braun rozespany, chcąc się przekonać o stanie króla.

Na palcach podszedł do łoża, przyłożył głowę do piersi, aby się oddechowi przysłuchać, wziął leżącą na kołdrze rękę... i odstąpił po chwili.

Hela poszła za nim.

— Panie mój—pociesz mnie!—szepnęła.— Stan króla się polepszył? Uratujemy go?

Lekarz milczący patrzał na nią.

— Bóg czyni czasem cuda — odezwał się głosem słabym—ale tu jużby cudu potrzeba— na przywrócenie mu życia wyczerpanego. Chcecież, aby dłużej się męczył?

Gwałtownie zachodzić się cichym płaczem zaczęła kobieta. Braun z tą zimną krwią nawykłego do patrzenia na śmierć człowieka, spoglądał na nią.

— Ja nie wyrokuję nic, — rzekł — ale i obiecywać nic nie mogę... Niestety! dobito go jakąś wiadomością, przyniesioną niewcześnie, jakąś zatrutą strzałą... od której myśmy go zasłonić nie zdołali!

Wśród tego milczenia i płaczu, Michał się przebudził, wołając:

— Na mury! do szturmu!! tędy! za mną! Jeremi idzie przed nami... Turcy uchodzą... Kamieniec otwiera bramy...

Syknął boleśnie.

— Ojcze mój—rozpoczął zmienionym głosem — jam niewinny! jam życie dać był i jestem gotów... wyrwano mi oręż z ręki — zamknięto... żona stanęła w progu... Prymas mi nałożył kajdany... ale wszystko to minęło — jestem wolny... Sobieski ze mną... Pacowie przy mnie— na Turka... Zdeptałem ten kaftan... poszarpany ten traktat... wszystko minęło — nad Wiśniowcem znowu słońce wschodzi, Ojcze!—ojcze!...

Głos się zniżył, Hela słuchając, płakała: Szmer już tylko wychodził z ust jego i jakby łkanie... modlił się urywkami psalmów pokutnych.

IX.

Z dnia dziewiątego na dziesiąty listopada, noc jesienna śnieżysta, mokrą zapowiadała się szarugą, deszcz ze śniegiem naprzemiany przynosił wicher i ziemię już rozmiękłą w błotniste zmieniał kałuże. Na niebie szarem niekiedy przedarte obłoki jaśniejszemi świeciły plamami, lecz wkrótce nadciągające szybko chmury je zakrywały. Żadne żywe stworzenie nie wychylało się z jamy, barłogu, ani gniazda, żaden głos oprócz gniewnego szumu wichru nie dawał się słyszeć.

W tym szumie, który naprzemiany zmieniał się w wycie, ryk, świsty i jakby głuche gromów głosy—zdawała się brzmieć jakaś tajemnicza rozmowa... żywiołów, na ziemię gniewnych i grożących jej zagładą.

Po nad brzegiem Dniestru, gdy nieco światła padło na skały, parowy i zamknięte niemi pochyłości, oko dostrzedz mogło—jakby kretowiskami zaległe przestrzenie, pomiędzy któremi gdzieniegdzie przysłonięte, czerwonawe migotało ognisko.

Były to dwa nieprzyjacielskie, rozłożone naprzeciw siebie w pewnej odległości obozowiska. Po nad niemi, na niebie ciemnem, czarno jak katafalk podniesione w górę mury zamczyska o czterech basztach na węgłach stać się zdawały na straży.

Do jednego boku tej twierdzy przyległ okolony skałami, z jednej strony opasany wałem obóz Seraskiera Hussejn-Paszy — z graniczącem z nim i wałem tylko oddzielonem obozowiskiem Mołdawianów.

Kiedy niekiedy na wyżynach wałów i skał mignął czarny cień straży, która, ukazawszy się zaledwie, znikała poza usypami. Osiemdziesiąt kilka tysięcy głów, wedle powieści szpiegów, leżało tu, czekając na hasło do boju, siedemdziesiąt dział stało z paszczami otwartemi, skierowanemi ku obozowi polskiemu.

Hussejn-Pasza ogłodził okolicę na kilkadziesiąt mil w około, żywność dla ludzi i koni gromadząc obfitą.

O połowę mniejsze siły, które tu przyprowadzili z sobą Sobieski i Pac w ciaśniejszym zamknięte obrębie — zdawały się przeznaczone poganom na pożarcie. Dowodzący Turkami Hussejn słynął jako wojownik i zwycięzca — jego żołnierz był już w mnogich bitwach zahartowany—zielona chorągiew proroka powiewała nad niezliczonemi namioty i szałasami. Głuche milczenie zalegało obóz, na pozór uśpiony.

Naprzeciw — na wyniosłem wzgórzu wybrzeża, rozbite namioty hetmanów dozwalały we dnie widzieć znaczną część tureckiego obozu i sterczące na wałach działa.

Godzina już była spóźniona, w namiocie Sobieskiego świeciło jeszcze życie, a ruch nie ustawał. Hetman z inżynierem Francuzem, ze starszymi rotmistrzami, z Jabłonowskim i podskarbim Modrzewskim, zajęci byli żywą rozmową.

Na twarzy Sobieskiego, zawsze życiem płonącej, dwakroć teraz więcej, niż zwykle widać było blasku i zapału. Poruszał się niecierpliwy, podnosił głos—a energia, z jaką wystę-

pował, wszystkich otaczających go — powoli zdawała się rozbudzać i przejmować.

Kiedy niekiedy niespokojny wzrok hetmana zwracał się ku wnijściu do namiotu, gdy silny wiatr poruszył zamykające je osłonki, jakby się przyjęcia czyjego spodziewał. Oznaki niecierpliwości objawiły się na pięknem obliczu hetmana. Wszyscy towarzyszący mu, wyrazem twarzy, równie jak słowy, zdawali się z nim w zupełnej zgodzie i jedności! Raźno i dziarsko poruszał się Jabłonowski, Modrzewski mówił głośno i uśmiech wywoływał na usta Sobieskiego. Francuz inżynier z głową spuszczoną przypatrywał się planowi, na stole leżącemu, hetman spoglądał coraz na duży zegar gdański, leżący obok, który już dziewiątą wskazywał; klasnął w dłonie, nadbiegł młody Korycki.

— Cóż mówił hetman litewski?—zapytał.

— Że natychmiast przybywa—odparł dworzanin.

Korycki zniknął, Sobieski kubki stojące na stole ponalewał.

— Chocim — rzekł, jakby sam do siebie, ale głośno — zawsze nam bywał szczęśliwy.

Na te słowa, którym nikt nie myślał zaprzeczać — uchyliła się zasłona we drzwiach i ukazała się szeroka z czarnym wązkim sznurkiem wąsa, marsowa, posępna, dumna twarz hetmana Paca, który długie, na ramiona spadające włosy z mokrego śniegu otrząsał.

Sobieski pośpieszał na powitanie. Przed chwilą ożywiona gromadka towarzyszów Sobieskiego — zamilkła i spoważniała. Chmurne oblicze Paca wniosło tu z sobą jakiś chłód i zadumę.

Hetman wskazywał siedzenie — ale Pac potrząsnął głową.

— Stawiam się—rzekł zimno—na rozkazy wasze.

— Prosiłem was na ostatnią—na stanowczą radę wojenną—odezwał się Sobieski. Stojemy twarz w twarz, naprzeciw nieprzyjaciela— wszystko tak się składa, jak przewidywałem, lub nawet lepiej, niż mogłem się spodziewać; nie pozostaje nam nic nad uderzenie — w imię Boże, na najeźdźców... nim oni stosunkową naszą słabość obliczą. Mniej nas jest, to prawda, aleśmy nawykli siłę naszą nie liczbą mierzyć — jest nas dość, aby ich zwyciężyć.

Mówił z wielkim zapałem, a twarz Paca, który słuchał w ponurem milczeniu, przewlekła się, jakby chmurą czarną.

— Postanowiłem, wypatrzywszy godzinę, gdy modlitwą będą zajęci — mówił Sobieski, uderzyć na ich obóz od strony wału nowousypanego, bo ta jedna przystępna.

Pac słuchał, czekając końca, a gdy hetman zwrócił się do niego, wzywając, aby objawił swe zdanie, począł zwolna i zimno.

— Nie miejcie mi za złe, — mówił — iż ja wszystko dobrze rozważywszy, ważyć się na wyzwanie do boju nie mogę. Idąc tu, nie rachowaliśmy na taką nieprzyjaciela siłę, ani na takiego wodza, jakim jest Hussejn, ani na pozycyę tak obronną, pod skrzydłami zamku. Ważyć na niepewne losy spotkania z przeważną liczbą nieprzyjaciela, który tu przyprowadził walecznego i w Kandyi zaprawionego żołnierza, my z naszemi pościąganemi na prędce, młodymi i niedoświadczonymi ludźmi—nie możemy. Ustąpić stąd potrzeba i czekać pomyślniejszych dla nas warunków.

Sobieski wstrząsnął się cały.

— Nie doczekamy się nigdzie i nigdy pomyślniejszych; — zawołał — mogę to już głośno

w tej chwili zapowiedzieć, czego pewien jestem, że Mołdawianie przejdą na stronę naszą.

Pac rzucił ramionami.

— Zdrajcy! — zawołał... — ileśmy to razy za zaufanie im przypłacili. Podejście jest — którego się obawiać potrzeba. Przejdą na naszą stronę, aby nas wziąć we dwa ognie!

— I jabym nie dowierzał im—odparł Sobieski, lecz mam pewne rękojmie, a ten krok, jaki uczynili do mnie, jest dowodem, iż przewidują nasze zwycięstwo. Turcy są znużeni, zbyt ufają swej liczbie, na ściśniętych w obozie i jakby uwięzionych, dosyć wpaść, aby rzeź sprawić, rozwinąć się nawet nie będą mogli i albo ich w Dniestrze potopiemy, lub wyrzeżem.

Wszystkim towarzyszom Sobieskiego lica się zaśmiały potakująco. Pac tylko pozostał zimnym i chmurnym.

— Na tak zuchwałą rachubę losu ojczyzny ważyć—ja nie mogę—rzekł zimno.

— Jam postanowił i spełnię, com zamierzył — odparł Sobieski. — Dosyćby było na piędź jedną się zacząć cofać, aby Turkom dać zuchwalstwo — którego nie mają. W cofaniu się — zgniotą nas na miazgę, popłoch ogarnie naszych ludzi. Wtedy napewno zgubieni jesteśmy—naprzód iść potrzeba!

— I nadaremnie ginąć? — wtrącił hetman litewski. — Nie, ja mojego żołnierza szczędzę i ochraniam, dać go na pastwę nie mogę. Bądźcie pewni, panie hetmanie, że bez dojrzałej rozwagi zdania tego nie rzuciłbym płocho. Znam jak wy, położenie, siły — zasoby, widzę więcej, niż niebezpieczeństwo — przewiduję pogrom niechybny. Wpadliśmy w matnię, myśleć trzeba, jak się z niej wydobyć.

Jasne oblicze Sobieskiego nieco się chmurzyć zaczynało, a raczej niecierpliwością za-

drgało. Oglądał się na swoich, jakby na pomoc ich przyzywał. Jabłonowski wystąpił.

— Turek i Tatar—rzekł—tylko naówczas straszni, gdy się mają miejsce rozsypać, rozpędzić i uderzyć kupą; w ciasnych wałach zamknięci, ani serca, ani wprawy do walki nie mają. Choćby ich więcej jeszcze było w tej gęstwinie, połowa bezczynną zostanie—w tem pewność wygranej.

Hetman litewski słuchał.

— Z tą ufnością w siebie i ślepotą—odezwał się—sami chodzim na zgubę własną! Na Boga, zaklinam was, chłodniejszą krwią zmierzcie. Mówicie nie jak wodzowie, ale jak rycerze. Gdyby tylko o to szło, jak ze sławą ginąć, głosowałbym z wami, ale losu ojczyzny ważyć—nie mogę.

— Losy ojczyzny, przerwał w uniesieniu Sobieski, już są rozstrzygnięte, jeżeli my w tej chwili, jutro ich nie dźwigniemy zwycięstwem. Musim pomścić srom tego ohydnego Buczackiego traktatu, oswobodzić się z pod haraczu i poddaństwa — odzyskać postradaną sławę i cześć. Zginiemy! no—to padniemy po rycersku, i krwią zmażemy plamę, lepiej ginąć, niż niewolę znosić... lepiej ginąć.

Jabłonowski, Modrzewski i cała gromadka starych rotmistrzów za Sobieskim wykrzyknęła:

— Lepiej ginąć!

Pac słuchał zimno i pobladł nieco.

— Co do mnie, — odezwał się — ja ginąć gotów jestem, ale powierzonego mi wojska gubić nie mam prawa. Możemy się obronną wycofać ręką, czas jeszcze... wyczekać sposobniejszej chwili.

Sobieski, któremu oczy czarne świeciły ogniem okrutnego zapału i gniewu—mówić mu nie dał.

Panie hetmanie — zawołał — nie będę was zmuszał, choć główne dowództwo jest przy mnie. Pozostaniecie więc bezczynnym widzem naszej walki, zgoda i na to, ale ja — uderzył się w piersi, ja — jutro idę na obóz, szturmuję i staczam walkę. Będzie, co da Bóg! Ja ufam wszechmocnemu Panu zastępów, że chrześcijańskiemu wojsku swojemu da zwycięstwo... czuję to, wierzę najmocniej.

Hetman litewski milczał, zwolna rękę spuszczoną za pas założył.

Boli mnie to, że was przekonać nie mogę — rzekł — ani się dać przekonać. Stoję przy swojem, czterdzieści na osiemdziesiąt — stawać nie możemy. Mój żołnierz z pod strzechy, pierwsze pole, nie dostoi... pierzchnie jeden pułk, popłoch pójdzie zginiemy wszyscy. Na Boga... ojczyznę zgubimy!

Ocalim ją, uratujemy! -zawołał Sobieski z wielkim ogniem. Posłuchajcie żołnierzy pod namiotami, wrą wszyscy niecierpliwością i żądzą pomszczenia się. Nigdy Polska niczyją hołdowniczą nie była, nigy pęt nie nosiła na sobie — rozkazywała i siała trwogę — myśmy dopiero padli tak nizko, że Turek nam haracz narzucił, że śmio kaftan słać królowi i wymagać poddaństwa. A my w takiej chwili wahać się mamy? Iść życie dać -ginąć, aby upodlonemi nie żyć!

— Życie dać — zamruczał Pac, to najłatwiej lecz niem okupić wyzwolenie. Rozpatrzcie się baczniej, panie hetmanie — nie spożyjemy ich... zgniotą nas liczbą swoją.

— Właśnie położenie obecne — przerwał Jabłonowski — ten akt nam czyni mniej groźnym; ściśnięci rozwinąć się nie mogą.

— Tak —rzekł Pac zimno —ale za to coraz świeże pułki przeciwko naszym stawić będą i w końcu muszą nas złamać.

— Nie znacie Turków,—oparł się Sobieski, tej rachuby, tej krwi zimnej u nich niema. Gdy nie pokonają nieprzyjaciela pierwszym rzutem — uchodzą — żadna siła ich nie wstrzyma. Wojsko ich w ucieczce nie broni się nawet, daje się wyniszczać i ginie. Wszystko to, cośmy tu zastali, dodał, było przewidziane i spodziewane... szedłem z zamiarem stoczenia walki i od niej nie odstąpię. Polska albo się jutro wyswobodzi, lub nigdy już nie będzie wolną. Wszyscy, ilu nas jest, pragniemy, wołamy, domagamy się boju i wierzym w zwycięstwo. Wam, panie hetmanie—nie daję rozkazów, nie narzucam woli mojej, czyńcie, jak wasze przekonanie wam dyktuje, będziecie świadkami, żeśmy ojczyźnie dług spłacając, legli jej wierni...—jeżeli Bóg nas na to skazał.

Odstąpił krok i otarł czoło. Wszyscy milczeli, a wśród ciszy tej wicher zawył zdaleka. Pac stał dumny, nie przekonany, uparty—milczący.

Stali tak dwaj starzy zapaśnicy naprzeciw siebie, jeden z twarzą wypogodzoną, pełną wyrazu rycerskiego męstwa—drżącą wzruszeniem,—drugi chłodny, upokorzony nieco, ale pan siebie i niedający się pokonać.

Sobieski, jakby na tem miała się skończyć rada wojenna i spór cały, który za rozstrzygnięty uważał, uprzejmie się zbliżył do Paca i zmienionym głosem, ale spokojnym zapraszał go na przygotowany kubek wina.

— Różnica zdań — odezwał się — nie powinna wpływać na osobiste stosunki, panie hetmanie... ani wy mnie zuchwalstwa mego za złe nie bierzecie, spodziewam się. Szedłem tu, życząc tylko, aby los mi pozwolił walczyć pod murami Chocima. To dla mnie *omen* i otucha.

Hetman litewski napróżno twarz zazwyczaj chmurną, starał się trochę rozjaśnić.

— Szczęśliwego tego przeczucia — ja niestety—podzielać z wami nie mogę—odezwał się powoli, kubek biorąc do ręki. Życzę wam, aby się ono sprawdziło—a da-li Bóg, cała zasługa i sława wam należeć będzie. W moich oczach wszystko się składa najniefortunniej, a Mołdawianom nie wierzę; — jak niewolnik chytry jest i przewrotny. Znana to sztuka jego wszystkim obiecywać, a nie dotrzymać nikomu.

— Postawię go tak—abym się go w żadnym razie nie mógł obawiać — rzekł Sobieski, a na jego posiłek wcale nie rachuję—tylko na ten popłoch, jaki zdrada rzucić musi. Pora w istocie gorszą już być nie może ale na pogodę czekać nie mamy o czem, bo nam paszy i chleba zbraknie. Żołnierz, dzięki Bogu—rwie się jeszcze, później znużony ostygnie i ducha straci. Jutro więc lub nigdy. Stójcie, a patrzcie, panie hetmanie—dodał z uśmiechem—jam jednego pewien, że nie dotrzymacie bezczynnie, serce wam w piersi uderzy i trąby do boju zagrają.

To mówiąc Sobieski, ręce zatarł i rozśmiał się wesoło.

Narada była skończona. Pac nie mówił nic, przybity tem, że sam jeden z ostrożnem swem zdaniem pozostał. Chwilę jeszcze zabawiwszy pod namiotem Sobieskiego, pożegnał go—siadł na koń i odjechał.

Rotmistrze też odebrawszy rozkazy, radzi z nich, gotowi wszyscy porozjeżdżali się do pułków swoich. Ostatni Jabłonowski w chwili pożegnania rzucił się w objęcia przyjacielowi. Uścisnęli się milczący, ale pełni nadziei i ufności, że jutro miało przynieść zwycięstwo.

Po odejściu Jabłonowskiego, hetman przed obrazkiem Najświętszej Panny rzucił się na kolana i modlił krótko, ale gorąco—wstał i zadumał się.

Przed oczyma jego stanął ten wymęczony nieszczęśliwy król, który tam gdzieś zdala konał miotany trwogą, bez pociechy—bez nadziei może... litość, która w serce raz wstąpiła—odezwała się odżywiona.

— Winienem mu choćby ostatnią osłodzić chwilę — rzekł do siebie. Ze Lwowa piszą, że dni jego policzone, jakżebym rad, aby wiadomość o zwycięstwie jeszcze go przy życiu zastała.

Zawołał Koryckiego.

— Przygotujcie tak wszystko — rzekł — aby jutro — gdy Bóg da żyć — posłaniec najbystrzejszy do Lwowa był gotowy. Są rozstawione konie?

Dziś nie poślę już listów żadnych... jutro.

Takim był przeddzień Chocimskiego zwycięstwa.

A we Lwowie? król leżał na łożu, z którego już po odwiedzinach Toltiniego podnieść się nie mógł. Wzmagały się cierpienia, rosła gorączka. Braun chodził, nie odpowiadając na pytania.

Heli zaledwie zrana udało się przekonać niepokojącego się Michała, iż żadnego posła dotąd we Lwowie nie było, iż słyszano o jakimś, ale ten przez Sobieskiego był zatrzymanym—a o żadnych wymaganiach haraczu nikt nie wiedział.

Zapewnienia jej tak były stanowcze, zaręczenia tak silne, że król w końcu umilkł przekonany, choć zawsze trwożny.

Tymczasem w istocie gotowało się coś, co nieszczęśliwego, konającego dobić mogło.

Straże, postawione przy gospodzie tureckiej, zwolna zaniedbywać się zaczęły, ubezpieczone tem, iż aga czekać obiecywał, aż król wyzdrowieje. Turek też przezorny, nikomu się

nie przyznał do tego, iż zamierzał niespodzianie gwałtem się królowi narzucić.

Traktat Buczacki zuchwałym go czynił — obchodził się tu ze wszystkiemi, jak z hołdownikami pana swojego.

Poprzedzającego dnia wzbronić mu nie można było przejażdżki po mieście. Przeciągnął z kilku swojemi kawasami po ulicach, przypatrywał się zamkowi. Ormianin, tłómacz usłużny, wskazywał mu różne miejsca i opowiadał ich dzieje.

Nazajutrz z południa zamierzył też z tym samym tłómaczem się umówiwszy, wyjechać na miasto i gwałtem wtargnąć do króla.

Było to zuchwalstwo, które tylko ów nieszczęsny haracz i traktaty usprawiedliwić mogły. Aga czuł się tem obrażonym, że jemu, posłowi Padi-Szacha, odmawiano przystępu do króla którego sobie lekceważył a w chorobę jego ciężką wierzyć nie chciał. Zmusić więc zamierzał królewskich urzędników i dwór, aby go do króla wpuścili.

Zawczasu przysposobioną szkatułę ową, zawierającą kaftan, obwiniętą jedwabnemi chustami, miał sobie powierzoną starszy sługa, a firman sułtana na piersiach z sobą zabrać chciał sam aga.

Spisek ten uknuty był z taką pozorną obojętnością — iż nikt się go spodziewać, nikt przewidywać go nie mógł.

Kielpsz i ks. Olszowski wiedzieli o tem, że dnia wczorajszego aga się rozpatrywał i przejeżdżał po mieście. Niepokoiło to krajczego, ale dodany Turkowi urzędnik tłómaczył się tem, że ten oprzeć się nie mógł, a aga i tak się oburzał na rodzaj niewoli, w jakiej go trzymano.

Michał leżał w gorączce, chociaż przytomność mu powracała, bolejący — otoczony przez

najulubieńsze swe sługi. Nikt w świecie nie domyślał się podstępu i uknutego spisku, gdy z południa przyodziawszy swe najparadniejsze szaty, aga na najpiękniejszym ze swoich koni, z małym pocztem, wrzekomo na przechadzkę wyruszył.

Mówiono już o nim wiele w mieście- około gospody stało zawsze ciekawych dosyć, a wieść o przejażdżce jeszcze ich więcej zgromadziła.

Szczęściem jakiemś dworzanin króla, Masłowski, który już się o owej szkatułce i kaftanie nasłuchał, dostrzegł, gdy na koń wsiadali, iż jeden z towarzyszących adze, zabierał z sobą spory węzeł, obwinięty w jedwabne chusty.

Uderzyło go i to, że dzisiejszy strój Turka, który wczoraj bardzo był odziany skromnie, jakby uroczyste jakieś wystąpienie zwiastować się zdawał.

Przestraszony tem przypuszczeniem—które na myśl mu przyszło, iż aga może gwałtem chcieć się dostać do króla, a samą wzbudzoną wrzawą, choremu spokój zakłócić, Masłowski pędem się kopnął do królewskiego mieszkania.

Tu nikt się wcale żadnego nie domyślał niebezpieczeństwa; księdza Olszowskiego nawet przy królu nie było.

Kiełpsz z żoną siedzieli w ciemnym, z pozapuszczanemi oknami sypialnym pokoju, podsłuchując oddech ciężki, wyrywające się z ust wyrazy i bolesne jęki.

Wśród tego spokoju, jak piorun, spadł Masłowski, wywołując Kiełpsza do sieni.

— Panie krajczy! — zawołał — turecki ten pies znowu na miasto się wybrał, nie mogli go wstrzymać. Nic by to nie było... alem na moje oczy widział, gdy za nim wynoszono jakieś zawiniątko spore, które sługa wiezie pod

płaszczem. Wystroił się też pan aga, jakby na posłuchanie jechał,—kat go wie, sprzykrzyło mu się—gotów tu gwałtem wpaść na króla.

— Pinują go stróże! nie może to być — zawołał Kiełpsz. Nie będzie śmiał.

— A jabym mu nie wierzył — rzekł Masłowski. Jużciż choćby i przyjechał, nie dopuścim go, ale wrzasku Turcy narobią, bo wiadomo, jak oni kwiczeć umieją.

Kiełpsz począł rozmyślać.

Wczorajszego dnia Turek wcale w ulicy się tej nie pokazywał; wyprawił więc Masłowskiego, aby zaglądał, czy się nie skieruje w tę stronę, tymczasem i gwardyi dał rozkaz, aby więcej żołnierza stanęło przy królewskiej kwaterze i niespokojny, do ks. Olszowskiego wysłał z oznajmieniem.

Trwoga cała jeszcze się zdawała nieusprawiedliwioną niczem, oprócz popłochu, jaki rzucił Masłowski, gdy wysłany wrócił nagle, krzycząc, że aga już był w ulicy i wprost zmierzał ku królewskiej kwaterze.

Nie ulegało wątpliwości, że tu zuchwale wtargnąć zamierzał. Ks. Olszowskiego nie było, ani nikogo, coby mógł stanowcze wydać rozkazy, ale Kiełpsz miał dosyć odwagi, aby dla ocalenia króla, największą odpowiedzialność wziąć na siebie.

Oddziałem straży przy domu dowodził towarzysz stary—namiestnik Świderski, a temu do zuchwałego kroku nigdy na męstwie nie zbywało.

Krajczy wybiegł do niego.

— Panie namiestniku,—zawołał—króla ratować musimy. Turek ten zuchwale jedzie wprost bodaj tu chorego dobijać. Potrzeba go prostu wziąć i uwięzić. Nie mamy nic do stracenia, bo tam się i tak Sobieski z niemi ściera.

— A gdzie ta bestya?—krzyknął Swiderski.—W to mi graj!

Zawołał na ludzi swoich i sam już siedział na koniu.

Zdala w ulicy widać było kłusem podążającego agę, któremu Ormianin dom przez króla zajęty wskazywał. Świderski z kopyta ruszył przeciwko niemu, na ludzi wołając, aby go otoczyli i nie puszczali dalej.

Turek, widząc wybiegającą tłumnie gwardyę, nie domyślając się zrazu, że przeciwko niemu wymierzoną była, aż gdy go zewsząd opasali żołnierze, wołać zaczął na tłómacza.

Przestraszony Ormianin podbiegł do Świderskiego.

— Co pan najlepszego robisz? — krzyknął—wszak to poseł sułtana, do króla jadący...

— A kto mu do króla pozwolił jechać? — odparł Świderski.

— Albo on o pozwolenie będzie pytał?!— zawołał Ormianin.—Co wam się to zdaje?

— Mnie się zdaje, — rzekł namiestnik — iż ja go z mojemi ludźmi na gospodę odprowadzę po dobrej woli, albo i po niewoli. Jak mu do gustu.

Ani kroku dalej, powiedz mu to odemnie.

Skoczył Ormianin do agi z przestrachem, oznajmując, że dalej puścić nie chciano.

Turek się rozsierdził i na swoich skinął, dobyli szabel... Gwardya też nie czekała i stała w pogotowiu, a Świderski pistolety podsypać kazał, i wnet je pośpiesznie dobyto... Aga stał blady, trzęsąc się z gniewu; już, już do bójki przyjść miało, gdy od królewskiego dworu znowu kupka żołnierzy z muszkietami biegiem nadciągnęła...

— Powiedz swojemu adze—krzyknął Świderski—że ja na żadne jego poselskie przywi-

leje względu mieć nie będę; ruszy mi się krokiem dalej, każę dać ognia...

Turcy się policzyli, że opór był nie możebny, krzycząc i łając, zabierali się do odwrotu. Ale odwrót był zaparty. Objęto ich tak dokoła, że się ruszyć nie mogli.

Świderskiemu rozochoconemu na tem nie było dosyć...

— Powiedz temu skurczypałce—krzyknął do Ormianina—niech szable natychmiast oddają. Biorę ich do niewoli, bo swobodnie puścić nie mogę, kiedy tu po mieście broją.

Tumult się wszczął pomiędzy Turkami, Świderski nie ustępował...

— Niech mi zaraz broń składają — krzyczał — a nie, to ja ich tu w pień wszystkich powycinam.

I wywijał szablą w powietrzu.

Aga blady był ze złości jak ściana, ale gdy się obejrzał, że tu i wojska i ludu coraz więcej się ściąga, a pospólstwo, rozgrzane przez Świderskiego, przybiera coraz groźniejszą postawę, począł się prosić przez Ormianina.

— Odprowadźcie mnie do gospody, będę czekać spokojnie...

Świderskiemu chciało się na swojem postawić.

— Broń niech złożą! — wołał — nic nie pomoże.

Zaczęło się parlamentowanie próżne, Turcy radzi nie radzi, widząc się w saku, z wrzaskiem i przekleństwami szable na bruk ciskać zaczęli, które Świderski pilno kazał pozbierać, bo taka broń warta coś była.

— A teraz—zawołał—choć mam w trokach sznurek jedwabny na wiązanie jeńców, niech idą, jak stoją do gospody, tylko ich z oka nie spuszczać.

Już tedy aga zawrócił się i Świderski z nim, z dobytą szablą, poważny, wąsa kręcąc, jechał, odprowadzając go do gospody, tryumfując, aż nadbiegł za niemi Trzeciak z kancelaryi króla.

— Panie namiestniku, — krzyknął — toście nam dopiero kaszy nawarzyli! Wiecie wy, co to znaczy, posła w niewolę brać i ignominię mu taką wyrządzić? Toż to *jus gentium laesa est*, co my teraz poczniemy?

Świderski się rozsierdził.

— E! co mi tam *jus gentium*. Sobieski ich tam już płata, a my tu będziemy szanowali! chciał nam tu pod nos kurzyć! a zasię!!... Co z woza spadło, to przepadło!!

I dał znak, aby prowadzono więźniów dalej, a Trzeciakowi tylko rzucił na odjezdnem:

— Odprowadzę do gospody, straż postawię, a potem się z ks. podkanclerzym rozmówię.

Tak się stało. Turcy jak niepyszni musieli iść do gospody nazad, ale im pałaszów nie oddano i Świderski straże postawił w rzędzie, dając im rozkaz: zechce który się wymykać—precz—kulą w łeb.

Sam wprost stamtąd pojechał na kwaterę do biskupa i zastał go właśnie, gdy od arcybiskupa powróciwszy, przebierał się. Kazał się oznajmić Świderski.

Biskup wyszedł natychmiast.

— Co mi tam wasza mość powiesz dobrego? — zapytał.

— Fraszka, księże biskupie, Turków do niewoli wziąłem, co mam z nimi robić?

— Gdzie? jakich? — zawołał biskup przestraszony.

— A no, tego agę! wiercił mi się po ulicach, gwałtem chcąc do króla, ażem musiał go osaczyć i zmusić do złożenia oręża.

Ksiądz Olszowski pobladł i zaczął się trząść ze strachu.

— Jezu! Maryo! — wykrzyknął — cóżeś to waćpan najlepszego uczynił, poseł jest nietykalna osoba...

Świderski ramionami ruszył.

— Ja tam o tem nie wiem nic, a bruździ mi i chce samowolnie do króla — a zasię!! — Dałem go pod wartę... Co z nim czynić?...

— Albo ja wiem — mruknął, rozmyślając podkanclerzy — niech tak zostanie jak jest, ale patrz waćpan, aby mu włos z głowy nie spadł. Turcy larum narobią i mścić się będą.

— Mnie się widzi, księże biskupie, że ich tam nasz hetman rozumu nauczy i ani pisną. Tymczasem chodziło o zdrowie króla jegomości...

I Świderski odszedł zwycięzki...

Ale po mieście trwoga się wzięła wielka, że posła śmiano w niewolę zagarnąć...

Wieczorem na pewno spodziewano się posłańca z pod Chocimia...

Stan króla był zawsze ten sam, tylko ku wieczorowi, jak zwykle, gorączka się powiększała, później od rzeczy mówił i majaczył.

Braun pytany albo nie odpowiadał nic, lub mruczał.

— Księdza więcej mu potrzeba, niż doktora, ja mu nie poradzę, ani stu nas, gdyby było...

Wśród głuchej ciszy w całym domu... leżał tak Michał marząc, a tych marzeń przedmioty czasem się odgadywać dały z urywanych wyrazów, które mu z ust się dobywały...

— Są listy? jest co od hetmana? — pytał, a nie otrzymawszy odpowiedzi, padał jęcząc na poduszki. Drzemał, budził się i zrywał znowu.

— Kamieniec wzięli! Kamieniec wzięli!

Nikt nie odpowiadał, król twarz sobie rękami okrywając—milczał...

Wśród takiego rozgorączkowania nadszedł wieczór, obawiano się pogorszenia.

Tymczasem stało się całkiem przeciwnie... Król przebudził się zmienionym, słabym, ale naturalnym głosem pytając o godzinę.

Krajczyna, będąca przy łóżku, odpowiedziała mu, zapytując, czyby pić nie chciał.

Potrząsnął głową...

Twarz straszliwie wychudła miała wyraz inny, ostygły... Zdawało się, że jakieś przesilenie zajść musiało wewnątrz... mówił zimno i przytomnie.

Uradowało to niezmiernie krajczych oboje i Kiełpsz skoczył po Brauna, oznajmując mu, że król zdawał się pod wieczór znacznie lepiej.

Pośpieszył natychmiast doktor i najpierwsza rzecz, za puls pochwycił, okazując podziwienie wielkie.

W istocie choroba zdawała się ustępować, gorączka znacznie się zmniejszyła, umysł był zupełnie przytomny, król przypominał sobie wszystko... i uskarżał tylko na osłabienie...

Polepszenie było tak widoczne a tak wielkie, iż we wszystkich nadzieja wstąpiła. Ks. Olszowski przybywający, oczom i uszom wierzyć nie chciał. Braun ramionami ściskał...

Na dzień ten obiecana była wiadomość od wojsk, którą Sobieski dać przyrzekł, gdy na miejscu pod Chocimem stanie i siły nieprzyjaciela, a położenie swe będzie mógł ocenić... Oczekiwano więc z niecierpliwością.

Tymczasem król spowiednika zażądał.

W ciszy i bez żadnego rozgłosu, któryby ludzką ciekawość mógł budzić, odbyło się przyjęcie ostatnich Sakramentów, chory legł uspokojony i niemal uśmiechnięty.

Co chwila tylko kazał się dowiadywać o posłańca od hetmana...

— Widzę go—mówił— widzę! jedzie... listy mi wiezie...

I ręce składał, ku niebu je podnosząc... Niekiedy oczy zamykał i drzemał lekko, potem otwierał je i coś szeptał...

Tak do późnej godziny, nie chcąc usypiać, broniąc się niemal od snu, oczekiwał ciągle. Aż istotnie, zastukano do wrót, goniec przybył.

Ks. Olszowski wybiegł nieznacznie, aby listy naprzód odczytać, nimby je mógł królowi ukazać... obawiał się złej wiadomości, któraby znowu stan jego mogła pogorszyć.

Ale list hetmana, własną jego pisany ręką, był pełen najpiękniejszych nadziei...

— Mogę czcią moją szlachecką i rycerską zaręczyć, że Turków pokonam... Leżą w tak ciasnym obozie, że mi się wymknąć nie będą mogli. Wiem, że hetman Pac bitwy wydawać nie będzie życzył, ale ja muszę iść i muszę zwyciężyć i będą pomszczone klęski i traktaty, jako na niebie Bóg... zwyciężymy!

Z tym listem rozradowany wszedł ks. biskup chełmiński do króla, który już tem jasnowidzeniem, jakie miewają chorzy, przeczuł posłańca i domagał się pisma...

Ze złożonemi rękami, podniósłszy się, siedząc, król słuchał czytania... a z oczów mu łzy popłynęły...

Wielka radość na wymęczonej odmalowała się twarzy...

Podniósł oczy do góry—i rzekł:

— *Nunc dimil te servum tuum Domine.*

Zwolna pochylił się na poduszki... uśmiechnął dziękczynnie podkanclerzemu i spokojnie legł, jak do snu... oczy mu się zamknęły...

Odstąpili wszyscy, tylko oddech słaby... słychać było.

Kiełpszyna uklękła przy krześle i modliła się.

Wśród tej ciszy — nagle ciężkie dało się słyszeć westchnienie... Podbiegła ku niemu.

Król nie żył.

KONIEC.

St. Stanislaus
Adult- Library
Chelsea Mass.

author	
J. I. Kraszewski	
title	locatio
Krolewscy Synowie (Tom I)	6-1

J. I. Kraszewski

Krolewski

Krolewscy Synowie (TOM I) 6-1